

Zbigniew Nienacki

Waż morski

Powieść drukowana w odcinkach w „Głosie Robotniczym” w 1962 roku. Nie miała wydania książkowego.

I.

Z Belgradu Henryk przyleciał w południe. Na Okęciu nikt go nie oczekiwał. Szybko uwinął się w komorze celnej, dojechał taksówką do śródmieścia, w kawiarni przy dworcu kolejowym wypił herbatę. Wsiadł do pociągu do Łodzi i wówczas zorientował się, że jest śledzony. Młody, przystojny mężczyzna w skórzanym płaszczu towarzyszył Henrykowi od chwili opuszczenia samolotu. Teraz siedział w tym samym co Henryk wagonie kolejowym, w sąsiednim przedziale.

Do Łodzi przyjechał o zmroku. Henryk nie miał pieniędzy na taksówkę i do domu powędrował pieszo, z trudem dźwigając walizkę. Obserwator szedł za nim o pięć kroków, swobodny i nie objuczony nawet teczką. Rozgniewało to Henryka i gdyby nie walizka, zapewne próbowałby go zgubić w którejś z przechodnich bram. Padał mroźny deszcz ze śniegiem i z wielkim zadowoleniem Henryk pozostawił prześladowcę na chodniku przed swoim domem. Znalazł się w mieszkaniu, rzucił walizkę za tapczan i niezdecydowanie rozglądał się po pokoju nie wiedząc od czego zacząć po dość długiej nieobecności w kraju.

Może zadzwonić do redakcji? Do przyjaciół?

W łazience zaczął przygotowywać sobie kąpiel. Nagle u drzwi rozległ się dzwonek.

– Proszę rozpakować walizkę – powiedział cicho niski, krępy mężczyzna o siwych skroniach. Drugi – wysoki, chudy podsunął Henrykowi papierek z nakazem rewizji. Trzeci – nawet mu się Henryk nie przyjrzał – kręcił się przy regałach z książkami i zdawał się interesować wyłącznie literaturą.

Zauważył jak sprawnie i szybko grzebali w papierach na biurku, w szufladach, w walizce, w szafie, w bibliotece.

– Czy jestem aresztowany? – nieśmiało spytał Henryk.

– Na to wygląda... – kiwnął głową ten o siwych skroniach. Henryk nazwał go w myślach: „szpakowaty”.

– Jestem trochę zaskoczony. A może panowie pomylili nazwisko?

Szpakowaty pokręcił głową:

– Nie, to chodzi o pana.

– Nigdy jeszcze nie byłem aresztowany – wyjaśnił Henryk.

– Taak?

Zapytał ich:

– Czy to potrwa długo?

– To zależy... – Szpakowaty zrobił nieokreślony grymas ustami.

Potem zaprosili Henryka do auta, które oczekiwało przed domem.

O przyczynie aresztowania nie dowiedział się także podczas wstępnego przesłuchania w Komendzie Wojewódzkiej MO. Posadzono Henryka na krzeselku przed ogromnym biurkiem w niedużym jasnym pokoiku. Za biurkiem zasiadł oficer milicji w stopniu porucznika, przyjemny blondyn o puciołowatej, młodziutkiej twarzy. Obok niego przycupnął protokolant – ów chudy, który uczestniczył w rewizji.

Henryk podał swoje imię, nazwisko, datę i miejsce urodzenia, imiona rodziców. Teraz nastąpiły pytania.

– Czy zna pan Piotrków Trybunalski?

– Tak. Byłem tam jesienią ubiegłego roku.

– Jak długo?

– Trzy miesiące. Październik, listopad, grudzień.

– Co pan tam robił?

– W Piotrkowie redakcja naszej gazety posiada swój oddział. Drukujemy specjalną stronę poświęconą sprawom tego miasta. Zostałem kierownikiem oddziału redakcji w Piotrkowie i pełniłem tę funkcję przez trzy miesiące

– A przed tym?

– Przebywałem w Wiedniu jako korespondent.

– Z Wiednia pojechał pan do Piotrkowa?

– Tak.

– A w Piotrkowie czy znał pan niejakiego Józefa Marczaka?

– Marczaka? – Henryk zastanawiał się głośno. – Przez redakcję przewija się wielu ludzi. Trudno zapamiętać wszystkie nazwiska. Nie, nie przypominam sobie Marczaka.

– Na pewno?

– Tak.

– W Piotrkowie przebywał pan trzy miesiące, a później?

– Przecież pan chyba wie, poruczniku. Potem wyjechałem do Belgradu. Dziś, po dwóch miesiącach, powróciłem. I zostałem aresztowany. Czy może mi pan powiedzieć za co?

– Podczas pobytu w Piotrkowie drukował pan powieść „Czarny wachlarz”.

– Tak. A skąd pan wie?

– Czytałem – odrzekł oficer śledczy.

– To była niedobra,ikliwa, sentymentalna bzdura. Miała tylko jedną zaletę, że podobała się w Piotrkowie. Wstydzę się „Czarnego wachlarza” – Henryk lekceważąco machnął ręką.

– Pan jest bardzo skromny – zauważył śledczy. Mogło się wydawać, że obydwoj siedzą nie w komendzie MO, ale w kawiarni i wymieniają uprzejmości.

– Przeczytałem ją uważnie i zainteresowała mnie – ciągnął porucznik. – Czy nie mógłby mi pan jednak powiedzieć...

Zrobił pauzę. Wyciągnął w kierunku Henryka pudełko z papierosami i czekał aż ten zapali.

– ...Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, jak wyglądał ów człowiek, którego nazwał pan w powieści „Mścicielem”? To on, jak pan napisał, opowiedział panu historię czarnego wachlarza?

Zapalona zapałka leciutko drgnęła w palcach Henryka.

– Nooo... oczywiście. Mogę powiedzieć.

– Jak wyglądał? Proszę podać jego rysopis.

– Wysoki... sześćdziesięcioletni. Miał oczy niebieskie. Duże usta... Tak, usta duże. Czerwony nos. Mówił ochryłym głosem.

– A jakie posiadał znaki szczególne?

– Był krótkowidzem.

– Blondyn, brunet?

– Brunet. Trochę siwy.

– A więc szpakowaty?

– Tak. Zdaje się...

– Zdaje się, czy tak?

– Tak.

– Jak był ubrany?

– Nie, nie pamiętam. W palcie beżowym. W berecie.

– Jaki beret?

– Czarny.

– Miał szalik?

– Tak.

– Jaki?

– ...Czerwony.

– Jak się ten człowiek nazywał?

– Nie... nie wiem. Nie powiedział swego nazwiska.

– A pan nie pytał?

– Pytałem. Lecz on nie chciał go ujawnić. Jeśli pan czytał moje powieści, to pan wie dlaczego.

– Marczaka pan znał?

– Nie. Już mówiłem...

– Dziękuję panu.

Porucznik podniósł się z biurka. Odprowadzono Henryka do drugiego pokoju, poczęstowano herbatą i papierosami. Następnie wrócił na dawne miejsce. Ale za biurkiem siedział już ktoś inny. Milicjant w stopniu kapitana. Gruby, brzydki z wielką kurczawką na czubku nosa.

I znowu pytano Henryka o to samo. Kiedy był w Piotrkowie, co tam robił, czy znał Józefa Marczaka, jak nazywał się człowiek, który opowiedział mu historię czarnego wachlarza.

Powoli Henryk zaczął odczuwać coraz większy niepokój. A gruby kapitan milicji prawie krzyczał:

– Proszę podać dokładny rysopis. Jak wyglądał?

– Był wysoki, chyba sześćdziesięcioletni, szczupły, oczy miał czarne, włosy ciemne. Nosił czarny płaszcz i beżowy beret. Mówił ochryple. Krótkowidz.

– Posiadał okulary?

– Tak... to jest, nie, nie posiadał.

– Po czym pan poznał, że jest krótkowidzem?

– Bo mrużył oczy.

– Ile razy pan spotkał się z nim?

– Raz. Pewnego dnia (nie pamiętam kiedy) odwiedził mnie w lokalu oddziału naszej redakcji, w Piotrkowie i opowiedział mi historię czarnego wachlarza.

– Czy ktoś jeszcze był przy tej rozmowie?

– Nie. W tym czasie nikogo tam nie było. On chyba specjalnie wybrał taką porę, bo przecież zastrzegł sobie tajemnicę.

– Zgodził się jednak, żeby pan opisał w gazecie historię czarnego wachlarza?

– Owszem. Zaznaczył tylko, abym nie podawał żadnych szczegółów, które mogłyby naprowadzić na jego ślad.

– Jakie to szczegóły?

– No... to, że kulał na jedną nogę.

– Na którą?

– Lewą.

Kapitan pogładził kurczajkę na nosie.

– Kulał. A dlaczego wspomina pan o tym dopiero teraz?

– Bo dopiero teraz sobie o tym przypomniałem.

– Ach, przypomniał pan sobie – ironizował śledczy. – I pan tak od razu zdecydował się opublikować w gazecie tę bzdurną historyjkę? Aż mdło się robi, gdy się coś takiego czyta.

– Oficer, który mnie przed chwilą przesłuchiwał, był innego zdania.

– Nie musimy mieć jednakowy gust. I proszę odpowiadać na pytania.

– ...Nudziłem się. Przyszedł do mnie jakiś facet i opowiedział dziwną historię. Zacząłem ją pisać. Wydrukowałem. Spodobała się czytelnikom. No, a potem wyjechałem do Jugosławii.

– I tego dziwnego osobnika już więcej pan nie spotkał?

– Nie.

– Nie zgłosił się do pana nawet wówczas, gdy rozpoczął się druk „Czarnego wachlarza”?

– Nawet wówczas.

– A na którą nogę kulał?

Henryk z rozpaczą rozejrzał się po pokoju. Na którą nogę kulał?

– Na prawą.

Oficer kiwnął głową.

– Dziękuję.

Po dziesięciu minutach jego miejsce zajął Szpakowaty, który kierował rewizją. Henryk zwrócił się do niego z pretensjami.

– Proszę mnie puścić do domu. Jestem zmęczony. Dziś przyjechałem z zagranicy.

Popatrzył na Henryka ze szczerym współczuciem.

– To rzeczywiście bardzo przykre, że musieliśmy pana zatrzymać – rzekł.

– Ale teraz mnie wypuścicie?

Ze skrucną ukrył twarz w papierkach na biurku.

– Nie. Właśnie teraz, niestety, będziemy musieli pana zatrzymać. Na dłużej.

– Za co? Proszę mi wszystko wyjaśnić? Przecież nie ukradłem nic, nie zabiłem nikogo.

– O, właśnie tego nie jesteśmy pewni – powiedział łagodnie.

– Jestem niewinny! – zawołał Henryk.

Szpakowaty zgodnie przytaknął. Potem zajrzał w papiery na biurku i powiedział:

– Pytaliśmy pana o rysopis osobnika, który opowiedział historię czarnego wachlarza. Spróbował nas pan oszukać. W pierwszym zeznaniu twierdził pan, że człowiek ów kulał na lewą nogę, a w drugim zeznaniu, że kulał na nogę prawą. Na którą nogę naprawdę kulał?

– Na lewą.

– Przypuśćmy, że tym razem damy panu wiarę. I proszę o dalszą szczerość. Czy naprawdę nie znał pan Józefa Marczaka?

– Tak.

– A jakiego koloru beret nosił osobnik od „czarnego wachlarza”?

– Czarny.

– W drugim zeznaniu powiedział pan, że nosił beret beżowy.

– Pomyliłem się. Miał beret czarny.

– A jakiego koloru oczy posiadał człowiek, który nas tak bardzo interesuje? Niebieskie, szare czy zielone?

– Szare.

– W pierwszym zeznaniu stwierdził pan, że miał oczy niebieskie, w drugim zeznaniu, że czarne. Teraz mówi pan: szare.

– Do diabła z kolorami! – powiedział gniewnie Henryk.

– Czy pan jest, broń Boże, daltonistą?

– Nie. Ale nie rozumiem po jakie licho bez końca wałkujecie sprawę tego człowieka. Przecież to nie może być ważne.

Zdziwił się.

– Pan coś wie o tej sprawie?

Henryk wzruszył ramionami.

– Nic nie wiem.

– A więc dlaczego pan sądzi, że to nie jest ważne? – i wyrecytował uroczyście. – czternastego stycznia bieżącego roku w Piotrkowie, osobnik, który opowiedział panu historię czarnego wachlarza prawdopodobnie zamordował Józefa Marczaka, kasjera spółdzielni „Podkowa”.

Henryk poderwał się z krzesła. Najpierw długą chwilę zdumionymi oczami wpatrywał się w Szpakowatego. Nie był w stanie wypowiedzieć choćby jednego słowa. Potem usiadł na krześle i zaniósł się śmiechem. Śmiał się długo, szczerze i bardzo serdecznie. A gdy zaniepokojony o stan jego umysłu, Szpakowaty podsunął mu szklankę wody, Henryk wykrztusił:

– To niemożliwe. On nie mógł nikogo zamordować.

Szpakowaty westchnął:

– Dlaczego, proszę pana?

– Bo... bo on nigdy nie istniał...

A ponieważ Szpakowaty nadal spoglądał na Henryka nieruchomo i milczał, Henryk zerwał się z krzesła:

– Czy chcecie ze mnie zrobić wariata? Ja wymyśliłem tego człowieka. Rozumiecie, wymyśliłem? W powieści „Czarny wachlarz” napisałem, że jakiś facet zgłosił się do mnie i opowiedział mi tę bzdurną historię. Ale to był tylko chwyt literacki! To ja sam, ja sam, rozumie pan, wymyśliłem z nudów historię czarnego wachlarza. Dlatego tak się plątałem w zeznaniach.

Milicjant tkwił za biurkiem cichy i niemy. A Henryk krzyczał na niego:

– A może nie wolno imaginować sobie bohaterów do powieści? Może mnie za to aresztujecie, wsadzicie do więzienia?

Szpakowaty nie odpowiedział. Zapewne czekał, aż Henryk się opanuje.

Tak zresztą się stało. Henryk wypił szklankę wody, otarł usta dłonią i wyjaśnił spokojnie:

– Miałem do wyboru: albo zakopać się w Piotrkowie już na długo, albo jakimś cudem podnieść nakład naszej gazety. Pewnego dnia siedząc samotnie w tamtejszym hoteliku, przypomniałem sobie słowa mojego dawnego kierownika działu redakcji. Gdy zdarzyło mi się powrócić bez materiału do artykułu, kierownik powiedział: „dobry reporter jeśli nie natknie się na coś interesującego, to coś ciekawego wymyśli. Jak sądzisz, dlaczego w innych gazetach ciągle pojawiają się sensacyjne wzmianki o przeróżnych „węzach morskich”? Bo posiadają dobrych reporterów. Tak mówił mój zwierzchnik. Będąc w Piotrkowie postanowiłem wymyślić „węza morskiego”. Zdecydowałem się napisać powieść, która zachwyciłaby całe miasto.

– A jednak Józef Marczak, na kilka godzin przed śmiercią zwierzył się przyjaciółom, że jest prześladowany przez osobnika, o którym pisał pan w „Czarnym wachlarzu”. W Piotrkowie są wszyscy przekonani, że „Czarny wachlarz” opowiada o wypadkach jakie zdarzyły się w rzeczywistości.

Henryk roześmiał się beczelnie:

– Niestety, nic na to nie mogę poradzić. Cała moja wina ogranicza się do tego, że stworzyłem „węza morskiego”.

– Lecz „wąż morski” ożył i połknął ofiarę – wyrzekł ponuro Szpakowaty.

II.

A może natychmiast pojechać do Piotrkowa? – zastanawiał się Henryk. To przecież było takie niezwykle: wydrukował w gazecie bzdurę powieściidło z wyimaginowanymi bohate-

rami i oto – gdy o tym już zapomniał – historia z powieści miała swój dalszy ciąg w rzeczywistości i doprowadziła do zabójstwa zupełnie mu nieznanego człowieka. Jak powiedział Szpakowaty z milicji: Wąż morski, którego Henryk stworzył, nagle zyskał własne życie i połknął ofiarę.

Czy Henryk był w jakimś stopniu odpowiedzialny za śmierć kasjera Marcza z Spółdzielni „Podkowa”? I choćby dlatego, czy nie powinien był zainteresować się zagadką zbrodniczego zmaterializowania się tworu swej wyobraźni?

Nie – odpowiadał sobie. W prawie karnym nie istnieje paragraf, który zabraniałby pisanie o wymyślonych bohaterach. Nikt rozsądny na całym świecie nie uczyni odpowiedzialnym autora nawet – jeżeli zdarzy się coś niewiarygodnego – postaci z jego utworu ożyją i dopuszczą się morderstwa.

Nazajutrz jednak do mieszkania Henryka znowu zapukał szpakowaty oficer z Komendy Wojewódzkiej MO. Nie trudno było odgadnąć cel jego odwiedzin. Bez słowa Henryk zaprosił go do mieszkania.

– Zagadka morderstwa Marcza jeszcze nie została rozwiązana – powiedział śledczy, skubiąc palcami rondo kapelusza.

– Nie schwytaście mordercy? To przykre. I nie wpadliście na żaden trop?

– Ach, na trop natrafiłszy – powiedział tamten. – Lecz on urywa się. Tutaj – delikatnie stuknął palcem w szklaną powierzchnię stolika.

Henryk zachnął się.

– W moim mieszkaniu?

– O nie. Mam na myśli pańską osobę.

– Pan wybacz, ale ja nie rozumiem...

Szpakowaty z godnością usadowił się na krześle. Dłonie położył na kolanach i mówił nie spuszczać z Henryka swych wesołych oczu:

– Na kilka godzin przed śmiercią, Józef Marcza zajął do kawiarni „Pod Ormianem” w Piotrkowie, gdzie spotkał się ze swoimi dwoma przyjaciółmi. Zachowywał się niespokojnie, był zdenerwowany. Zapytany o przyczynę takiego stanu, szepnął, że jest prześladowany przez „Mściciela” z pańskiego „Czarnego wachlarza”. Tej nocy został zamordowany. Czekaliśmy cierpliwie na pański przyjazd – by zdobyć dokładny rysopis zabójcy i jakieś bliższe dane. Z początku próbował go pan opisać, a później wyznał nam pan, że postać „Mściciela” została przez pana wymyślona. W ten sposób trop mordercy urwał się przy pańskiej osobie. Oczywiście pan jest poza wszelkimi poważniejszymi podejrzeniami. Owej nocy, gdy popełniono zabójstwo, był pan bardzo daleko od Piotrkowa. Uczestniczył pan w przyjęciu

zgotowanym przez Radę Robotniczą gospodarstwa rolnego w Belije. To jest nad granicą węgierską, prawda?

– Tak.

– Nie znaczy to – zawiesił głos – że nie mógł pan posiadać w Piotrkowie swego współnika...

– Nonsens. Jaką korzyść przyniosłaby mi śmierć nieznanego mi Marczaka?

– Z mieszkania zamordowanego zrabowano dwa futra i w ogóle co cenniejsze, a łatwe do wyniesienia przedmioty. W wypadku zabójstwa na tle rabunkowym morderca nie zawsze pozostaje w osobistych kontaktach z ofiarą.

– Nonsens... – Henryk wzruszył ramionami. Nawet sama myśl o podobnej ewentualności wydawała mu się przerażająca.

Henryk zapalił papierosa. Szpakowaty siedział zamyślony i patrzył gdzieś ponad jego głową, w okno pełne ponurego marcowego nieba.

– Dlaczego nie wyznał pan od razu, że „Czarny wachlarz” jest historyjką zmyśloną od początku do końca? Najpierw kluczył pan, kłamał...

– Skąd mogłem przypuszczać, że zmyślona postać ożyła i zaczęła mordować? Zresztą... – machnął ręką.

– Proszę, niech pan powie do końca.

– Przebywając w Wiedniu nadesłałem do redakcji nie sprawdzoną wiadomość. Naczelny rozgniewał się i „zesłał” mnie do Piotrkowa. Gazeta nasza miała tam zaledwie dwa tysiące czytelników. Redaktor Naczelny przyrzekł mi, że zapomni o mojej winie, jeśli postaram się podnieść w Piotrkowie nakład naszej gazety do pięciu tysięcy egzemplarzy. Po wiedeńskiej historii miałem u naczelnego opinię „zmyślacza”. A ponieważ on bardzo nie lubi, gdy dziennikarz do swych materiałów wprowadza choćby odrobinę fikcji, nawet jeśli to jest reportaż czy jakaś próba literacka, skoro chciałem drukować „Czarny wachlarz” nie mogłem mu wyjaśnić, że całą tę sprawę zmyśliłem. Fakt zmyślenia przemilczałem. I podobną taktykę próbowałem na początku zachować w milicji.

– I nikomu, naprawdę nikomu nie zwierzył pan tajemnicy „Czarnego wachlarza”?

– Nie, lękałem się, że naczelny dowie się o moim nowym „zmyśleniu”.

– A jednak w Piotrkowie wszyscy wierzą, że „Czarny wachlarz” opowiada historię, która działa się w rzeczywistości.

– Właśnie o to mi chodziło. Ludzie mają na ogół gust taki, jak mój naczelny. Też chcą, żeby wszystko wzięte było z życia. Cały mój wysiłek przy pisaniu „Czarnego wachlarza”

skierowałem na to, aby uwierzono mi, że opisuję historię prawdziwą. Właśnie w tym celu na rozstaju dróg podrzuciłem domino, czarny wachlarz...

– Ten czarny wachlarz znaleźliśmy na łóżku zamordowanego – wtrącił Szpakowaty.

Henryk oblizał językiem wargi. Język miał suchy, chciało mu się pić. Zwrócił się do śledczego:

– A czy nie pomyślał pan, że właśnie to morderstwo wyglądało na zmyśloną historyjkę? Za dużo w tym kiepskiej literatury. Przecież trupa, podobno, nie odnaleźliście?

– Zwłoki prawdopodobnie wrzucono do jeziora na Bugaju. Nastąpiły potem silne mrozy i dopiero teraz lód zaczyna tajać. Jutro, pojutrze być może odkryjemy ciało denata. W mieszkaniu zamordowanego, na pościeli odkryliśmy duże ślady krwi. Akurat tak się złożyło, że trzy tygodnie wcześniej Marczak był u lekarza i zrobiono analizę krwi. Ta sama krew była i na jego pościeli.

– Rozumiem. Sprawa jest poważna – kiwnął głową Henryk. – Opowiem więc panu od początku historię „Czarnego wachlarza”. – Do Piotrkowa przyjechałem bardzo przygnębiony – rozpoczął opowiadanie Henryk. – Moja walizka nosiła świeżutką nalepkę hotelu „Goldenes Lamm” na Hauptstrasse 7. Wiedeń jest piękny. Bardzo piękny – powtórzył. – Niech pan sobie wyobrazi uczucia człowieka, który przez głupi błąd w gazecie, nagle zostaje skazany na pobyt w powiatowej redakcji. Piotrków jest ładnym miasteczkiem. Ale mnie, po Wiedniu wydał się brzydkim. Obskurny hotel, pokój ze staroświeckim łóżkiem i pękatą komodą. Zamiast wesołego Wiednia – miasteczko z jednym nocnym lokalem, wiecznie brudna redakcja mieszcząca się w dawnym sklepie rzeźnickim. Oglądał pan redakcję? Kamienna podłoga, a ściany z przybrudzonych kafelków, w ścianach haki na półcie mięsa. Na środku sklepu odrapane biurko i stół, za którym siedział jedyny reporter. Nazywał się Gałkowiecki. Miał mi pomagać w redagowaniu kolumny o życiu Piotrkowa. Czy to pana interesuje?

– Tak. Niech pan mówi.

– Wieczorem Gałkowiecki albo pił, albo jeździł z dziewczętami taksówką do Przygłowa. Pisał fatalnie, nadawał się najwyżej do redagowania notatek informacyjnych. Cała praca spadła na moje barki. Nudziłem się, gotów byłem tłuc głową o kafelki rzeźnickiej jatki, bo przecież nie można tego nazwać redakcją. Ciągle myślałem: wyrwać się z Piotrkowa. Wyrwać się za wszelką cenę!

Czekał aż oficer śledczy podchwyci jego ostatnie słowa. Ale ten milczał.

– Miasto wydawało mi się ospałe i wrogie. Wstałem rano niewyspany, zły i tak w złości żyłem aż do wieczora. Znienawidziłem to miasto. Tak, znienawidziłem je. Postanowiłem je

wykpić, wyszydzić. I uciec. Pomysł przyszedł mi do głowy pewnego listopadowego wieczoru... Interesuje to pana?

– Ależ tak. Niechże pan opowiada.

– Po przyjeździe do Piotrkowa w szufladzie szafy w hotelu znalazłem ślad po poprzednim lokatorze: pozostawione przez roztargnienie domino z maską i czarny wachlarz. Przedemną zamieszkiwała pokój aktorka z objazdowego teatryku, domino i wachlarz stanowiły rekwizyty teatralne. Jakoś tak się złożyło, że zagubionych przedmiotów nie oddałem dyrekcji hotelu, ale zatrzymałem je u siebie. Wieczorami zakładałem na twarz czarną maskę, siadałem na krześle przed lustrem, wyciągałem nogi aż na umywalkę i kołysząc wachlarzem stroilem do lustra pocieszne miny. To była moja jedyna rozrywka. Zżerała mnie ambicja. Czy pan coś takiego przeżywał?

– Tak. Ale lepiej mówmy o panu.

– Rozmyślałem: jeśli naprawdę posiadam talent, napiszę coś takiego, co jednak zdoła wstrząsnąć miastem. „Dobry reporter, jeśli nie trafi na coś interesującego, to przynajmniej coś ciekawego potrafi wymyślić” – uczył mnie kiedyś kierownik działu w redakcji. Pomysł przyszedł mi szybko, a nasunęły go owe dwa rekwizyty teatralne: domino i czarny wachlarz. Mój „Wąż morski” musiał odpowiadać następującym warunkom: powinien zawierać historyjkę w miarę sentymentalną i ckliwą, która zgadzałaby się z gustem literackim większości mieszkańców Piotrkowa, tu przecież od kilku lat cieszyły się powodzeniem przeróżne sentymentalne odcinkowe powieści. Dla uprawdopodobnienia swojej historii posłużyłem się dominem i wachlarzem. Już w drugim odcinku powieści dałem do zrozumienia czytelnikom, że historia przeze mnie opisywana działa się w rzeczywistości i to w Piotrkowie. Zgodnie z akcją powieści pod kamieniem na rozstaju dróg został przeze mnie zakopany czarny wachlarz i domino. Własnoręcznie ukryłem te przedmioty we wskazanych przez siebie miejscach a potem obserwowałem, jak czytelnicy powieści rozpoczęli poszukiwania. Powieść ciągnąłem dalej. Uciąłem sobie kosmyk włosów, zawiązałem go czerwoną wstążeczką i schowałem za starym obrazem w kościele. Jak w wiedeńskim wodewilu prowadziłem czytelników z miejsca na miejsce, ciągle pozwalając im odkryć coś nowego. Uwierzyli, że powieść jest „prawdziwa”, czytali ją, nakład gazety podskoczył. Naczelnny redaktor przywrócił mnie do łask i znowu wyjechałem za granicę, do Belgradu. Nikt poza mną nie wiedział jak się naprawdę ma sprawa „czarnego wachlarza”. Dlaczego więc zginął Józef Marczak? A może Marczak popełnił jakieś finansowe nadużycia?

– Nie. Przeprowadziliśmy dokładną kontrolę. Buchalteria spółdzielni jest bez zarzutu. Z kasy nie zginęła ani złotówka.

– W takim razie nic a nic nie rozumiem.

Szpakowaty oficer śledczy sięgnął po kapelusz leżący na stole.

– Ja także nie rozumiem, panie redaktorze. Nie pojmuję, dlaczego Marczak opowiadał, że jest prześladowany przez fikcyjną postać z pańskiej powieści. Nie wiem, co ma znaczyć czarny wachlarz na łóżku splamionym krwią kasjera.

Henryka nagle ogarnęła wesołość. Cała sprawa była przecież tak bardzo absurdalna. Powiedział do oficera śledczego:

– Jak to się dzieje, że w Szkocji, ilekroć miejscowi hotelarze odczuwają brak turystów a dziennikarzowi brakuje tematu, zawsze ktoś dostrzeże w jeziorze Loch Ness dziwnego potwora, którego zowią „wężem morskim”? Cóż wiemy o zwyczajach „węży morskich”? Zapewne węży tych jest wiele rodzajów. Inne są te, które wymyślono na użytek hotelarzy, dziennikarzy, na użytek rodziny, państwa, polityków. Są „węże morskie” o charakterze prywatnym i publicznym, a jeszcze inne dla czytelników gazet. Jednaka jest tylko ich istota. Powstają jako zlepek naszych poglądów i wyobrażeń, potem zaś już w pełni ukształtowane w naszej wyobraźni, zabierają się aby nas połknąć. Nie widzę innej rady, jak poznać obyczaje „węża morskiego”, którego stworzyłem w Piotrkowie, a który już niezależnie ode mnie zaczął tam żyć swoim własnym życiem.

– Tak, tak, ma pan rację – rzekł szpakowaty oficer i pośpiesznie pożegnał Henryka.

A może jednak i ja również powinienem pojechać do Piotrkowa? – rozmyślał Henryk po odejściu śledczego.

W zakamarkach swego biurka odnalazł wycinki powieści „Czarny wachlarz”, tej powieści, która ożywiła „węża morskiego”. To w niej kryło się chyba wyjaśnienie zagadki zabójstwa kasjera ze spółdzielni „Podkowa”.

Henryk czytał powieść wolniutko, słowo po słowie, zdanie po zdaniu. I może właśnie dlatego jeszcze wyraźniej odczuł nicość i głupotę własnego utworu.

Była to banalna, bzdurna historyjka, którą rzekomo opowiada dziennikarzowi jakiś stary człowiek.

...Oto bal maskowy urządzony przed wojną w salach starostwa. Na balu miejscowa śmietanka – starosta, burmistrz, lekarze, adwokaci, rejent, aptekarze, ziemiaństwo z okolicznych dworców, kamienicznicy. Wśród rozbawionych gości zwraca uwagę młoda, bardzo urodziwa dziewczyna, córka właściciela sklepu i kamienicy w Piotrkowie. Między możliwych miasteczka wcisnął się także młody buchalter z powiatowego banku, skromny urzędniczyna z twarzą zakrytą czarną maską.

Buchalter tańczy z piękną córką kamienicznika, emabluje ją. Intryguje. Kto wie, może budzi gorętsze uczucia?

Bal się kończy. Urzędnik nie zdradza swej twarzy. Obdarzony przez pannę czarnym wachlarzem, umyka z balu jak Kopciuszek, unosząc obietnicę spotkania na rozstaju dróg za miastem.

Spotykają się o zmroku. Buchalter ma znowu maskę na twarzy i mimo próśb pięknej panny nie chce jej ukazać swych rysów. Lęka się, że jego niska pozycja społeczna (och, jakie to cikliwe) odtrąci od niego córkę bogacza. Dziewczyna jest coraz bardziej zaintrygowana owym tajemniczym wielbicielem, Wreszcie zakochuje się w nim. Pragnie zobaczyć twarz ukochanego i daje mu stanowczy rozkaz: na następne spotkanie musi przyjść bez maski.

Buchalter na spotkanie nie przyszedł. Bał się, że utraci ukochaną.

Dziewczyna rozpoczyna gorliwe poszukiwania za swym wybranym. Rozpuszcza wśród znajomych wiadomość, że chciałaby widzieć się z mężczyzną, którego obdarowała czarnym wachlarzem. Traf zdarzył, że buchalter posiadał przyjaciela, który zauważył u niego czarny wachlarz, ukradł mu go i zjawił się z wachlarzem u pięknej dziewczyny. Ta nie rozpoznała oszusta, wkrótce wyszła za niego za mąż i wyjechała za granicę. Do kraju przyjechała na krótko przed wybuchem wojny. W międzyczasie buchaltera powołano do wojska, został wzięty do niewoli, spędził pięć lat w obozie, a później przez pewien czas przebywał na obczyźnie.

Gdy przyjechał do Piotrkowa, jego dawna ukochana już nie żyła. Ludzie opowiedzieli mu, że stosunki między nią a jej mężem zupełnie się popsuły, prawdopodobnie domyśliła się oszustwa. Porzuciła męża, a pamiętając o swym dawnym wielbicieleu zakopała czarny wachlarz i domino (skąd u diabła miała jego domino?!) na rozstaju dróg, gdzie ongiś odbywała romantyczne spotkania. Za starym obrazem w kościele ukryła inną pamiątkę po ukochanym – kosmyk włosów (okropne!).

Buchalter dopiero teraz dowiedział się, że został oszukany przez swego przyjaciela. Ukochana nie żyła jednak. Pozostała mu tylko zemsta. Czy znajdzie jednak i dosięgnie oszusta?...

Tymi słowami kończył się ostatni odcinek okropnej powieści Henryka. Powieści, która pozwoliła mu uciec z Piotrkowa.

A czternastego stycznia w Piotrkowie zabito Marczaka – kasjera spółdzielni „Podkowa”. W wieczór poprzedzający śmierć, Marczak zwierzał się, że prześladowuje go „Mściciel” z „Czarnego wachlarza”. W mieszkaniu zamordowanego na łóżku zbryzganym krwią, milicja odnalazła czarny wachlarz.

Czyżby Marczak okazał się zdradzieckim przyjacielem skromnego buchaltera?

Nonsens! Bzdura! – krzyknął Henryk w pustym pokoju.

„To przecie ja wymyśliłem postać skromnego buchaltera i jego romans na balu maskowym. To także ja wyimaginowałem osobę jego oszukańczego przyjaciela. To ja w szufladzie starej komody hotelowej odkryłem przypadkowo czarny wachlarz i domino”.

Ja... ja... wszystko ja... – powtarzał, czując, że ogarnia go szaleństwo.

Nagle opanował się. A może podczas pobytu w Piotrkowie bezwiednie wysłuchał podobnej historyjki, a potem opisał ją, nie pamiętając, że była zasłyszana?

Nie. I ta ewentualność musiała odpaść. Henryk pamiętał dokładnie proces powstawania „Czarnego wachlarza”. Siedział na krześle przed umywalką z nogami wyciągniętymi, aż do kranu i patrzył w lustro. Potem założył na twarz czarną maskę, zgubioną przez aktorkę, zaczął się bawić wachlarzem. Rozmyślał: Muszę stworzyć „węża morskiego”, bo inaczej skisnę w tym mieście. Zaczął rozważać: domino i wachlarz to balowe rekwizyty, a na balu maskowym często zdarzają się przeróżne qui pro quo, przygody, flirty, niespodzianki. W myślach Henryka odżyły reminiscencje z przeczytanych dobrych i złych książek, strzępki przeróżnych mniej lub więcej szmirowatych historyjek. I tak – doszło do skonstruowania fabuły „Czarnego wachlarza”.

Pewnej grudniowej nocy Henryk powędrował na rozstajne drogi za miastem. Zwykłą łyżką do butów wygrzebał w ziemi dołek i ukrył w nim wachlarz i domino. Przed lustrem w hotelu uciął sobie kosmyk włosów, zawiązał go wstążeczką i zaniósł do kościoła Farnego, dyskretnie chowając włosy za obrazem z dwoma aniołami. A potem – ileż to przeżywał szyderczej radości! Poranny pociąg przywiózł gazety, kilkunastu ludzi przeczytało kolejny odcinek powieści i w te pędy biegło na rozstajne drogi szukać zakopanego wachlarza i domina. Odnaleźli je! Jakże szydził z nich w duchu, widząc ich zdumione miny!

Zaraz... zaraz... Któż to pierwszy natknął się na zakopane przez Henryka rekwizyty???

Tak. To był właśnie niejaki Marczak. Kasjer ze spółdzielni „Podkowa”.

A potem ten sam wachlarz leżał na łóżku splamionym krwią kasjera. Jak powiedział oficer śledczy: „Wąż morski” ożył i połknął swą ofiarę...

Muszę jechać do Piotrkowa – postanowił Henryk. – Muszę wyjaśnić zagadkę „węża morskiego”.

I poszedł do Naczelnego Redaktora z prośbą o dwutygodniowy urlop.

III.

Na drzwiach hotelu wisiał kolorowy plakat:

„Już za trzy dni wystąpi w Piotrkowie znakomity iluzjonista, słynny Cagliostro w nowym programie”.

– Pan redaktor redivivus – powitał radośnie Henryka pan Antoni Prokopiusz, portier Miejskiego Hotelu.

Był to dystyngowany starszy pan. Pachniał lawendą i odznaczał się wytwornością portierów prawdziwie europejskich hoteli.

Złośliwy mógłby rzec, że Prokopiusz doczekał wreszcie lepszych czasów. Jego dawne stroje – wąskie spodenki, kolorowe kamizelki i białe sztywne koszule budzące dawniej drwiny, teraz stały się znowu bardzo modne i nawet Henryk z zazdrością patrzył na jego kamizelkę barwy terrakoty. Przed pierwszą wojną światową Prokopiusz pracował jako „boy” w moskiewskim hotelu „Metropol”. A ponieważ i Henrykowi trzy lata temu wypadło przytulić głowę pod dachem owego hotelu, między Henrykiem, a panem Prokopiuszem istniała nić subtelnej sympatii.

– Trzynastka, niestety, zajęta – powiedział Prokopiusz, przyglądając dłonią swe siwe, długie włosy.

„Trzynastka”? Mieszkałem kiedyś pod „trzynastką”. Jakie to miłe, że o tym pamięta. – pomyślał Henryk.

– Otrzyma pan pokój czternasty. Ma nieco brzydsze umeblowanie, ale posiada balkon z widokiem na ulicę.

Henryk otrzymał klucz i powędrował na piętro. Po wąskich schodach zbiegał właśnie wysoki czarno odziany mężczyzna ze szpiczastą brodą. Zaczepił nogą o walizkę Henryka, stracił równowagę i aby nie upaść uczeplił się jego ręki i ramienia. Henryk przeprosił go, a on uprzejmie skinął głową. Był już na dole, gdy odwrócił się i spoglądając ku górze, zapytał:

– Zdaje się, że to pan zgubił zegarek?

I na dłoni ważył jakiś przedmiot połyskujący niklem. Henryk dotknął dłonią przegubu swej ręki. Tak, nie miał zegarka.

Czarno odziany pan podbiegł grzecznie po schodach i podał mu zegarek.

– Cagliostro jestem – powiedział.

Henryk skłonił się uprzejmie, a potem powędrował korytarzem.

Pokój hotelowy przedstawił mu się dość smutnie. Drewniane łóżko chwiało się i skrzypiało, z umywalki cuchnęło, a lustro: wyglądało jak zeschnięty liść z siatką drobniotkich żyłek.

„Cóż dalej?” – zastanawiał się Henryk.

Na chwałę przysiadł na niskim taboreciku i przejrzał kupioną w kiosku gazetę. Jedna kolumna nosiła tytuł: „ŻYCIE PIOTRKOWA”. Znalazł w niej niewielką wzmiankę:

„Jak nas poinformowano w Komendzie Wojewódzkiej MO, śledztwo w sprawie śmierci Józefa Marcza, kasjera ze spółdzielni „Podkowa” toczy się w dalszym ciągu. MO uzyskało

w ostatnim czasie szereg nowych informacji. Obecnie – prowadzi się w jeziorze na Bugaju poszukiwania ciała denata, gdyż jak przypuszcza się, właśnie tam mordercy utopili zwłoki Marczaka”.

„A jeśli zwłok nie odnajdą?” – zastanawiał się Henryk.

Starannie złożył gazetę, podszedł do okna i stwierdziwszy, że na dworze pada deszcz, narzucił na siebie płaszcz i wyszedł na ulicę. Minął kilka domów i po drugiej stronie ulicy dostrzegł okno wystawowe, a na nim starty napis „Wędliny”. To tutaj mieścił się piotrkowski oddział redakcji. To tutaj Henryk odrabiał błąd, jaki popełnił podczas swego pobytu w Wiedniu.

Mroczne wnętrze sklepu miało ściany z brudnych kafelków i długi rząd czarnych zarzewiałych haków na mięso. Tam, gdzie ongiś tkwił kontuar i wielki rzeźnicki pień – wstawiono dwa biurka. Za jednym z nich urzędował reporter Gałkowiecki, za drugim zaś kiedyś pracował Henryk, teraz zaś tkwić tu powinna Zuza, obecna kierowniczka piotrkowskiego oddziału redakcji.

„Ciekawe co też ona nabroiła, że skierowano ją na tę robotę?” – pomyślał Henryk, wspominając swoje gorzkie doświadczenie. I zaraz zreflektował się. Zuza zawsze miała ambicje, aby kierować jakąś samodzielną placówką. Osiągnęła przynajmniej tyle, że słuchać jej musiał reporter Gałkowiecki.

Na wystawie księgarni dostrzegł Henryk szósty tom Marcela Prousta „W poszukiwaniu utraconego czasu”. Przypomniał sobie, że właśnie brakuje mu tego tomu, zapewne przegapił go podczas pobytu w Jugosławii. Wszedł więc do księgarni i poprosił o Prousta.

Zawiązując książkę w papier, księgarz pochylił się do ucha Henryka i szepnął:

– Mam coś bardzo interesującego...

– Naprawdę?

– Komplet wycinków powieści „Czarny wachlarz”.

Henryk zaczerwienił się. Ten człowiek kpił sobie z niego?

Ale księgarz – niski, chudy mężczyzna o zniszczonej twarzy i odmrożonym czerwonym nosie – pytał zupełnie poważnie.

– Cały komplet wycinków. I bardzo tanio – dodał.

– Ile?

– Sto złotych.

– Komplet wycinków za sto złotych? – oburzył się Henryk.

– Dawniej, zaraz po zamordowaniu Józefa Marczaka, płacono po dwieście złotych.

Henryk wzruszył ramionami.

– Ba, gdyby ten komplet był w solidnej oprawie, w półskórku – powiedział.

Księgarz obraził się. Zaciśnął usta i w milczeniu podał Henrykowi tom Prousta.

Na ulicy Henryk przypomniał sobie słowa starożytnych: „Ten jest winien przestępstwa, kto ma z niego korzyść”.

Z zabójstwa Marczaaka korzyść mieli chyba nie tylko ci, co obrabowali mieszkanie. Zarobił także i ów księgarz sprzedając wycinki „Czarnego wachlarza”.

„To może właśnie on rozpuścił w miasteczku wiadomość, że Marczak zginął z ręki „Mściciela” opisanego w „Czarnym wachlarzu”? – zastanawiał się Henryk.

Teraz wszedł do prywatnego zakładu fryzjerskiego należącego do Eugeniusza Kolasy. Postanowił ogolić się, a jednocześnie zapytać, gdzie mieszkał Józef Marczak.

Fryzjer Kolasa znał Henryka jeszcze z czasów jego poprzedniej bytności w Piotrkowie. Ogromna łysa głowa Kolasy (ileż w tym ironii losu), pochyliła się do Henryka, jego wiśniowe usta zbliżyły się do ucha Henryka.

– Dom Marczaaka znajduje się nad jeziorem Bugaj. Mały, niewykończony domek w ogrodzie. Trafi pan. Ogród jest utoczony żywopłotem. Teraz w domu Marczaaka mieszka jego siostrzenica. Piękna kobieta. Przyjechała tu z Łodzi... – Kolasa zawiesił głos. Można było sądzić, że posiada jakieś szczególnej wagi informacje o siostrzenicy Marczaaka, lecz postanowił zachować je dla siebie.

– A w ogóle, co pan myśli o śmierci Marczaaka? – zapytał Henryk.

– Nie wiem co o tym myśleć. Wiadomość o śmierci Marczaaka zaskoczyła mnie. Tym bardziej, że podobno zabił go facet z „Czarnego wachlarza”.

Kolasa począł ostrzyć brzytwę. Delikatnie dotknął palcem ostrza i dopiero wtedy rzekł:

– Pewnie panu przykro.

– Niby dlaczego?

– No, że ten facet zabił Marczaaka.

– A cóż mnie to może obchodzić? – obojętnie odpowiedział Henryk. – Przyszedł ten człowiek do mnie, opowiedział ciekawą historię. Z dziennikarskiego obowiązku wydrukowałem ją w gazecie. I na tym koniec. Czy mogę ponosić odpowiedzialność, że on potem zabił Marczaaka?

Kolasa chwycił palcami czubek nosa Henryka.

– No tak, ma pan rację. To była zemsta osobista.

– Yhm – mruknął Henryk przez zaciśnięty nos.

– Facet zabił go, bo Marczak podstępnie uwiódł mu dziewczynę. Tę z balu maskowego.

– Yhm.

– A potem się z nią ożenił. Tak było w pańskiej powieści.

– Yhm.

– Ale tutejsi ludzie Marczaka dobrze znają. Od dziecka go znają.

– Yhm.

– On nikomu dziewczyny nie zabrał. I nie był żonaty. Morderstwa zaś dokonano na tle rabunkowym. Ograbiono Marczaka ze wszystkich cenniejszych rzeczy.

Nareszcie puścił nos Henryka.

– Morderca mógł dokonać rabunku dla zmylenia tropu.

– Yhm – mruknął Kolasa.

– Ma pan na tę sprawę jakiś własny pogląd?

Wprawnymi ruchami brzytwą zgarniał Kolasa mydło z policzków. Cała jego uwaga zdawała się skupiać na szyi Henryka, po której z cichym chrzęstem sunęło ostrze. Nagle fryzjer szepnął do ucha Henrykowi:

– Niech pan będzie ostrożny... śledzą pana.

Henryk aż podskoczył na krześle. Szyję jakby sparzył mu gorący węgielek.

– Och jaki pan nerwowy. Ałun. Gdzie jest ałun? – Wołał Kolasa biegnąc z brzytwą po zakładzie.

Posmarował ałunem zakrwawione miejsce. Wyjaśnił cicho:

– Za panem przyjechał jakiś człowiek. Wygląda na tajniaka. Nie miałem klientów, stałem na ulicy i gapiłem się na ulicę. Pan wyszedł z hotelu, a ten człowiek poszedł za panem. Teraz sterczy na ulicy i czeka, aż pan wyjdzie z mego zakładu.

Opryskał Henryka wodą kolońską, skaleczone miejsce zaszczypało boleśnie. Fryzjer powachlował Henryka białym ręcznikiem. Potem omączył mu twarz pudrem.

– Nic z tego nie rozumiem. Kto mnie śledzi, u diabła – burknął Henryk.

– Nie wiem. Jestem tylko fryzjerem – Kolasa pogłaskał dłonią swoją łysą czaszkę.

Henryk położył pieniądze na marmurowym stoliku z lustrem.

– Dziękuję panu. Serdecznie dziękuję – nisko pokłonił się Kolasa.

Pomógł klientowi nałożyć płaszcz.

– Starożytni uczyli... – zaczął Kolasa.

– Wiem, wiem – krzyknął Henryk. – Uczyli: ten popełnił przestępstwo, kto osiągnął z niego korzyść. Oświadczam panu, że z powodu śmierci Marczaka miałem tylko same przykrości.

– Ależ z pana nerwus. Na śmierci Marczaka obłowiła się jego siostrzenica. Ma teraz dom z ogrodem. Podejrzana osóbką. Panna z dzieckiem. Do kościoła nie chodzi. – Kolasa powędrował palcami po łysinie jakby szukając na niej jakiegoś włoska.

„Łajdak” pomyślał Henryk i trzasnął drzwiami.

Był tak rozgniewany, że nawet zapomniał przyjrzeć się człowiekowi, który go śledził. Szybkimi krokami przemierzył miasto i minąwszy zakłady bawełniane znalazł się na Bugaju.

IV.

Dom Marczaka rozpoznał po wysokim żywopłocie otaczającym ogród. W żywopłocie była furtka. Uchylił ją i wstąpił na wąską ścieżkę biegnącą przez trawnik. Zza chmur wyrzało słońce, pojaśniały czerwienią dachówki domu w ogrodzie, srebrny refleks przebiegł po trzech oknach z czysto wymytmymi szybami. Reszta okien ukrywała się za krzywo przybitymi deskami; dom tylko w niewielkiej części został oddany do użytku.

W ogrodzie Henryk zobaczył szczupłą kobietę w czerni. Dopiero później dostrzegł bawiącą się na murawie dziewczynkę w zielonym paltociku.

– Pan jest z milicji? – spytała Henryka młoda kobieta. Zapewne przede wszystkim składali jej wizyty prowadzący śledztwo.

Pokazał swoją legitymację dziennikarską. Spojrzała na Henryka bez niechęci.

– Nie wiem czy potrafię panu udzielić jakichkolwiek informacji. Jestem tu dopiero od miesiąca, a wujek mój zginął w połowie stycznia. Prawie wcale go nie znałam. Pewnego dnia otrzymałam zawiadomienie o jego... – urwała. Po chwili mówiła dalej:

– Potem adwokat przysłał mi zawiadomienie, że mogę wejść w prawa wuja, tak to się zdaje nazywa? Z Łodzią nic mnie nie wiązało, chętnie więc tutaj przyjechałam.

Była bardzo ładną kobietą. Henryka zawsze zachwycił właśnie ton typ urody. – szczupła, wysoka brunetka o delikatnej twarzy i ciemnych skośnych brwiach.

„A jeśli ona zabiła Marczaka?” – pomyślał.

– Do tej pory milicja nie odnalazła mordercy pani wuja – powiedział. – Lękam się, że śledztwo idzie po fałszywym tropie. Pani mieszka w domu swego wuja, w mieszkaniu, w którym popełniono zbrodnię...

– Pan chce mnie nastraszyć? – zapytała drwiąco. – Mieszkam tu sama z dzieckiem, dookoła prawie pustkowie. Ale zaręczam panu, że są rzeczy, których się stokroć bardziej boję niż to, co mnie może tu grozić.

W zakłopotaniu skubał palce swych skórzanych rękawiczek. Zdawał sobie sprawę, że popełnił niezręczność.

– Nie chciałem panią nastraszyć. Pragnąłem zapytać czy w mieszkaniu wuja, wśród rzeczy, które pani po nim otrzymała nie zwróciła pani na coś uwagi...

– Ależ pan tłumaczy zawile.

– To może ja przyjdę innym razem – zdecydował.

Nie odpowiedziała. Patrzyła mu w oczy, a on czuł się coraz bardziej niepewnie. Oczy miała bardzo piękne, zielone a chwilami niebieskawe. Gdyby nie sprawa tego morderstwa powiedziała by jej to – i zapewne rozmowa między nimi potoczyłaby się już znacznie łatwiej. Zresztą, może to byłby już koniec rozmowy?

Dziewczynka poczęła matkę ciągnąć za rękaw. To uratowało Henryka. Kobieta zaproponowała:

– Muszę dać dziecku obiad. Może wstąpi pan do nas?

Mieszkanie Marczaka składało się z dużej jasnej kuchni o dwóch oknach i małego, ciemnego pokoiku. W kuchni zamieszkała siostrzenica Marczaka, w pokoju podobno pozostało wszystko prawie nietknięte od tamtej tragicznej chwili. Tyle tylko, że skrwawioną pościel zabrano do Komendy Wojewódzkiej MO i pozwolono siostrzenicy wymyć na wiosnę okna, zetrzeć kurze i zamieść.

– Od czasu do czasu zagląda tu oficer milicji – powiedziała. – Taki z siwymi włosami. Siada w fotelu za biurkiem i myśli. Godzinami tak siedzi i myśli.

– O mnie myśli – rzekł Henryk.

Zaśmiała się. Potraktowała jego słowa jako żart. A przecież to chyba właśnie o Henryku i o jego „czarnym wachlarzu” rozmyślał tutaj Szpakowaty.

Pozwoliła Henrykowi zasiąść za biurkiem Marczaka i grzebać w szufladach.

– Tam nic nie ma, proszę pana. Milicja przeszukała je z dziesięć razy.

Usiadł w fotelu jak Szpakowaty z milicji. Rozejrzał się po ścianach pokoju wylepionych brązową tapetą. Nad drewnianym łóżkiem wisiał duży obraz Chrystusa w Ogrójcu. Chrystus podobny był do starszego brata Henryka, psychologa z Warszawy. Obok łóżka stała szafka nocna „na wysoki połysk”, nieco wyżej półeczka z kilkoma książkami. Były to kryminały z serii „Srebrnego Kluczyka” i „Labiryntu”. I biurko – wielkie, rozległe biurko podobne do katafalku. Leżało na nim duże liczydło, stała lampa z zielonym abażurem oraz staroświeckie przybory do atramentu. W środkowej szufladzie znalazł Henryk kilka kwitków: za elektryczność, za „ostrzyżenie żywopłotu”, za remont podłogi w kuchni. Ostatnia szuflada po prawej stronie ziała prawie zupełną pustką. Gdy ją wysunął zagrzechało kilka niemieckich monet po pięć fenigów. Pochodziły one z czasów wojny.

Wyciągnął je, położył sobie na dłoni. Już miał wrzucić je na dawne miejsce i zatrzaskać szufladę, gdy uwagę jego zwróciła jedna moneta. Wydała mu się zupełnie inną od pozostałych i dlatego podszedł z nią do okna. Nie, to nie był fenig, lecz stara, bardzo stara moneta, zapewne ze srebra.

Za drzwiami pokoju zastukały buciki siostrzenicy Marczaka. Henryk zacisnął monetę w dłoni a potem — sam nie wiedząc dlaczego to robi — schował pieniążek do kieszeni.

– Pytał mnie pan, czy w mieszkaniu mego wuja coś zwróciło moją uwagę – powiedziała Joanna.

– Tak, pytałem.

– Otóż proszę pana, rzeczywiście coś tu jest zaskakującego.

Usiadła na łóżku, założyła nogę na nogę. Palila papierosa, Henryk wyobraził sobie jak jej osoba intryguje sąsiadów z Bugaju, jak ją obnoszą na językach.

– Jak pani na imię? – spytał.

– Joanna. Ale pan chyba nie zamierza mówić mi po imieniu? – zaniepokoiła się.

– To ładne imię.

– Nie wiem. Wiem natomiast, że stracił pan zainteresowanie dla tego, co zwróciło moją uwagę w domu mego wuja.

– Nie, nie. Proszę mówić...

Dotknęła palcami swoich czarnych włosów, gładko zaczesanych i upiętych z tyłu białym ozdobnym grzebieniem.

– Pan jest kawalerem?

– Tak – odrzekł. Teraz on był niespokojny.

– Gdyby pan urządził mieszkanie we własnym domu, jakie pomieszczenie miałoby dla pana największe znaczenie?

– Gabinet, łazienka, kuchenka.

Zaśmiała się.

– No właśnie. Mój wujek był, jak się to mówi, starym kawalerem. Czy to nie dziwne, że w jego mieszkaniu jest ogromna kuchnia i malutki, ciasny pokoik? Pan użył słowa „kuchenka”. A tu mamy kuchnię. Tak, jakby to mieszkanie przygotowywała gospodyni, kobieta, a nie stary kawaler.

– A może lubił gotować?

– Nie. Zostałam w kuchni zaledwie dwa garnki, kilka talerzy, patelnię. To był cały jego sprzęt kuchenny. Wujek zdaje się, w ogóle w domu nie gotował obiadów. Przyrządzał sobie tylko śniadanie i kolację.

Nagle Joanna zerwała się i w popłochu pobiegła do kuchni. Henryk spojrział w okno. Od furtki w żywopłocie zbliżała się wysoka, postawna blondyna. Kiedyś zapewne bardzo ładna, teraz – gdy chyba przekroczyła już pięćdziesiątkę – z dawnej urody zachowała już tylko piękne jasne włosy. Szła energicznym krokiem, machając rękami jak żołnierz na defiladzie.

Joanna otworzyła drzwi do kuchni i stanęła na progu mieszkania. Blondyna odezwała się grubym, męskim głosem:

– Chodził tu jakiś człowiek w deszczowym płaszczu, w kapeluszu i w okularach. Teraz ciągle kręcą się koło nas podejrzane typy. Dawniej człowiek mógł pójść do sklepu i zostawić drzwi otwarte, nigdy nic nie zginęło, A teraz...

– ...Zginęło coś pani?

– Na razie nie. Ale odkąd kręcą się te przeróżne typy...

– Ten pan był z gazety. Dziennikarz – wyjaśniła Joanna. Nie powiedziała jednak, że Henryk jeszcze się u niej znajduje.

– Nie lubię gazet. Nie czytuję gazet – burknęła blondyna. – A panią bardzo proszę, niech pani zwraca uwagę na te różne typy, co się tu kręcą. Ukradną coś albo znowu popełnią jakieś morderstwo. Bo ja, proszę pani, wyjeżdżam zaraz do Łodzi. W lesie za Piotrkowem, znaleziono jakieś zwłoki. I wezwano mnie do prosektorium w Łodzi, żebym zobaczyła, czy to nie ciało Marczaka. Pani wuja – dodała.

Odwróciła się na pięcie jak oficer na defiladzie. Miarowym krokiem powędrowała do furtki w żywopłocie.

– Cóż to za babsko? – spytał Henryk.

– Pani Gnom. Ma domek naprzeciwko.

Skinął głową. Nałożył płaszcz i kapelusz. Gdy blondyna zniknęła za żywopłotem pożegnał Joannę.

– Czy będę mógł tu wrócić? Chciałbym jeszcze raz rozejrzeć się w jego rzeczach – powiedział.

– Proszę... Bardzo proszę...

Minął furtkę i znowu dostrzegł panią Gnom. Szła przez lasek do swego domu. W jej sylwetce uderzyło go jednak coś nowego. Kroczyła wolno, powłócząc nogami. Ręce miała bezwładnie zwieszane wzdłuż tułowia. Energiczna pani Gnom szła teraz nie jak żołnierz, ale jak schorowana staruszka.

Nagle obejrzała się. Zauważyła Henryka i znowu ruszyła swym dawnym, wojskowym marszem.

W hotelu portier Prokopiusz zwrócił się do Henryka:

– Rozprzedaję bilety na występ Cagliostro. Czy życzy pan sobie bilecik?

– Co to za heca?

– Magik, iluzjonista, czarnoksiężnik.

– Bzdura. To dobre dla dzieci.

Raptem przypomniał sobie o córeczce Joanny.

– Kiedy będzie występ?

– Jutro wieczorem. W sali kina.

– Proszę trzy bilety – powiedział Henryk.

V

Wieczorem zaczął padać śnieg, choć przecież nadeszła wiosna. Potem coś bębniło o szyby. Leciał grad wielkości laskowych orzeszków.

I znowu, jak przed kilkoma miesiącami, ogarnęło Henryka uczucie wielkiej niechęci do Piotrkowa.

„Tylko tu mogło wydarzyć się, że bohater wiejskiej powieści ożył i popełnił zbrodnię” – myślał ze złością. Wyjął z szafy palto i nakrywszy się nim, skulił się na kanapie.

– Zapukano do drzwi.

– Wejść – krzyknął niechętnie.

I oto na stołku przy kanapie, gdzie leżał Henryk okryty paltem – zasiadła Zuza. Miała dwadzieścia cztery lata, ale była gruba i na głowie nosiła ogromny kok rudych włosów.

W redakcji wiedziano, że marzeniem Zuzy było mieć jakieś bardzo odpowiedzialne stanowisko oraz wyjść za mąż. Może przede wszystkim – wyjść za mąż. Dla tego celu byłaby chyba gotowa nawet zrezygnować z wysokiego, ba, najwyższego stanowiska.

– Wyjaśnij, mi, proszę, co ty tutaj robisz? Po co przyjechałeś do Piotrkowa – odezwała się Zuza.

– A ty? – spytał, żeby zyskać czas do namysłu nad odpowiedzią.

– Jak to: co ja tu robię? Redaguję „Życie Piotrkowa”. Robię to samo, co ty kiedyś czyniłeś. Mam odpowiedzialne stanowisko kierownika oddziału redakcji.

– Zabawne – rzekł Henryk.

– To wcale nie jest zabawne. Tym bardziej, że odkąd tu jestem znowu spadł nakład naszej gazety. Lękam się, że naczelny nigdy nie da mi żadnego poważniejszego stanowiska w redakcji. Henryku, błagam cię, napisz znowu jakiś „Czarny wachlarz”. Zrób to dla mnie. Dostaniesz specjalne honorarium. Oddam ci swoją pensję. Ja i tak nic nie jem, bo się ciągle odchudzam.

– Zwariowałaś, Zuzo? – zawołał Henryk. Raptem coś sobie przypomniał:

– Słuchaj, Zuzo. Pracujesz tutaj przecież już chyba od Nowego Roku. Byłaś w Piotrkowie, gdy zabito Józefa Marcza?

– Owszem. Poznałam go na trzy dni przed jego śmiercią. To był bardzo sympatyczny starszy pan. I kawaler – zaznaczyła. – Niestety. Zabito go – westchnęła. – A ja, Henryku tak bym chciała wyjść za mąż...

To mówiąc obciągnęła na nogach sukienkę w taki sposób, że pokazała Henrykowi swoje zgrabne okrągłe kolana i rąbek czarnej halki.

– Wychodzisz? – zdziwiła się, widząc, że Henryk zerwał się z kanapy i począł nakładać płaszcz.

– Umówiłem się na szóstą...

– Z jakąś dziewczyną? Przyznaj się, masz tu dziewczynę. To dla niej przyjechałeś do Piotrkowa?

– Nie, nie. Słowo honoru, nie.

– Mieszkam w pokoju numer dwadzieścia jeden – powiedziała. – Zajrzysz do mnie, prawda?

Skinął głową. Wyszli razem z pokoju. Na korytarzu minął ich Cagliostro. Zobaczył Zuzę obok Henryka i mrugnął ku niemu znacząco.

Ulicami Piotrkowa gnał zimny wiatr. Henryk szedł skulony, przytrzymując ręką kapelusz i omijając kałuże wody. Nieliczni przechodnie patrzyli na siebie wrogo, jakby jeden do drugiego miał pretensje o ów ziąb, który nastał niespodziewanie po kilku słonecznych dniach. Dopiero teraz, na tle szarego nieba i mokrych, jakby brudnych ścian domów, zauważało się, że niektóre krzewy i drzewa zdążyły się już pokryć zielenią.

Joannę zastał Henryk ubraną w palto.

– Ach, to pan? – przywitała go kwaśno. – Córeczkę boli ząb, muszę ją zaprowadzić do dentysty. Ma pięć latek, a już ząbek dziurawy.

Mała rozbeczała się z lęku przed dentystą. Henryk przypomniał sobie o biletach na występ Cagliostro.

– Jeśli nie będziesz płakać – zwrócił się do małej – jutro wieczorem pójdziemy oglądać czarnoksiężnika. Czarnoksiężnika z czarną brodą. Pójdziemy, prawda? – i pokazał Joannie trzy bilety.

Uśmiechnęła się.

– Nie wiem czy wypada.

– Wypada, wypada – powiedział trochę niegrzecznie.

Znęcona obietnicą zobaczenia czarnoksiężnika mała na chwilę przestała płakać. Potem jednak znowu się rozbeczała.

– Może pan pozostanie. My zaraz wrócimy – rzekła Joanna.

Zostawiła Henrykowi klucz od mieszkania i poszła, ciągnąc za rękę opierającą się dziewczynkę.

Płaszcz i kapelusz powiesił Henryk w kuchni i zasiadł na fotelu w gabinecie Marcza. Począł grzebać w szufladach, ale wkrótce zrezygnował. Szuflady nie kryły chyba w sobie rozwiązania zagadkowej śmierci kasjera? Spróbował rozejrzeć się po mieszkaniu i na podstawie znajdujących się tu przedmiotów przedstawić sobie charakter Marcza. Sądząc po jedy-
nym obrazie w całym mieszkaniu – nie interesował się malunkami. Obraz Chrystusa w Ogrójcu nie odznaczał się pięknnością, na półeczce z książkami znajdowały się jedynie „kry-
minały”. Czy znaczyło to, że Marczak miał detektywistyczne zainteresowania? Raczej po prostu nie interesował się literaturą, czytał jedynie dla zabicia czasu. Cóż w takim razie robił ze swym czasem?

Reporter Gałkowiecki szeroko rozpisывał się w „Życia Piotrkowa” na temat trybu życia Józefa Marcza. Jeszcze w Łodzi Henryk zdążył zapoznać się z tymi artykułami. Marczak – pisano – od ósmej rano do szesnastej, a często nawet do siedemnastej pracował w Spółdzielni „Podkowa”, gdzie uważano go za bardzo sumiennego człowieka. W międzyczasie, punktualnie o drugiej po południu szedł na obiad do restauracji. Po pracy wracał do domu i podobno – (tak w każdym razie pisał Gałkowiecki) – pogrążał się w drzemkę. Potem przyrządzał sobie kolację i o wpół do dziewiątej odwiedzał kawiarnię, gdzie wypijał małą czarną. Przed jedenastą wracał do domu i kładł się spać. Do kina chodził rzadko, tak samo do teatru jako, że teatr rzadko odwiedzał Piotrków. Nie pił, nie palił. Aż do dnia śmierci sądzono, że Marczak jest człowiekiem zupełnie samotnym, nie ma żadnej rodziny. Milicja odnalazła jednak jego korespondencję z siostrzenicą w Łodzi i w ten sposób Joanna stała się posiadaczką domu i ogrodu.

Ogród kupił Marczak wkrótce po wojnie. Nie dziwiło to nikogo, bowiem podczas okupacji zajmował się handlem świniami i prawdopodobnie zarobił na tym interesie pokaźną ilość pieniędzy. Wkrótce też zaczął się, jak mówiono, „budować”. Lecz budowy nie skończył. Jak przypuszczano zabrakło mu pieniędzy albo też nie widział potrzeby posiadania większego mieszkania niż pokój z kuchnią. W opinii jaką już pośmiertnie wystawiły Marcza władze – podkreślano fakt, że Marczak, który podczas okupacji handlował i szmugłował, po wojnie „włączył się w nurt nowej rzeczywistości”, stawiał się do pracy w spółdzielni i w ciągu piętnastu lat nie dopatrzonego się w jego działalności nawet najmniejszych uchybień.

Pewnej styczniowej nocy wtargnięto do jego mieszkania i zamordowano go. Z mieszkania zrabowano wszystko co było tam cenne, a więc dwa futra, srebrne nakrycia stołowe, dwa zegarki, malutką papierošnicę srebrną z wygrawerowanym w Źrodku napisem: „Henrykowi Marczakowi, na piętnastolecie jego pracy – Zarząd Spółdzielni „Podkowa”. Milicja opublikowała ten fakt, ponieważ mógł on dopomóc w odnalezieniu mordercy. Ukradziono także kilka dobrych ubrań i dwie pary nowego obuwia. Tyle powiedzieli sąsiedzi i znajomi denata. Być może jednak Marczak posiadał jeszcze i inne dobra, których nikomu nie pokazywał. Może było to złoto, biżuteria, jaką nabył w czasie okupacji, gdy handel świniami przynosił mu duże dochody?

Sprawa śmierci Marczaka pozostawałaby chyba dość prosta – Marczak padł ofiarą bandytów. Został napadnięty, zamordowany, obrabowany. Dla kryminologów i śledczych – historia banalna, jedna z wielu. Gdyby... Gdyby nie oświadczenie dwóch bywalców kawiarni, z którymi prawie co wieczór się spotykał. Zeznali oni, że Marczak bał się „Mściciela” z powieści „Czarny wachlarz”...

Henryk ziewnął. Potem spojrział na zegarek. Dochodziła ósma wieczór. Minęła godzina, odkąd Joanna odeszła z dzieckiem do dentysty.

Ogarnęło Henryka nieprzyjemne uczucie. Oto siedzi wygodnie w fotelu człowieka, którego zamordowano. Kto był mordercą? Postać jaką stworzyła wyobraźnia Henryka, ów mężczyzna, który rzekomo opowiadał mu tragiczną historię z czarnym wachlarzem?

Gdzież jest teraz twór wyobraźni Henryka, straszliwy „Mściciel” z „Czarnego wachlarza”? Może krąży koło tego domu w ciemności zakrzepłej za oknem? Czy danym będzie Henrykowi kiedyś spotkać się z nim oko w oko? A może on sam odwiedzi Henryka? W najbardziej nieoczekiwanej chwili stanie przed nim, położy dłoń na jego ramieniu i zajrzy mu w twarz swym okropnym obliczem monstrum Frankensteina?...

Skrzypnęły drzwi w kuchni. Henryk drgnął. Może to powraca Joanna?

Cisza... Czyżby się przesłyszał? Dlaczego jednak wyraźnie czuje, że przecież ktoś wszedł do kuchni.

Cisza... A teraz powolne, ciężkie kroki.

Kto to? Kroki są coraz bliźsze. Ktoś stanął przy drzwiach do pokoju. Czemu nie wchodzi? Dlaczego wciąż stoi za drzwiami – niemy i jakby martwy?

Klamka w drzwiach poruszyła się. Opadła w dół. Henryk zerwał się z fotela. Krzyknął.

...Na progu pokoju stał Szpakowaty z milicji.

– Przestraszył się pan, prawda? – powiedział i uważnie popatrzył na Henryka.

Zdjął z głowy kapelusz, ostrożnie położył go na łóżko. Powoli usiadł obok kapelusza, dłonie oparł na kolanach.

– Myślałem, że to... – Henryk oddychał ciężko.

– Myślał pan, że to Marczak?

– Nie. Myślałem, że to facet z mojej powieści. Siedziałem tutaj w samotności i wprowadziłem się w głupi nastrój.

– Spodziewał się pan odwiedzin człowieka stworzonego w pańskiej fantazji? Uwierzył pan, że może przyjść coś, co w rzeczywistości nie istnieje? Wąż morski?

– Nie wiem jak to pana wytłumaczyć? Jeśli coś stworzyłem, to ono istnieje. Jest w mej wyobraźni, na kartkach tego, co napisałem. Pojmuje pan?

– Nie bardzo.

– Słyszałem o autorze, który opisując jakieś tragiczne zdarzenie w życiu swego bohatera, aż płakał. Bywają chwile, gdy autor wierzy w istnienie swego bohatera. Jest on dla niego czymś żywym, tak jak pan i ja.

Szpakowaty pomilczał chwilę. Potem rzekł:

– Zmienił się pan od ostatniej naszej rozmowy. Dawniej mówił pan: „Mściciel” nie istnieje, ja go wymyśliłem. Teraz pan mówi: ponieważ go wymyśliłem, on jest.

– Ach to nie jest to samo.

– Być może... Być może... – mruknął.

Henryk rozgniewał się.

– Ciągle jeszcze uważacie mnie za podejrzanego? Nasyła pan na mnie tajniaków. To śmieszne.

Westchnął:

– Mój Boże. Daje pan ciągle podstawy do podejrzeć. Po co pan tu przyjechał? Dlaczego siedzi pan w fotela zamordowanego?

– Siedzę tutaj, ponieważ przestałem ufać inteligencji naszej milicji – rzekł Henryk kpiąco, rad że nareszcie będzie mu mógł dokuczyć. – Skoro milicja zaczyna wierzyć w duchy zabijające kasjerów, podejrzeni muszą sami prowadzić śledztwo, aby oczyścić się z podejrzeń i znaleźć winnych.

Szpakowaty wzruszył ramionami:

– To pan, a nie ja spodziewał się odwiedzin ducha, lub jak pan woli „węża morskiego”.

– Spodziewam się wszystkiego najgorszego – odpowiedział Henryk. – Podejrzewa się mnie, gdy naprawdę winni zapewne znajdują się poza podejrzeniami.

– Pan żartuje – odrzekł.

Henryk zmienił temat:

– Czy nie wie pan, co się stało z innymi rekwizytami, które podrzuciłem w miasteczku w związku z akcją mej powieści?

– Pęczek pańskich włosów – zachichotał – przechowuje w kasie pancерnej pewien tutejszy ksiądz. „Domino” ma jeden z radnych Powiatowej Rady Narodowej. A wachlarz? O Wachlarzu pan wie. Zresztą wydaje mi się, że pan zbyt dużą wagę przypisuje tym rekwizytom. Sam pan powiedział: znalezienie wachlarza na skrwawionym łóżku Marczaka to fakt wprost rzucający się w oczy.

– Tak powiedziałem.

– Może znalazł się na łóżku Marczaka właśnie dlatego, aby rzucać się w oczy, innymi słowy: skierować śledztwo na fałszywy trop?

– Ktoś chciał mnie wpakować w brzydką sprawę. Ale kto? – Henryk zastanawiał się głośno. – Kto?

– Zapewne ma pan w Piotrkowie jakiegoś wroga. Podczas swej pracy dziennikarskiej nadepnął pan tu na odciski wielu ludziom. Ale to chyba również byłby fałszywy trop.

– Dlaczego?

– Prześladowano nie pana, tylko Józefa Marczaka. Prześladował go „Mściciel” z „Czarnego wachlarza”.

– Czy nie przyszło panu na myśl, że ta historia zbudowana jest bądź co bądź na bardzo kruchej podstawie. Na zeznaniach dwóch ludzi. A jeśli ci dwaj kłamią?

– Oni nie kłamią – rzekł zdecydowanie Szpakowaty.

– Posługuje się pan maszyną do wykrywania kłamstw?

– Jeśli pozna ich pan, powie pan to samo co ja. Obydwaj pracują w Prezydium PRN, drobni urzędnicy. Wieczorami można ich zastać w kawiarni. To tacy... Dobczyński i Bobczyński z „Rewizora”. Aż promieniają lojalizmem wobec władzy. Pytałem każdego z nich oddzielnie. Oświadczam panu, badałem ich dokładnie. Opowiadali nieledwie słowami Gogola: „niech pan śledczy powie władzom, że tu w Piotrkowie są Bobczyński i Dobczyński, którzy na wszystko baczą i oczy mają otwarte”. Oni zbyt baliby się kłamstwa. Zresztą, naprawdę nie mają powodu, aby kłamać. Nie posądzam ich o tak ciekawe, literackie kłamstwo...

– Może ktoś im je podsunął?

– W takim razie musiałyby to być głupiec. Dobczyński i Bobczyński są ludźmi tchórzliwymi, nieustannie groziłoby mu, że go zdradzą powodowani strachem. Gdyby opowieść o zwierzeniach Marczaka była kłamstwem, powierzono by ją komuś poważniejszemu, sprytniejszemu.

– Zapomina pan o jednym. Niekiedy ludzie kłamią i w ogóle robią brzydkie rzeczy tylko dlatego, aby zyskać sławę. Nawet i złą sławę. Będąc dzieckiem wyczyniałem różne głupie hece byle tylko skupić na sobie ogólną uwagę. Pamiętam, pewnego razu odbyła się u nas uroczysta akademicka, na którą przybył wizytator. Wszyscy gapili się tylko w niego. A mnie gryzła zazdrość. W końcu pokazałem wizytatorowi język. I zaraz cała szkoła, nauczyciele i uczniowie, patrzyli tylko na mnie. Osoba wizytatora zeszła na dalszy plan. Ze swej praktyki dziennikarskiej znanych mi jest wiele faktów, że ludzie nawet za cenę kłamstwa, nawet za cenę rzucenia na siebie fałszywego świadectwa, pragną dostać się na łamy gazety. Chcą, żeby o ich istnieniu dowiedziano się w całym kraju. Czytałem o wypadku, gdy pewien strażak podpalił zabudowania, żeby móc wyróżnić się przy gaszeniu pożaru. A może takimi strażakami są panowie Dobczyński i Bobczyński? Marzeniem ich życia jest ukazanie się ich nazwisk w gazetach: „panowie Dobczyński i Bobczyński swymi zeznaniami pomagają milicji w odnalezieniu kasjera”.

– Przez dłuższy czas trzymaliśmy w tajemnicy fakt odnalezienia wachlarza na łóżku zamordowanego. A jednak Dobczyński i Bobczyński od samego początku, zaraz po zabójstwie mówili, że Marczak lękał się bohatera powieści „Czarny wachlarz”. Fakt znalezienia wachlarza i zeznania tych dwóch panów zająbiają się o siebie. Dlatego ten trop wydaje mi się prawdziwy.

– Więc nie ma dla mnie ratunku? – zawołał Henryk z drwiną w głosie.

Nagle wydało im się, że usłyszeli czyjś krzyk. Zerwali się ze swych miejsc i podbiegli do okna.

– Zdawało mi się, że ktoś krzyknął – rzekł Henryk.

– Mnie też się zdawało – mruknął Szpakowaty.

Przycisnęli twarze do szyby, ale ogród spoczywał w ciemności nocnej. Wybiegli więc na dwór i osłepieni mrokiem przez chwilę nieruchomo tkwili na schodkach.

Stali tak w milczeniu pilnie nasłuchując, ale krzyk już się nie powtórzył. Otaczała ich ciemność i cisza. Uspokoił się już porywisty wiatr, który tak się Henrykowi dał we znaki, gdy wędrował przez miasto. Zrobiło się jakby trochę cieplej. Gdzieś na Bugaju gwałtownie ujadął pies, daleko w mroku migotały światła lamp wokół zakładów bawełnianych.

Gdy oczy przyzwyczaiły się im do zmroku wolniutko przespacerowali się do furki w żywopłocie i wyszli na ulicę. Nigdzie nie widać było żywej duszy, wszędzie cisza i mrok, mrok tym gęstszy, że ostatnia lampa na tej uliczce paliła się dopiero chyba o dwieście metrów od posesji Marczaka. Była to zresztą ostatnia posesja na tej uliczce. O kilkadziesiąt metrów dalej rozpoczynały się już pola.

– Tam mieszka pani Gnom, sąsiadka Marczaka – rzekł Henryk wskazując Szpakowate-
mu bielejący trochę w ciemności zarys niewielkiego domku po drugiej stronie ulicy.

– Dlaczego mi pan to mówi? – spytał Szpakowaty.

– Przypuszczam, że zainteresował się pan tą osobą. Sąsiadowała z Marczakiem, zapew-
ne dużo o nim wiedziała.

– Przesłuchiwałem ją – obojętnie wyjaśnił Szpakowaty.

– I co?

– Przecież nie będę panu zdradzał wszystkich szczegółów śledztwa – burknął oficer. –
Pan też jest podejrzany – dodał.

– Wiem, wiem, powtarza mi pan to aż do znudzenia.

Jeszcze chwilę stali w milczeniu wsłuchując się w otaczającą ich noc.

Raptem Henryk roześmiał się głośno. Najpierw parsknął śmiechem, a potem zaniósł się
chichotem. Śmiał się długo i serdecznie, aż na czoło wystąpiły mu krople potu.

– Panie! Co panu? Pan zwariował? – Szpakowaty chwycił Henryka za ramię.

Henryk zasłonił sobie dłonią usta, żeby zdusić śmiech. Oddychając ciężko, tak był wy-
męczony swoim śmiechem, że wysapał do oficera śledczego:

– To pan jesteś wariat. Pan, a nie ja.

– Za obrazę milicji, proszę pana, grozi panu... – rozpoczął Szpakowaty.

– Pomyśl pan na trzeźwo. Błagam pana, pomyśl pan rozsądnie – prosił Henryk. – Napi-
sałem bzdurne powieściśdło pod tytułem „Czarny wachlarz”. Wyjechałem za granicę, a gdy
wróciłem, postawiono mnie w stan oskarżenia.

– Przepraszam, nikt pana nie postawił w stan oskarżenia.

– Przesłuchiwałem mnie na okoliczność, że bohater mej powieści ożył i zabił Józefa
Marczaka, kasjera spółdzielni „Podkowa”. Ludzie, przecież to nadaje się do humorystycznego
pisemka. Czy pan sam nie czuje, że to bzdura, lipa. Panie, to lipa – wołał Henryk.

Szpakowaty westchnął ciężko:

– Owszem, to wygląda na lipę. A jednak na własne oczy widziałem skrwawione łóżko
Józefa Marczaka i leżący na łóżku czarny wachlarz, o którym pisało w pańskiej powieści.
Dwaj przyjaciele Marczaka zeznali, że Marczak bał się bohatera pańskiej powieści i traktował
go jako realnie istniejącą osobę. My z milicji, niczemu nie możemy się dziwić. Naszym zada-
niem jest znaleźć zwłoki Marczaka i odkryć zabójcę.

– Podobno zwłoki już są. Pani Gnom dostała wezwanie do prosektorium w Łodzi, żeby
rozpoznała trupa znalezionej w lesie, za Piotrkowem. Chyba już pojechała do Łodzi. Patrz
pan, okna jej domu są ciemne.

– Jeśli pojechała to szkoda jej fatygi. Przed godziną dostałem telefon, że to jednak nie zwłoki Marczaka. Pewien chłop spod Piotrkowa szedł zimą po pijanemu przez las, zbłądził, usiadł pod drzewem i zmarzł. Trupa znaleziono dopiero teraz. Do prosektorium zgłosiła się rodzina zaginionego.

– A więc znowu nie zwłoki Marczaka – z triumfem powiedział Henryk.

– Przeszukaliśmy także jezioro na Bugaju. I nie odnaleźliśmy ciała denata.

– Nie ma zwłok Marczaka – powtórzył Henryk.

Szpakowaty dotknął ramienia Henryka.

– Chciałbym z panem porozmawiać o literaturze – rzekł.

– Teraz?

– Wiem, że pora jest ku temu nieodpowiednia. Ale widzi pan przyszło mi do głowy pytanie. Proszę mi powiedzieć, czy nie zdarza się, że utwór literacki nie tylko kopiuje rzeczywistość, ale niekiedy oddziałuje na nią, zmusza ludzi do działania. I wówczas to, co było w utworze fikcją literacką, nagle staje się rzeczywistością?

– O tak, zdarza się – powiedział Henryk – Żeromski opisał zupełnie wymyśloną historię szklanych domów. Potem znaleźli się ludzie, którzy te idee próbowali wprowadzić w życie. Radziecki pisarz Gajdar opisał w swej książce historię chłopca Timura i jego drużyny. Później na terenie Związku Radzieckiego powstały grupy „timurowców”, pomagających rodzinom żołnierzy frontowych. Tylko, że...

– Tylko, że... – podchwycił Szpakowaty.

– Tylko, że podobne wypadki dotyczą literatury. Prawdziwej literatury. Dobra literatura może oddziaływać na rzeczywistość. Natomiast mój „Czarny wachlarz” był kiepską powieścią.

– Lecz przecież mogło być i tak, że pański „Czarny wachlarz” podsunął komuś jakiś pomysł. Ten ktoś wykorzystał towarzyszące pańskiej powieści przekonanie, że opowiada ona o faktach rzeczywistych i przy pomocy pańskiego bohatera spróbował załatwić jakieś własne nieuczciwe sprawy.

– Jakie?

– O to chodzi, żebyśmy sobie odpowiedzieli na to pytanie.

– Myśli więc pan to samo, co i ja – rzeki Henryk.

– A czy można wiedzieć o czym pan myśli? – grzecznie spytał Szpakowaty.

– Myślę, że Józef Marczak nie został zamordowany. To zabójstwo jest fikcją, proszę pana.

– Taak, ono jest fikcją... – zgodził się Szpakowaty.

Odwrócili się, aby powędrować z powrotem do domu Marczaka. I wtedy właśnie dojrżeli na murawie pod wysokim żywopłotem, leżącego człowieka. Podbiegli do niego, przyklękli. Szpakowaty zapalił elektryczną latarką i oświetlił leżącego.

Zobaczyli wielką krwawą ranę na tyle głowy. Szpakowaty dotknął ręki leżącego, potem podniósł mu powiekę. Ten człowiek był martwy. Zabito go niedawno. To jego krzyk było słychać podczas gdy rozmawiali w mieszkaniu Marczaka.

Szpakowaty oświetlił latarką twarz zabitego. Potem zgasił latarkę i podniósł się z klęczek.

– To są właśnie zwłoki Józefa Marczaka, o które się pan przed chwilą tak głośno dopominał – wyjaśnił. I dodał:

– Jeszcze przed dziesięcioma minutami mieliśmy obydwaj rację: zabójstwo Marczaka było fikcją. Lecz teraz stała się ono rzeczywistością.

I rzucił w formie rozkazu:

– Ja zostanę przy zwłokach. A pan niech pobiegnie do fabryki bawełnianej. Proszę z portierni zatelefonować do Komendy Powiatowej MO. Proszę im powiedzieć, że na Bugaju zabito człowieka, że ja tu jestem i czekam na nich. Po tym telefonie niech pan wraca do miasta. Przeszkadzałby pan tutaj.

– Rozkaz – służbiście wyprężył się Henryk.

Biegnąc uliczką w stronę fabryki, zastanawiał się: „Co się stało z Joanną? Już trzy godziny minęły od chwili, gdy z córeczką poszła do dentystki w mieście. Dlaczego dotąd nie wróciła?”.

VI.

Zrobił tak jak mu rozkazał Szpakowaty. Zatelefonował do Komendy Powiatowej, a potem poszedł do hotelu. Była dziewiąta wieczorem – za wcześnie, aby położyć się spać. Zresztą, nie zasnąłby chyba, bo ciągle przypominał mu się widok zmasakrowanej głowy Józefa Marczaka. Nie opuszczało go pytanie: kto zabił? i trapił wyrzut sumienia, bo przecież byli tak blisko miejsca zbrodni, słyszeli nawet krzyk mordowanego, a nie zdołali zapobiec nieszczęściu.

Wraz ze śmiercią Marczaka, przez chwilę wydawało się Henrykowi, że wyjaśniła się zagadka „węża morskiego”. Zbrodnia dokonana czternastego stycznia w mieszkaniu kasjera spółdzielni „Podkowa” okazała się fikcją. Właściwie wszystko było proste: Marczak upozorował własne zabójstwo, wmawiał ludziom, że prześladowuje go bohater z odcinkowej powieści, o której wszyscy w Piotrkowie myśleli, że opowiada o losach rzeczywistych ludzi. Jednocześnie jednak – właśnie wraz ze śmiercią Marczaka – zagadka „węża morskiego” komplikowała

się jeszcze bardziej. Co było powodem fikcyjnej śmierci Marczaka w dniu czternastego stycznia? Co się z nim działo od czternastego stycznia? Dlaczego nagle pojawił się koło własnego domu? I dlaczego tu go naprawdę zamordowano?

Henryk był pewien, że gdyby zdołał odpowiedzieć choćby na jedno z tych pytań, być może znalazłby także odpowiedź na pytanie najważniejsze: kto zabił Marczaka?

A tymczasem pytania pozostawały bez odpowiedzi. Henryk w głowie miał chaos, a przed oczami widział zmasakrowaną czaszkę kasjera.

„Najlepiej zrobię, jeśli napiję się wódki” – pomyślał przechodząc obok restauracji „Europa”.

Była to ta „Europa”, przed którą zawsze stoją służbowe limuzyny ze znakami rejestracyjnymi Łodzi i Warszawy. W niektórych łódzkich środowiskach jest w dobrym tonie jadąc autem z Krakowa czy Katowic wstąpić na wódkę do „Europy” w Piotrkowie, albo po prostu wybrać się tu autem na kolację. Mówi się, że można w „Europie” wypić dyskretnie i z daleka od znajomych. Dlatego właśnie najczęściej spotykają się tutaj same znajome twarze. Z Łodzi i z Warszawy.

Henryk wszedł do restauracji i natychmiast dojrzał stolik, przy którym siedziała Zuza i reporter Gałkowiecki. Byli w towarzystwie Cagliostro – jak zwykle ubranego na czarno, z piękną spiczastą bródką.

Gałkowiecki zerwał się z krzeselka i wybiegł na spotkanie Henryka.

– Proszę do nas, do nas – gościnnie zapraszał Henryka. – Pijemy na koszt Cagliostro. Pan wie kto to jest, redaktorze?

– Magik, czarnoksiężnik, iluzjonista.

– Jutro ma występ w sali kina. Napiszę o tym sprawozdanie, więc on się wkupuje. Tylko niech pan uważa... – pochylił się do ucha Henryka. – Cagliostro ma w kieszeni całą menażerię. Przed chwilą wyciągnął ogromną ropuchę. Zuza narobiła pisku na całą knajpę, nawet orkiestra przestała grać.

Cagliostro przywitał się z Henrykiem w sposób niezwykle dystyngowany. Podał mu rękę i przyjął dłoń Henryka jakby była ona z bardzo szlachetnego kruszcu i należało się z nią obchodzić z należyty szacunkiem.

– Przepraszam za niedyskretne pytanie – rzekł Cagliostro. – Czy mógłbym wiedzieć w jakiej pan pracuje branży? Lubię mieć świadomość z kim mam do czynienia.

Gałkowiecki już otworzył usta, żeby wymienić zawód Henryka, ale ten sam pośpieszył z wyjaśnieniem.

– Zajmuję się węzami – powiedział.

– Tak, tak, to jest znany węzolog – podchwycił Gałkowiecki. Razem z Henrykiem czynili w Piotrkowie najróżniejsze mistyfikacje, zaraz też wpadł w ton Henryka.

– Żałuję, że nie mam żadnego węża – westchnął Cagliostro. – Posiadam tylko świnkę.

To mówiąc uniósł nieco serwetkę na stole i z kolan Zuzy zdjął malutkie puszyste zwierzątko, białe w żółte łaty.

Zuza zachichotała, Cagliostro uklonił się a potem zwierzątko schował do kieszeni czarnego garnituru.

– Ja zajmuję się tylko węzami morskimi – mruknął Henryk.

– To także jest świnka... morska – wyjaśnił iluzjonista i powiedział do Henryka:

– Poznaliśmy się już, prawda?

Zapewne miał na myśli historię z zegarkiem.

– Niech pan sobie wyobrazi, że w Piotrkowie wszyscy unikają mnie. Nie wiem, może jest we mnie coś niemilego? Może sądzą, że noszę w kieszeniach białe króliki i połykam ogień?

Mówił to z ironią patrząc na salę. Nagle podniósł rękę do góry, zrobił jakiś dziwny ruch palcami, powiedział „przepraszam” i z dziurki nosa wyciągnął Henrykowi czerwoną wstążkę. Potem rzekł:

– Proszę, państwo się rozgoszczą.

Teraz klasnął w dłonie jakby podczas występu.

– Garson! – zawołał. – Jeszcze jeden kieliszek.

W kącie sali restauracyjnej, na podium urzędowała orkiestra. Właśnie rozpoczął się tam jakiś ruch, perkusista uderzył w mosiężny talerz. Zagrano sentymentalny walc „Domino”. Cagliostro uklonił się Zuzie i poprosił ją do tańca. Gdy szli na parkiet, iluzjonistę odprowadzały spojrzenia wszystkich gości. Wyglądał bardzo pociesznie w tym swoim czarnym podobnym do fraka garniturze, w białej muszce pod szyją i ze spiczastą bródką.

– No to cyk, napijmy się – zaproponował Henrykowi reporter Gałkowiecki.

Skrzypek z orkiestry zbliżył się do mikrofonu i począł śpiewać:

„Domin ooo, Dominooo

znów na balu w operze się zjawił.

Dominooo, Dominooo

intryguje, podnieca, ciekawi...”

Henryk zachnął się. Prze moment wydawało mu się, że to ktoś naigrawa się z niego, przypominając mu o dominie z powieści „Czarny wachlarz”.

Gałkowiecki poufale położył dłoń na ramieniu Henryka i zwierzał mu się:

– Odkąd pan pojechał do Jugosławii, polepszyło mi się trochę. Pan, redaktorze, to miał „hopla” na punkcie stanu sanitarnego naszego miasta. Ciągłe mi pan kazał zaglądać do śmietników. A znów redaktor Zuza, przeważnie lubi dawać do numeru różne sensacyjne kawałki. Nie powiem, rok zaczął się urodzajnie. W styczniu kasjera Marczaka zabił „Mściciel” z pańskiej powieści...

– Nie gadajcie bzdur, Gałkowiecki – warknął Henryk.

– Razem z pewnym księgarzem zrobiliśmy chyba ze sto kompletów wycinków pańskiego „Czarnego wachlarza”, i nie powiem, po dwieście złotych braliśmy za komplet. Potem było u nas kilka samobójstw, a wśród nich jedno bardzo ciekawe: chłopak się zastrzelił z małego pistoleciku. Byle tak dalej, panie redaktorze.

Skrzypek śpiewał do mikrofonu:

„Wśród tańczących par
rośnie szept i gwar .

Domino, Domino.

Zagadkowy jak Sfinks, Domino”.

Gałkowiecki zapytał:

– A może byśmy tak coś poderwali? Zobacz pan te dwie małe, tam przy tych pijanych...

– A na co teraz biorą?

– Na to co zawsze. Najlepiej na kierowców z Filmu Polskiego.

Próbowali już najróżniejszych sposobów. Najlepiej było mówić dziewczynie, że się pracuje jako kierowca w Filmie. Taki kierowca, wiadomo, wozi różnych reżyserów, może tę i ową zaprotegować. Nie należało także przedstawiać się za samego reżysera. Nie wierzyły.

– Weźmiemy taksówkę, sto dwadzieścia złotych pan wybuli i pojedziemy do Przygłowa. Do lasu.

Zuza kołysała się w ramionach Cagliostro, który trzymał głowę wysoko, aby nie drapać brodą policzków Zuzy. Henrykowi świat wydał się bardzo wesoły, ba, groteskowy. Bo czyż nie był groteskowy ten czarnoksiężnik z bródką Mefista? A sam Henryk – ojciec duchowy piotrkowskiego „węża morskiego”?

„Dominooo, Dominooo” – ryczał śpiewak.

Nawet to zabójstwo Marczaka wyglądało groteskowo.

Wypili jeszcze po dwa kieliszki wódki i podnieśli się od stolika.

Dwie dziewczyny przy stoliku, do którego zmierzał Henryk i Gałkowiecki – miały najwyżej po osiemnaście lat. Były ładne, szpeciło je tylko niemodne uczesanie na „topielice”. Towarzyszyli im dwaj łysiejący panowie, jeden z nich miał już pokaźny brzusek.

Gałkowiecki stanął obok stolika, uklonił się najpierw panom – a potem obydwu dziewczynom.

– Przepraszam – powiedział – wiem, że to nieładnie przeszkadzać w zabawie, ale niestety sprawa jest bardzo poważna.

Gałkowiecki przygarbił się jakby go rozboleł żołądek. Miało to oznaczać, że bardzo jest przejęty sprawą, która go tu przywiodła.

– Boże, co się stało? – zawołała jedna z dziewczyn.

– Mów pan – rzekł facet z brzuszkiem.

– Ja wiem – szepnęła druga dziewczyna. – Pan ma wiadomość od Janka.

Gałkowiecki westchnął:

– Tak jest, niestety...

– No mów pan, do cholery – rozzłościł się grubasek. Jego kolega niechętnym okiem lustrował Gałkowieckiego.

– Nie mogę mówić przy wszystkich – stwierdził smutno Gałkowiecki. I pokazał palcem na drzwi restauracji. – Tam.

– Co „tam” – spytała jedna z dziewczyn.

– Tam wszystko powiemy paniom – zaznaczył.

Grubasek zerwał się z krzesła. Chwycił dziewczynę za rękę. To samo uczynił ten drugi z drugą dziewczyną.

– Zośka, nigdzie się nie ruszysz.

– Siedź tutaj, oni was nabierają.

Gałkowiecki wzruszył ramionami:

– Jak sobie panie uważają. Nam jest wszystko jedno.

Jeszcze raz wzruszył ramionami, kiwnął głową na Henryka i obydwaj z godnością wyszli z restauracji.

Śpiewak ryczał na całą salę:

„Aż nad ranem piękna pani
zagarnęła szeptem rąk”...

Na ulicy przed knajpą Henryk przypomniał sobie o wypitej wódce.

– Trzeba by wrócić i zapłacić – zauważył.

– Cagliostro zapłaci – ziewnął Gałkowiecki... Albo Zuza.

Czekali najwyżej pięć minut. Wyszła do nich ta która nazwano Zosią.

– No co? O co chodzi? – powiedziała ze złością. Zapewne nie obeszło się bez awantury, zanim pozwolono jej na chwilę opuścić „Europę”.

– Mowa jest krótka – zaczął Gałkowiecki. – Ja i ten koleś wskazał na Henryka. – Robimy w filmie za szoferów. Film będziemy kręcić w Piotrkowie. Pani rozumie?

– Co mnie to obchodzi? – wzgardliwie odęła wargi.

– Znaczy się, że pani też by mogła zagrać. Na dalszym planie, że tak powiem. I koleżanka też by mogła. Znaczy się poznamy was z kim trzeba, a już dalej to same sobie poradzicie.

– Kiedy będziecie kręcić?

– Pojutrze – powiedział stanowczo Henryk.

Dziewczyna była wyraźnie rozczarowana:

– Pojutrze? Bo my jesteśmy z Łodzi, te facety nas przywieźli tutaj. Ten gruby to jest mój narzeczony – to mówiąc wyprostowała się dumnie.

– Na razie zamyślamy zrobić mały wypad do Przygłowa. Taksówką – rzekł Gałkowiecki. – Jakby panie miały ochotę, to możemy razem z tamtą panienką, rozejrzeć się trochę w plenerze.

– A mój narzeczony?

– Nie zginie. Posiedzi tu w cieple z tym drugim, krzywda mu się nie stanie. A my w plener. Wrócimy za dwie, trzy godziny.

Dziewczyna spojrzała na Henryka:

– A pan co, niemowa?

Henryk zarumienił się. Wstyd mu się zrobiło, że całą inicjatywę w tej sprawie pozostawił Gałkowieckiemu. Ten zresztą znowu przyszedł mu z pomocą.

– Koleś ma gadane. Tylko, że nie lubi niepotrzebnie mleć siana.

Dziewczyna zaczęła się zastanawiać:

– Zostawimy ich to się obrażą. Przywieźli nas samochodem. Na podróż do Łodzi nie mamy.

Gałkowiecki położył swoją dłoń na jej gołym karku.

– Mowa krótka. Jedziemy. W Przygłowie jest knajpka i świeże powietrze. Las, woda. O resztę się nie martwicie. Jeszcze tak źle nie było, żeby jakoś nie było.

Powiedzonko było głupie, stare, wyświechtane, ale dziewczyna parsknęła śmiechem. Kiwnęła Gałkowieckiemu głową i wróciła do „Europy”.

Henryk skoczył na postój taksówek, a gdy zajechał samochodem pod restaurację, na chodniku czekał już Gałkowiecki i dwie dziewczyny. Reporter umieścił się z nimi na tylnym siedzeniu taksówki, Henrykowi zaś kazał zająć miejsce przy kierowcy. Bardzo to Henryka

rozniewało. „Poczekaj – pomyślał o Gałkowieckim. – Powiem ci o śmierci Marczała dopiero wtedy, gdy już do numeru nie zdążysz dać wiadomości”.

Przemknęli obok zakładów bawełnianych, minęli Bugaj i jezioro. Henryk przypomniał sobie o Szpakowatym, Zapewne grupa operacyjna bada teraz wszystkie okoliczności związane z zabójstwem Józefa Marczała. „Co to mnie wszystko obchodzi? – pomyślał. – Od tropienia morderców jest milicja”. Potem pomyślał jeszcze: „Co się stało z Joanną? Czyżby naprawdę tak długo była z dzieckiem u dentysty?”.

Przed knajpą w Przygłowie stał na szosie ładny wiśniowy Wartburg.

– No, wysiadamy, proszę wycieczki – zawołał Gałkowiecki do „topielic”.

Henryk zajrzał do stojącego na szosie Wartburga. Był pusty, na tylnym siedzeniu spało dziecko.

Knajpa znajdowała się nieco w dole, trzeba było do niej zejść po schodkach. Okazała się zamknięta, bo właśnie minęła jedenasta. Gałkowiecki zapukał do drzwi, które zresztą otworzyły się, z wnętrza buchnęło światło. Ale to nie pukanie Gałkowieckiego otworzyło knajpę. Wychodzili ostatni goście. Henryk zobaczył Joannę i obok niej wysokiego, eleganckiego mężczyznę z fryzjerskimi wąsikami. Wychodzili w strudze światła, które padało na schody z wnętrza knajpy. Henrykowi wydawało się, że Joanna jest zapłakana.

Minęła Henryka prawie ocierając się o niego. On był jednak w ciemności, a ona w świetle. Czy zauważyła go?

Jak na złość „topielica” uwiesiła się ramienia Henryka i rzekła głośno:

– Podobasz mi się, bo jesteś taki chudy i milczący.

Wtem Joanna obejrzała się i zobaczyła Henryka. Ale nawet nie drgnęła. Wspięła się po schodkach, jej towarzysz otworzył drzwiczki Wartburga. Wsiedli i odjechali w stronę Piotrkowa. „Tak wygląda dentysta” – pomyślał Henryk.

Gałkowiecki wyniósł z knajpy pół litra wódki i kawałek kiełbasy owiniętej w papier. Powędrowali szosa, a potem skręcili w przecinkę leśną. Las był wysokopienny, suchy, usiedli w czwórce na płaszczu Gałkowieckiego.

Szkoda, że nie zaczepiłem Joanny i nie powiedziałem jej: „Marczak zabity. Tym razem wujek pani zginął naprawdę” – rozmyślał Henryk.

Ciągnęli wódkę prosto z butelki, kiełbasę połamali na cztery kawałki. Potem Gałkowiecki zabrał swój płaszcz i z wysoką „topielicą” przeniósł się na drugą stronę przecinki leśnej. Henryk musiał teraz rozłożyć swój płaszcz – noc była chłodna, jak to w kwietniu. Jego „topielica” skończyła jeść swój kawałek kiełbasy i nieoczekiwanie rozpląkała się.

– Wywieźliście nas tutaj, spiliście wódką, a teraz... – pochlipywała.

Zrobiło mu się jej żal.

– Nie rycz – powiedział. – Zaraz wracamy do Piotrkowa.

Chlipała dalej, ale przestał na to zwracać uwagę. Dręczyło go wspomnienie Joanny wychodzącej z knajpy w towarzystwie jakiegoś przystojniaka o wąsach fryzjerczyka. „Co to za facet? – rozmyślał ze złością. – A ona też dobra, co? Jej wujka ktoś grzmotnął w głowę czymś ciężkim i zabił na miejscu, a w tym czasie ona przesiaduje w knajpie w Przygłowie. A jaka z niej matka? Dzieciaka zostawiła w aucie sama zaś poszła do knajpy. O jedenastej w nocy”.

– Wstawaj – powiedział gniewnie do dziewczyny. – Wracamy do Piotrkowa – i począł wyciągać swój płaszcz spod „topielicy”.

Ale dziewczyna nie chciała się podnieść. Syknęła gniewnie:

– Po co pan tu przyjechał? No, po co? Nie podobam się panu?

– Podobasz mi się – rzekł. – Ale przypomniałem sobie, że w Piotrkowie mam ważniejsze sprawy na głowie. – Gałkowiecki zawołał. – Temat sprzed nosa ci sprzątają.

– Jaki temat? Co się stało?

– Marczaka zabili.

– Ba, toż ja już o tym dziesięć razy pisałem.

– To była lipa, panie Gałkowiecki. Sfingowane morderstwo. Zabito go dzisiaj wieczorem. Leży koło żywopłotu pod swoim domem. Przyjechała milicja...

VII.

Gdy Henryk i Gałkowiecki odwieźli dziewczyny do „Europy”, a potem pojechali na Bugaj pod dom Marczaka – zastali tam tylko Szpakowatego, który samotnie sterczał na ulicy i nad czymś się zastanawiał. Zwłoki denata zostały już zabrane. Szpakowaty przyjął od Henryka i Gałkowieckiego słowo honoru, że na razie nie przekażą nikomu wiadomości o ponownej i tym razem prawdziwej śmierci kasjera. Nikt w miasteczku poza milicją nie miał prawa wiedzieć o tym morderstwie. Nawet Joanna. Szpakowaty realizował w ten sposób jakiś swój plan.

Henryk zapłacił taksówkarzowi. Gałkowiecki pojechał dalej do miasta. Henryk zaś pozostał ze Szpakowatym i we dwójkę wolno powędrowali przez Bugaj.

Dochodziła pierwsza w nocy. Mrok był wciąż gęsty, nieprzenikniony. Prawie, że wpadli na panią Gnom maszerującą dziarsko od szosy. Szpakowaty zapalił latarkę elektryczną i skierował na siebie strumień światła.

– Poznaje mnie pani, prawda? Jestem z milicji – przypomniał się pani Gnom.

– Tak. Poznaję pana – rzekła. – Właśnie wracam z Łodzi. Z prosektorium. Nie miałam wcześniejszego pociągu, wracam teraz od stacji i cała drzę ze strachu.

– Tak, oczywiście – westchnął Szpakowaty.

– Pokazano mi zwłoki. Rozpadające się zwłoki. To było okropne – głos pani Gnom drżał i łamał się. Henryk żałował, że ciemność nocna uniemożliwiła mu oglądanie jej twarzy.

– I co? Co? – pytał Szpakowaty. – Rozpoznała pani zwłoki?

– Tak – jęknęła pani Gnom. – Od razu rozpoznałam, że to ciało pana Józefa Marcza. Podobno znaleziono je w lesie...

– Hm... – chrząknął niepewnie Szpakowaty i trącił Henryka łokciem.

– Teraz idę sama od stacji i boję się. Ciągłe mi się zwiduje jego twarz.

– Czyja? – spytał grzecznie Szpakowaty.

– Marcza. Mojego sąsiada. Może mnie panowie odprowadzą? – zaproponowała.

Odprowadzili ją aż do drzwi jej domku. Pożegnali się z nią niezwykle uprzejmie, pocałowali ją w rękę, Henryk nic mógł opanować zdumienia:

– Oszaleć można. Najpierw bohater mojej powieści morduje kasjera czternastego stycznia. Potem okazuje się, że morderstwo było fikcją i właśnie tego samego dnia kasjer ginie naprawdę. Tego samego dnia w prosektorium w Łodzi, najbliższa sąsiadka kasjera rozpoznaje trupa kasjera, podczas, gdy jest to trup rolnika, który zamarzł w lesie. Czy tak?

– A tak – zgodził się Szpakowaty. – Zwłoki znajdujące się w prosektorium w Łodzi rozpoznała również rodzina zmarłego rolnika.

– A do kogo naprawdę należą te zwłoki?

– To jest oczywiste. Przecież o ósmej wieczór, pan i ja, znaleźliśmy zabitego Marcza. Czy pan już o tym zapomniał? Więc tamto ciało jest owym rolnikiem, który zamarzł.

– W takim razie, dlaczego pani Gnom rozpoznała Marcza?

– Bo może chciała rozpoznać?

Henryk podniósł do góry ręce i z ulgą odetchnął pełną piersią.

– Nareszcie jestem spokojny – powiedział do Szpakowatego. – Zrzuciłem z siebie straszną zmorę.

– O czym pan mówi?

– Teraz, gdy Marczak zginął naprawdę, pan był przy mnie i wie pan, że ja tego zrobić nie mogłem, bo w czasie morderstwa zabawialiśmy się rozmową w mieszkaniu zamordowanego, mam nadzieję, że nareszcie uwolnicie mnie od bzdurnych podejrzeń, że to co dzieje się w Piotrkowie ma jakikolwiek związek z moją osobą. Chwytajcie sobie mordercę, a ja jadę do Łodzi.

– Taaak...

– No przecież teraz chyba mnie pan już nie będzie śledzić?
– Ba – zaśmiał się cichutko Szpakowaty. – Dopiero teraz będziemy pana śledzić.
– Co takiego? Co pan gada?
– Czy nie przyszło panu na myśl, że dopóki wojażował pan po Jugosławii, Marczak nie żył, że tak powiem, fikcyjnie. A wraz z pana przyjazdem do Piotrkowa, zginął naprawdę.
– Czy pan chce przez to powiedzieć, że ja? Ja?... – Henryk aż jęknął z oburzenia.
– Chcę tylko zauważyć, że być może zabójstwo, które się stało ma jednak jakiś związek z pana osobą i z pana przyjazdem do Piotrkowa.
– W takim razie natychmiast wyjeżdżam do Łodzi.
– O nie – zaczął kpić Szpakowaty. – Pan tu zostanie. Pan się chce zabawić w detektywa. I dlatego właśnie, to znaczy dla pańskiego własnego bezpieczeństwa, będziemy pana śledzić.

Pożegnali się obok hotelu. Henryk udawał obrażonego. A nazajutrz dowiedział się, że pani Gnom została zabita w nocy uderzeniem siekiery w głowę.

VIII.

Wiadomość o śmierci pani Gnom wstrząsnęła Henrykiem. To, co do tej pory uważał za rodzaj groteskowej zabawy – nagle okazało się makabryczne. Józef Marczak, którego zabójstwo w dniu czternastego stycznia było tylko fikcją – skarżył się na prześladowanie ze strony bohatera powieści napisanej przez Henryka, w dwa miesiące później zabity został naprawdę tuż koło swego domu. Kto go zabił i dlaczego?

Pani Gnom, sąsiadka Marczaka – rozpoznała w prosektorium zwłoki swego sąsiada, choć zwłoki te należały do kogoś innego i choć w tym samym czasie Józef Marczak – cały i zdrowy – kręcił się koło swego domu, aby tu naprawdę ponieść śmierć. Czy pani Gnom tylko pomyliła się, czy też świadomie kłamała? Zabita ją. Kto to uczynił i dlaczego?

Dla Henryka nie ulegało wątpliwości, że zabójstwo pani Gnom pozostawało w ścisłym związku z zabójstwem jej sąsiada Józefa Marczaka. Na czym jednak polegał ten związek? Czy pani Gnom zginęła dlatego, ponieważ w zwłokach rolnika rozpoznała zwłoki Marczaka? A może zabito ją ponieważ kłamała i morderca lękał się, aby milicja nie wyciągnęła od niej przyczyny kłamstwa?

Okoliczności śmierci pani Gnom nie pomagały wyjaśnić tej kwestii. Henryk i Szpakowaty odprowadzili panią Gnom aż do jej małego domku na Bugaju. Była wówczas godzina wpół do drugiej w nocy. A nad ranem, około godziny piątej – pani Gnom została zabita uderzeniem siekiery w głowę. Najprawdopodobniej morderca zapukał do drzwi, gdy pani Gnom już spała. Zbudziła się i w białiznie poszła otworzyć drzwi. Zginęła na progu swego mieszkania, morderca wciągnął ciało do korytarzyka, zamknął drzwi i zaczął plądrować mieszkanie.

Szukał czegoś – nie wiadomo czy znalazł. Z mieszkania nic nie zginęło, a w każdym razie nie zginęło nic kosztownego. Pozostała nawet torebka z pieniędzmi. Potem morderca umył w misce z wodą zbroczoną krwią siekierę i wyszedł z mieszkania.

Być może milicja znalazła jeszcze jakieś inne szczegóły zdarzenia, lecz Szpakowaty nie ujawnił ich przed Henrykiem, gdy odwiedził go w południc w hotelowym pokoju.

– Śmierć Marczała – zaznaczył Szpakowaty – ma w dalszym ciągu aż do jutra pozostać tajemnicą. Przyszedłem tu, aby to panu przypomnieć. Proszę pana także o zachowanie największej ostrożności. Lękam się, że pan stanie się następną ofiarą mordercy. Może lepiej będzie jeśli pojedzie pan do Łodzi? Nie, nie – zaprzeczył po chwili zastanowienia – tutaj będzie nam chyba łatwiej strzec pana osobę.

Henryk wzruszył ramionami:

– Naprawdę nie widzę przyczyny, dla której ktoś miałby dybać na moje życie. Przecież nikomu nie zrobiłem nic złego, nie posiadam również żadnej ponurej tajemnicy, jaką mógłbym z sobą zabrać do grobu i uwolnić od niej mordercę.

– Nie wiem, nic nie wiem – westchnął szczerze Szpakowaty. I pożegnał Henryka.

„Jedyną co mam sobie do zarzucenia – rozmyślał Henryk po odejścia oficera śledczego – to jest fakt, że napisałem i wydrukowałem powieściółko pod tytułem „Czarny wachlarz”.

A jeśli właśnie ów „Czarny wachlarz” kryje jednak rozwiązanie zagadki?

Znowu więc Henryk zasiadł nad odcinkami swojej powieści. Znowu czytał kliwą historyjkę o balu maskowym, o miłości pięknej córki kamienicznika do ubożego buchaltera, którego oszukał jego przyjaciel. Buchalter staje się „Mścicielem” i wraca do Piotrkowa, aby odszukać i zemścić się na oszuście...

Nie, nie – krzyknął głośno Henryk – przecież to ja sam, z własnego palca wyssałem tę idiotyczną historyjkę. Żaden „Mściciel” w rzeczywistości nie istnieje.

A jednak Józef Marczak, na kilka godzin, przed swoją śmiercią, tą śmiercią fikcyjną, zwierzał się swym przyjaciołom w kawiarni „Pod Ormianinem”, że prześladowuje go „Mściciel” z powieści. W dwa miesiące później Marczak zginął naprawdę.

Ci przyjaciele Marczała – to byli panowie Dobczyński i Bobczyński – jak ich przezwiał Szpakowaty.

Panowie Dobczyński i Bobczyński odwiedzali po południu kawiarnię „Pod Ormianinem”. O godzinie czwartej po południu Henryk powędrował na ich poszukiwanie.

„Pod Ormianinem” przede wszystkim rzuciła mu się w oczy Zuza. Siedziała z Gałkowieckim przy stoliku w lewym rogu długiej sali. Nosila obcisłą sukienkę bez rękawów. Wyglądała w niej jeszcze grubiej, twarz miała jak by szerszą, a głowę większą, rozrośniętą przez

dziwacznie upięty kok. Henryk aż przeląkł się, gdy niespodziewanie podniosła się od stolika i przez całą salę zawołała:

– Henryku! Chodź tutaj! Do nas!

Znał tę kawiarnię jak swoje dziesięć palców, bywał tu wiele razy podczas jesiennych wieczorów „zesłania”. Przy stoliku, gdzie teraz spotkał Zuzę, pisał pierwsze rozdziały „Czarnego wachlarza”.

Po obydwu stronach czerwonego chodnika stały okrągłe stoliki – siedzieli przy nich starsi panowie, grali w szachy lub czytali gazety. Ukłonił się paru osobom, których nazwiska oczywiście, dawno wyleciały mu z pamięci. Powiesił płaszcz na wieszaku, przywitał się z Gałkowieckim, który od rana był już zalany. Widok jego mętnych, czerwonych oczu napełnił Henryk niechęcią.

– Szukasz Bobczyńskiego i Dobczyńskiego? A wiesz, że to trafne nazwiska dla tych dwóch panów. – Zawołała Zuza, gdy powiedział jej po co przyszedł do kawiarni.

Henryk rozglądał się po sali, szukając wolnego stolika. Przy rozmowie z przyjaciółmi kasjera nie chciał mieć słuchaczy.

– Tropisz sprawę Marczaka? – stwierdziła Zuza.

Gałkowiecki podniósł głowę i spojrzał najpierw na Zuzę, a później na Henryka.

– No tak. Że też ja się od razu nie domyśliłem. Tu was boli. Chce mi pan sprzątnąć temat – i wykrzywił wargi jak płaczące dziecko. Tak wyglądał jego uśmiech. – Pan przecież widział jego mordercę. Czy może pan powiedzieć jak on wyglądał?

Wyciągnął z kieszeni pomięty notes i skrawek ołówka. Ołówek był kopiowy, poślinił palec i zwilżył palcem grafit.

– Zgodzicie się na wywiad do gazety? Damy piękny tytuł: „Redaktor Henryk powrócił z Belgradu, aby dać rysopis mordercy”. No co, zgoda?

– Słuchajcie no, Gałkowiecki – powiedział Henryk i nagle przypomniał sobie pewne zdarzenie. Gałkowiecki przyniósł mu kiedyś notatkę, wychwalającą kierownika sklepu masarskiego. Tego samego dnia dowiedział się Henryk, że ów kierownik sklepu został aresztowany za nadużycia. Nazajutrz Henryk zagroził Gałkowieckiemu, że wyleci z pracy.

– Słuchajcie no, Gałkowiecki – rzekł. – Niekiedy budzi się we mnie podejrzenie, że to wy wrobiliście mnie w sprawę morderstwa Marczaka.

– Redaktorze! Co wy? Co wy?

– Ktoś w tym mieście stara się za wszelką cenę wiązać śmierć Marczaka z powieścią „Czarny wachlarz”. Czyni to, chociaż wszyscy wiedzą, że Marczak nie „ukradł” nikomu dziewczyny, nie był żonaty, a więc, że to nie może być osoba z mojej powieści.

– Ba, w tym mieście nigdy nie urządzano balów maskowych – wtrąciła się Zuza.

– A jednak ktoś wmawia wszystkim, że Marczak został zabity przez „Mściciela”. Kto to czyni? Ten, co zarobił sprzedając egzemplarze „Czarnego wachlarza”. A tym kimś był pan, Gałkowiecki.

– Redaktorze – Gałkowiecki nerwowo bawił się ołówkiem, który na niebiesko plamił mu palce. – Redaktorze. To ci dwaj Bobczyński i Dobczyński...

Henryk dostrzegł wolny stolik przy drzwiach wejściowych do kawiarni.

– Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby pan zwabił do mnie Dobczyńskiego i Bobczyńskiego – powiedział.

Gałkowiecki zerwał się usłużnie i pobiegł w głąb kawiarni.

Zbliżyli się do Henryka posuwistym, tanecznym krokiem. Byli śmieszni – jeden mały, z wystającym kuperkiem, z brzuszkiem i okrągłą buzią, różowutką i pomarszczoną jak zimowe jabłuszko, drugi był nieco wyższy, chudy, uczesany na „głupiego Jasia”. Ten pierwszy nosił dużą czuprynę, włoski kręciły mu się, wyglądał jak bardzo podstarzały amerek. Ten drugi miał haczykowaty, skrzywiony w lewo nochal i zamiast „r” wymawiał „h”, co brzmiało dość komicznie.

Wyglądali na bardzo szczęśliwych. Jakby otwarły się przed nimi wrota do podwójnego nieba. W pierwszym niebie poznali autora „Czarnego wachlarza”, w drugim – mogli jeszcze raz opowiadać o Marczaku.

Dobczyński:

– On był naszym najszlachetniejszym przyjacielem. Znaliśmy się od piętnastu lat. Uczciwy, szlachetny człowiek. Przynajmniej dwa razy w tygodniu għaliśmy hazem. w bħydzħ.

Bobczyński:

– Grał gorzej ode mnie. Ale nie można powiedzieć, był to gracz wytrawny.

Dobczyński:

– Pytał pan, czy zħhadzał objawy niepokoju? I od jakiego czasu je zħhadzał? Otóż, phoszę pana ħedaktoħa, nie zħhadzał objawów niepokoju. O to samo pytał nas wczohaj pan Cagliostħo. ħedaktoħ zna Cagliostħę?

Bobczyński:

– W wieczór poprzedzajħcy noc, gdy napadli na niego mordercy, pan Jħzef Marczak, nasz kochany przyjaciel, zdradził objawy niepokoju.

Dobczyński:

– Zdhadził je. To fakt. Przyszedł później niż zwykle, to jest o godzinie za kwadrans dziesiąta. Zapytał nas: „czytaliście „Czahny wachlarz?””. Tak – odpowiedzieliśmy. Rzekł nam: „Ten z „Czahnego wachlarza” mnie prześladowuje”.

Bobczyński:

– Zawołaliśmy: „dlaczego? Wyjaśnij nam to, to przecież ciekawa sprawa”. Lecz on nic już nie powiedział. Pożegnał nas, serdecznie uścisnął nam dłonie.

Dobczyński:

– Uścisnął nam dłonie i tak jakoś dziwnie zajął nam w oczy. Może biedak przeczuwał swą okhopną śmieć?

Bobczyński:

– Pan redaktor pyta, czy w życiu Marczała była jakaś kobieta?

Dobczyński:

– Hi, hi, h...

Bobczyński:

– Hi, hi, hi...

Dobczyński:

– Małczak unikał kobiet.

Bobczyński:

– Kobiety są naczyniami zła.

Odeszli posuwistym, tanecznym krokiem.

Po ich odejściu Henryk spojrział na zegarek, Była piąta po południu – o siódmej miał się rozpocząć występ Cagliostro. Opuścił więc kawiarnię i poszedł na Bugaj do Joanny.

Zastał ją w domu, pakowała walizki. Jej córka budowała domek z klocków.

– Wyjeżdża pani? – zdziwił się Henryk.

– Zabito panią Gnom. Boję się. Teraz naprawdę boję się tutaj mieszkać – powiedziała. – Najpierw zabito mego wuja...

– A więc wie już pani o śmierci Józefa Marczała.

– Co takiego? – zdumiała się. – No przecież otrzymałam ten dom i to mieszkanie tylko dlatego, że zabito mego wuja. I tego właśnie nie mogą mi darować ludzie na Bugaju.

„Ach więc jeszcze nie wie – pomyślał Henryk. – Mówi o tamtej fikcyjnej śmierci Marczała”.

– Dziś nad ranem zabito panią Gnom. Kiedy pomyślę, że być może morderca krążył tej nocy koło tego domu, ogarnia mnie taki strach, że gotowa jestem uciec stąd na kraniec świata.

– Dokąd pani chce wyjechać?

Usiadła na walizce i rozplakała się.

– Nie wiem... jeszcze nie wiem... Mieszkanie, które miałam w Łodzi już zlikwidowałam. Może przeniosę się do hotelu...

– Tak – podchwycił Henryk. – Pogadam z portierem Prokopiuszem. Przez kilka dni mogłaby pani zamieszkać w hotelu. Dopóki milicja nie schwyta mordercy. Zresztą, jest jeszcze inna możliwość – dodał Henryk.

– Jaka? – spytała i otarła oczy.

– Widziałem panią w Przygłowie z jakimś przystojnym panem. To był, zdaje się dentysta – mruknął złośliwie. – Gdyby tu zamieszkał z panią, zapewne potrafiłby panią obronić.

Przez chwilę wydawało się Henrykowi, że Joanna rzuci się na niego. Aż przybladła ze złości.

– Co to pana obchodzi? – krzyczała. – Czego się pan wtrąca w moje prywatne sprawy? Jest pan takim samym jak ci ludzie z Bugaju. Musi pan zajrzeć do czyjejs kuchni, podnieść pokrywkę na garnku. Niechaj się pan wynosi ode mnie. Czy ja się pana pytam co to za pijana dziewczyna była z panem w Przygłowie?

Henryk nałożył na głowę kapelusz.

– Do widzenia pani – rzekł. – Radzę, aby pani zamieszkała w hotelu.

I chciał opuścić mieszkanie Joanny, ale jej córka chwyciła go za rękę.

– Mieliśmy zobaczyć czarnoksiężnika. Proszę mnie zabrać do czarnoksiężnika...

Zdjął kapelusz.

– To prawda. Mieliśmy iść na występ Cagliostro – odezwał się do Joanny. – Skoro obiecaliśmy dziecku, to trzeba tego przyrzeczenia dotrzymać.

Joanna wzruszyła ramionami. Dała Henrykowi do zrozumienia, że nie ma zamiaru odzywać się do niego. A jednak zawiązała na głowie chusteczkę.

– Po występie wrócimy do domu, zabiorę pani walizkę i przeniesiecie się do hotelu – obiecał Henryk.

Joanna skinęła głową i poczęła odziewać córeczkę w płaszczyk.

IX.

Cagliostro był niezrównany. Publiczności zebranej w sali kina zaprezentował zadziwiająca znajomość czarnej i białej magii. Z jego cylindra wyskakiwały króliki i gołębie, jego dłonie, nozdrza, uszy okazały się siedliskiem barwnych jajek na twardo, kart do gry. Na rozkaz Cagliostro puste naczynia napełniły się wodą i już po chwili, woda z nich zniknęła. Oglądano cudowną przemianę kart w ruchliwych palcach, na oczach publiczności, dwóch panów, którzy zgłosili chęć uczestniczenia w seansie stało się w niewidzialny sposób właścicielami

przedmiotów, które uprzednio posiadał Cagliostro. Wiele, bardzo wiele niesamowitych umiejętności przedstawił publiczności czarnoksiężnik Cagliostro.

Wyglądał pięknie w czarnym fraku i białej koszuli z czarną muszką. Córeczka Joanny, zdawała się nie oddychać przejęta czarnym panem na scenie. Joanna siedziała nieruchoma, sztywna, przez cały seans ani razu nie odwróciła głowy w stronę Henryka.

A Henryk patrzył ciągle na Joannę, na jej ładny profil i bez ustanku zastanawiał się jak przyjmie ona wiadomość o rzeczywistej śmierci Marczaka. Próbował zgadnąć kim jest mężczyzna, z którym spotkała się w Przygłowie, lecz poza domysłami, że był to jej dawny adorator, nic innego nie przychodziło mu do głowy. Zresztą w zastanawianiu się Henrykowi przeszkadzała Zuza. Siedziała tuż za nim w następnym rzędzie i wygłaszała nedorzeczne uwagi.

Co kilka minut pochylała się ku Henrykowi i syczała mu w ucho.

– To dla tej pani z nieślubnym dzieckiem przyjechałeś do Piotrkowa. Całe miasto ją podejrzewa.

Za przyczyną Zuzy prawie z radością przyjął Henryk wiadomość, że seans zbliża się ku końcowi.

– Na zakończenie pragnę państwu przedstawić dość interesujący eksperyment – oświadczył Cagliostro. – Do eksperymentu potrzebni mi będą dwaj panowie.

Rozejrzał się po sali.

– No, proszę, kto z państwa?

Nikt się nie kwapił. Jeden oglądał się na drugiego, obawiał się, że broń Boże, Cagliostro zrobi z nim jakiś przedziwny „hokus pokus” i narazi na śmieszność. A śmieszności szczególnie obawiają się obywatele Piotrkowa.

– Może pan, redaktorze? – zapytał Cagliostro, patrząc w stronę Henryka.

– Nie.

– A może pan? – spojrzał w kierunku rejenta Z.

– Dziękuję za wyróżnienie. Lecz nic skorzystam – odpowiedział grzecznie rejent.

– Zapraszam pana, doktorze – zwrócił się teraz do mężczyzny, siedzącego w pierwszym rzędzie. Był to lekarz powiatowy.

– Nie? – zdziwił się Cagliostro. I spojrzał na łysinę fryzjera Kolasy.

– A może pan, drogi przyjacielu?

Kolasa najpierw powiedział: nie. Ale siedzący obok portier Prokopiusz trącił go łokciem:

– No, idź, idź. Przecież nie stanie ci się nic złego.

Kolasa wstał z krzesła. Był zawstydzony, łysina mu poczerwieniała.

– Będę potrzebował i drugiego pana – zauważył Cagliostro.

Wówczas Kolasa zapragnął odwdziaczyć się Prokopiuszowi. Chwycił portiera za rękę i pociągnął na estradę. Sala powitała to lekkim uśmiechem. Obydwaj czcigodni panowie, obciągając na sobie marynarki i przestępując z nogi na nogę zademonstrowali się publiczności.

– Pan stanie tu, a pan tutaj. O tak – wskazał im miejsca Cagliostro. – A teraz, proszę państwa, wyjmuję z kieszeni szalik. Zwykły jedwabny szalik. Składam go, państwo widzą? Składam go, o tak i zawiązuje, nim oczy panu Kolasie. Państwo widzą? A pan, panie Kolaso, czy widzi pan coś przez ten szalik?

– Nic nie widać – stwierdził Kolasa.

– Zdejmuję więc szalik z oczu pana Kolaso i proszę, żeby on mnie go zawiązał. Tylko dokładnie, proszę pana, tak żebym naprawdę nic nie widział.

Cagliostro podał Kolasie szalik, który zawiązał mu go na twarzy, dokładnie zasłaniając oczy.

– A teraz, proszę państwa, chwila uwagi – mówił Cagliostro. – Tu na podium znajduje się niewielki stolik. Pan Kolasa będzie łaskaw wyciągnąć z kieszeni marynarki pana Prokopiusza drobiazgi, które się u niego znajdują. To są jego prywatne drobiazgi, takie, które każdy z nas nosi w kieszeniach. Pan Kolasa będzie łaskaw przedmioty te kłaść na stolik, ja zaś, z zawiązanymi oczami tajemną sztuką magii spróbuję odgadnąć nie tylko istotę drobiazgu, ale i jego materię oraz kolor. Czy zgadza się pan, panie Prokopiuszu, na zabawę, która nosi nazwę „rewizja osobista”.

– Zgadzam się.

– Proszę, zaczynamy – rozkazał Cagliostro.

Kolasa wsadził rękę do prawej kieszeni marynarki Prokopiusza i wyciągnął chusteczkę do nosa. Była to chusteczka żółta.

Cagliostro po chwili namysłu, obwieścił:

– Chusteczka do nosa. Żółta.

Kolasa znowu sięgnął do prawej kieszeni marynarki Prokopiusza i położył na stoliku cygaro. Cagliostro zaśmiał się:

– Cóż może mieć w kieszeniach nasz drogi pan Prokopiusz? Wszak jest smakoszem cygar.

Publiczność poczęła klaskać. Cagliostro posiadał sztukę rozpoznawania przedmiotów z zawiązanymi oczami.

– Bo ja, proszę państwa, wyczuwam przedmioty nosem – wyjaśnił publiczności. – Każdy przedmiot posiada bowiem swój własny specyficzny zapach. Ten zapach dochodzi do mych nozdrzy i w ten sposób, mimo zawiązanych oczu, potrafię odgadnąć.

Kolasa położył na stoliku pudełko zapalek.

Cagliostro dotknął palcem czubek swego nosa.

– Mój nos jest bardzo wrażliwy, proszę państwa. Na przykład teraz, z odległości trzech metrów od stolika, daje mi znać, że na stoliku jest coś, co pachnie siarką. Zapach siarki jest taki ostry. Jakież to siarkowe przedmioty nosi w kieszeniach nasz ukochany pan Prokopiusz? Ach, wiem.... zapalki – zawołał.

Trafną odpowiedź znowu powitały oklaski.

– A może teraz ja będę rewidował pana Kolasę? – nieśmiało zapytał Prokopiusz.

– Zobaczmy co ma pan w lewej kieszeni, a później moja kolejka – zdecydował fryzjer Kolasa.

Wsadził rękę do lewej kieszeni marynarki Prokopiusza. Położył na stoliku nieduży, srebrzysty przedmiot.

– Hm, hm, hm – zastanawiał się głośno Cagliostro. – Jakiś dziwny zapach dochodzi do mego nosa. Cóż to może być? Pachnie papierosami... Lecz Prokopiusz nie pali papierosów.

Na sali zrobiło się bardzo cicho. Wszyscy widzieli wyraźnie – na stoliku leżała srebrna papierośnica. Pan Prokopiusz nie palił papierosów, więc może tym razem Cagliostro nie odgadnie?

– Cóż to może być? – rozmyślał głośno Cagliostro. – Pachnie papierosami. Wbrew rozsądkowi muszę stwierdzić... to jest papierośnica.

Ktoś z sali zawołał:

– Zgoda. Ale jaka papierośnica? Skórzana, czy metalowa? Miał pan odgadnąć materię przedmiotu...

Pan Prokopiusz przestępował z nogi na nogę. Wydawał się zaniepokojony. Otwierał usta jakby chciał coś rzec, a potem rezygnował. Robił krok w kierunku stolika jakby chciał obejrzeć lub zabrać z niego papierośnicę, lecz i z tego także rezygnował.

– Papierośnica jest blaszana – rzekł Cagliostro.

Odpowiedział mu śmiech Kolasy:

– Omyłka, czarodzieju. Papierośnica jest ciężka, a więc chyba srebrna.

– Niemożliwe – stropił się Cagliostro. – Może posrebrzana. Jeśli tylko posrebrzana to znaczy, że jednak się nie omyliłem. Wszak materią jest żelazna blacha, a nie srebro.

– Sprawdzić! Sprawdzić! – wołano sali.

– Sprawdzę, czy papierośnica ma próbę – oświadczył zgodnie Kolasa, podszedł do stolika, wziął do ręki papierośnicę, otworzył ją. Długą chwilę milczał, jakby szukając próby, a potem oświadczył bardzo zdumiony.

– To jest papierośnica Józefa Marczaka. W środku, napisano: „Józefowi Marczakowi, w piętnastolecie jego pracy – Zarząd Spółdzielni”.

Cagliostro zdał z oczu swój szalik. Publiczność poderwała się z miejsc. Papierośnica Marczaka w kieszeni pana Prokopiusza? Gazety opublikowały szczegółowy opis rzeczy skradzionych Marczakowi podczas morderstwa. I oto jeden z tych przedmiotów znalazł się w kieszeni portiera Hotelu Miejskiego.

Pan Prokopiusz wołał przerażony:

– Ja nie wiem. Nic nie wiem. Nie wiem, skąd się to u mnie wzięło. Ja tego nie miałem. Ja chciałem państwu powiedzieć od razu na początku, że papierośnicy nie było w mojej kieszeni...

Teraz krzyczał Kolasa:

– A więc to ja panu włożyłem? Co? To ja miałem papierośnicę Marczaka i panu włożyłem do kieszeni?

– Tak... – powiedział Prokopiusz.

Kolasa skoczył do pana Prokopiusza i schwycił go za kłapy marynarki. Obydwaj zaczęli się siłować na estradzie, na oczach zebranej publiczności.

– Morderca! Morderca! – wrzeszczano na sali.

Na estradę wbiegło czterech milicjantów. Wszyscy oni byli tu w charakterze widzów. Sprawnie rozdzielili walczących, chwycili Prokopiusza i wyprowadzili go bocznym wejściem na podwórze kina.

Henryk i Joanna poszli na kolację do „Europy”. Tam dowiedział się Henryk od Gałkowieckiego, że aresztowano również Cagliostre.

X.

Odprowadził Joannę aż pod jej dom. Zabójca Marczaka i pani Gnom został schwytany, Joanna mogła już bezpiecznie mieszkać w domu swego wuja.

Większą część drogi milczeli, gadała tylko córeczka Joanny, przeżywając magiczne sztuki Cagliostra. Joanna odpowiadała córce rzadko i niechętnie. Henryk także nie otwierał ust, ciągle jeszcze zaskoczony tym, co się stało w kinie. Odkrycie mordercy oznaczało kres jego pobytu w Piotrkowie. Dziś w nocy zapewne nastąpią przesłuchania, a jutro będzie już znana tajemnica śmierci Marczaka i pani Gnom.

Reporterska żyłka wzywała Henryka do Powiatowej Komendy MO. A jednak szedł obok Joanny, zdawał sobie bowiem sprawę, że ogląda ją chyba po raz ostatni. „Właściwie powinienem się pożegnać” – myślał. Ale wciąż towarzyszył Joannie, obiecując sobie, że pożegna się o dziesięć kroków dalej. Potem znowu odkładał tę chwilę na dalsze dziesięć kroków.

Doszli do żywopłotu wokół ogrodu Marczaka. Henryk powiedział:

– Prokopiusz mordercą? Mój boże, któżby się tego spodziewał. Jak w książce kryminalnej, mordercą okazał się najmniej podejrzany. Wyobrażam sobie jak to opisze Gałkowiecki: „niebezpieczny morderca zdemaskowany podczas występu iluzjonisty”. Taki da tytuł, a potem napisze: „W dniu wczorajszym Piotrków był świadkiem niezwykłego wydarzenia...”. Miły czcigodny Prokopiusz w tabaczkowej kamizelce. Tak przyjemnie rozmawialiśmy kiedyś o zaletach hotelu „Metropol” w Moskwie. Stary Prokopiusz w kostiumie „węża morskiego”...

– Z czego się pan śmieje? To przecież niewesoła historia, Któż wie, jaki dramat kryje ta sprawa.

Wzruszył ramionami:

– Fryzjer Kolasa wyjmujący dowód zbrodni z kieszeni portiera podczas występów iluzjonisty! Nie, na Boga, to za bardzo literacka scenka. Za bardzo literacka, żeby mogła być prawdziwa.

– Nie rozumiem pana.

– Scena zdemaskowania Prokopiusza wygląda na wyreżyserowaną. Zresztą... – machnął ręką – historia z „Czarnym wachlarzem”, przypomina satyrę na powieść kryminalną. Oczywiście jest prawdopodobne, że Prokopiusz posłużył się moją powieścią, aby skierować śledztwo na fałszywe tory, Prokopiusz, mój Boże... – westchnął po raz wtóry.

Wieczorny wiatr przyniósł od jeziora chłodny, pachnący wodorostami zapach. Nad ich głowami cichutko szemrały korony drzew, w żywopłocie szeleścił nocny ptak. Henryk spojrział w stronę domu pani Gnom – okna w jej mieszkaniu były ciemne.

Pani Gnom... – i ją także podejrzewał Henryk. Któż zresztą nie obudził jego podejrzeń? Gałkowiecki, Bobczyński i Dobczyński, nawet Joanna, Czy nie zapytać po raz drugi z kim spotkała się w Przygłowie? A może znowu oburzy się i takie będzie ich pożegnanie?

– Może pan wstąpi do mnie? – zaproponowała Joanna.

Popatrzył na jej twarz. Ni stąd, ni z owąd doznał tkliwego uczucia. Pomyślał, że mógłby ją co dzień tak odprowadzać do domu. I że nigdy nie potrafi się na to zdecydować. Wziął ją za rękę i weszli w furtkę ogrodu.

– Pan pewnie już wkrótce wyjedzie – rzekła jak by zgadując myśli Henryka.

– Nnnie... – skłamał.

– Przyjechał pan odnaleźć mordercę mego wuja – powiedziała.

– Chciałaby pani usłyszeć ode mnie: zobaczyłem panią i zdecydowałem się tutaj pozostać, tak?

Przystanęła. Odwróciła się do Henryka z gniewnie zaciśniętymi ustami:

– Jest pan wstrętny, złośliwy jak wszyscy tutaj. Nie wiem kiedy pan stąd wyjedzie. Natomiast ja wiem na pewno, że ucieknę stąd jak tylko uda mi się sprzedać dom wuja.

Patrzył na jej gniewną, zaciętą twarz i potępił się za swą głupią złośliwość. Jednocześnie pomyślał: „Joanna wydawała mi się dotąd łagodną, nieszczęśliwą kobietą, której prawdopodobnie nie powiodło się w życiu. Teraz zaś ujawniła nową cechę swego charakteru – ona potrafi być nie tylko łagodna, ale i zacięta, pełna nienawiści”.

– Nie rozumiem – bąknął.

– „Nie rozumiem, nie rozumiem” – przedrzeźniała go. – To dobrze, że pan nic nie rozumie.

Otworzyła drzwi mieszkania. I nagle krzyknęła cicho.

– Niech pan wejdzie... niech pan wejdzie... tu ktoś był – powtarzała.

Henryk wbiegł do kuchni.

– Proszę zwrócić uwagę, że szafeczki kredensu są wyciągnięte. Niech pan patrzy na podłogę...

Pod kredensem leżały guziki i kłębki nici wyrzucone z jednej z szuflad. Ktoś grzebał w nich w pośpiechu i aby ułatwić sobie zadanie, wszystkie rzeczy wysypał na podłogę.

Przeszli do pokoju. Biurko stało otworem.

Joanna chciała je zamknąć, ale Henryk chwycił ją za ramię.

– Niczego nie wolno tu teraz dotykać. Ktoś plądrował w mieszkaniu. Może pozostawił odciski palców? Pędzę po milicję.

– Nie. Ja tu sama nie zostanę – zawołała.

Zdecydował:

– W takim razie niech pani idzie do Komendy Powiatowej. A ja będę pilnował i córki i mieszkania.

Mała była śpiąca. Położyli ją na łóżeczku w kuchni. Joanna powędrowała do miasta, a Henryk usiadł na progu mieszkania.

Nadeszła noc. Rozglądał się po wypełnionym mrokiem ogrodzie. Wszystkie jego myśli kołowały wokół trzech pytań:

Podczas nieobecności Joanny ktoś zakradł się do jej mieszkania i plądrował. Kto to był? Czego szukał? Co zabrał ze sobą?

Joanna powróciła do domu milicyjną „Warszawą”. Wraz z nią przyjechał Szpakowaty i milicjant z aparatem do fotografowania odcisków palców.

– Co z Prokopiuszem? – zapytał Henryk Szpakowatego.

– Nie przyznaje się do zbrodni. Twierdzi, że nie wie skąd papierośnica wzięła się w jego kieszeni. Nie znaczy to oczywiście, że Prokopiusz nie zmieni swego zdania. Przeprowadzamy rewizję w jego mieszkaniu. Może znajdują się tam jakieś inne dowody winy?

Henryk rzekł niezdecydowanie:

– Prokopiusz jest niewinny. Prawdziwy morderca plądrował mieszkanie pani Joanny.

– Taak? – swoim zwyczajem zdziwił się Szpakowaty. – A jeśli morderców było kilku? Prokopiusz znalazł się w areszcie a inni plądrowali mieszkanie?

– Hm – chrząknął Henryk.

– Mogę panu podać jeszcze inną wersję. To nie morderca zakradł się tutaj. Tu był ktoś, kto chciał zabrać coś na czym mu bardzo zależało, a co znajdowało się w posiadaniu Marcza-ka lub pani Joanny.

Ale śledztwo rozpoczął nie od oglądania mieszkania, ale od dokładnego zbadania zamka w drzwiach. Kazał Henrykowi trzymać zapaloną latarkę elektryczną, a sam przez lupę oglądał antabę i otwór do klucza.

– I co? I co? – Henryk zadręczał go pytaniami.

– Nie ma żadnych rysów. Okna były zamknięte. Wygląda na to, że ów KTOŚ wszedł do mieszkania przez drzwi posługując się właściwym kluczem.

Henryk aż podskoczył z wrażenia.

– Może ten klucz zabrał z kieszeni zabitego Marcza-ka?

– Może – zgodził się Szpakowaty.

Z mieszkania wyszedł milicjant. Bezradnie rozłożył ręce.

– Pracowano w rękawiczkach – odgadł Szpakowaty.

Milicjant przytaknął. Szpakowaty wyjął z teczki gruby segregator z aktami sprawy Marcza-ka. Oddzielił dużą kartę, na której widniał spis rzeczy znajdujących się w mieszkaniu denata. Przez trzy godziny, drobiazg po drobiazgu sprawdzali czy czegoś nie brakuje.

– Nic nie zginęło – stwierdził w końcu Szpakowaty. – Nic nie zginęło.

A Henryk pomyślał, że spis jaki posiada milicja nie jest chyba zbyt dokładny, skoro nie zauważono braku srebrnego pieniążka, który Henryk zabrał z biurka Marcza-ka. Ten pieniążek leżał w kieszeni Henryka i dopiero teraz przypomniał on sobie o nim.

– Boję się. Boję się tu zostać – mówiła Joanna Szpakowatemu.

Próbował ją uspokoić.

– Może pani być pewna, że więcej nie zrobimy już żadnych głupstw. Ten dom i okolica będzie obstawiona przez naszych ludzi.

Opuścił mieszkanie Joanny i wsiadł do milicyjnej „Warszawy”.

– Może odwieźć pana do hotelu? – zaproponował Henrykowi.

Ale Joanna dotknęła ramienia Henryka.

– Niech pan tu zostanie, proszę – szepnęła.

Pozostał. Pościeliła mu w pokoju, na łóżku Józefa Marczaka. Na tym samym łóżku, gdzie przed dwoma miesiącami odnaleziono krwawe ślady zbrodni i czarny wachlarz z powieści napisanej przez Henryka. Dziś Henryk wiedział już, że zbrodnia dokonana wówczas była tylko fikcją. Ta prawdziwa zdarzyła się wczoraj wieczorem, a druga zbrodnia nastąpiła dziś nad ranem. Ale wiedza o tym, że to pierwsze zabójstwo było nieprawdziwe, w niczym nie wyjaśniała tych następnych, prawdziwych.

Tak rozmyślał Henryk kładąc się do łóżka w pokoju Marczaka. Joanna miała spać – jak zwykle – w dużej przestronnej kuchni. Tam także było łóżeczko jej córeczki. Henryk zgasił światło w pokoju i dłuższą chwilę słyszał ruch w kuchni. Zapewne Joanna przygotowywała się do snu.

„Ciekawe, czy propozycja abym pozostał u niej na noc – zastanawiał się Henryk – rzeczywiście wyływała z obawy, czy też po prostu Joanna zdecydowała się ze mną przespać? Jestem przecież przystojnym mężczyzną” – dodawał w duchu.

Otworzyły się drzwi od kuchni. Do pokoju weszła Joanna – w różowym krótkim szlafrocze, luźnym, pod szyją zapiętym tylko na jeden guzik, tak, że przy chodzeniu rozchyłał się ukazując długie zgrabne nogi.

– Przepraszam pana, zapomniałam grzebyka, O, jest tutaj na biurku – powiedziała.

Nie odezwał się ani słowem. Serce bilo mu mocno. W głowie szukał pośpiesznie jakiegoś pretekstu, który mógłby zatrzymać w pokoju Joannę. „Gdyby tylko zechciała usiąść na krawędzi mego łóżka” – myślał.

Zniknęła w kuchni. Zamknęła drzwi za sobą. Czekał, że wróci. Ale nie wróciła

XI.

Nazajutrz rano Henryk pożegnał Joannę i poszedł na stację kolejową w Piotrkowie. Wsiadł w pociąg i pojechał do Łodzi. Prosto z dworca, nie wstępując nawet do swego mieszkania, udał się do Muzeum Archeologicznego na plac Wolności, wszedł do Gabinetu Numizmatycznego i powiedział, że chce się widzieć z magistrem Bernardem W.

Po chwili zjawił się Bernard – wysoki mężczyzna lat czterdziestu o łysiejącym czole i szerokich ustach skłonnych do gadulstwa i uśmiechu. Na nosie miał okulary nieustannie zsu-

wające mu się w dół. Poruszał się trochę niedźwiedziowato, ale jednocześnie z dużym wdziękiem. Był to znakomity naukowiec, wielki znawca starych monet i metali. Henryk poznał go kiedyś przez jednego ze swych przyjaciół, archeologa, z którym uczestniczył w ekspedycji wykopaliskowej na Pomorze.

– Chciałem panu pokazać starą monetę, którą miałem szczęście odnaleźć – powiedział Henryk wręczając Bernardowi srebrną blaszkę wziętą z biurka Marczaka.

Naukowiec poprowadził Henryka do swego gabinetu, gdzie znajdowało się mnóstwo szaf z dziesiątkami półeczek. Tutaj w wąskich szufladach leżały tysiące starych monet. Setki monet leżały na stołach. Bernard klasyfikował je, opisywał, segregował.

Usiedli obok wielkiego biurka. Bernard wziął do ręki pieniądze przyniesiony przez Henryka i oglądał go przez lupę. Badał monetę długo i dokładnie.

– Nooo, taak – mruknął. I schował monetę do kieszeni. Milczeli dłuższą chwilę. Bernard patrzył na Henryka, a ten patrzył na Bernarda. Na twarzy numizmatyka widniała doskonała obojętność. Zdawało się – zapomniał, że przed chwilą coś zabrał od Henryka. A skoro schował monetę znaczyło to chyba, że go zainteresowała? Bernard miewał często do czynienia z chłopami z zapadłych wiosek. W starej dziupli lub na polu odnaleziono garnek ze starymi monetami. Chłopi kryli skarb, milczeli. Bernard jeździł do nich, gadał. Obydwie strony uciekały się do setek podstępów. Jedna, aby za skarb wziąć jak najwięcej pieniędzy, druga – żeby jak najtaniej zapłacić za znalezisko. Całymi godzinami trwały targi. Bernard prawie zawsze wracał zwycięzcą, muzeum otrzymywało nowy skarb. Zapewne uciekał się do siebie tylko znanych sposobów, żeby nakłonić opornych do sprzedaży skarbu lub przełamać ciemnotę, która niekiedy kazała znalezisko z powrotem zakopać w ziemię, bo „matka ziemia się obrazi i rodzic nie będzie”. Były to jego wspaniałe i chytne chwyt. Jeden z nich być może próbował teraz zastosować wobec Henryka.

– Oddaj pan pieniądze – rzekł Henryk zdecydowanie. – Niezwykła moneta, co? – powiedział na wszelki wypadek.

Bernard westchnął, ale pieniążka nie oddał.

– Gdzie go pan znalazł? – zapytał.

– No... na polu.

– Gdzie?

– Pod Piotrkowem – skłamał Henryk.

– Zabierz mnie pan na to miejsce.

I wstał z krzesła. Ale Henryk ani się ruszył

– Wolnego, panie Bernardzie. Najpierw powiedz mi pan coś o tym pieniążku.

Bernard pogrzebał w kieszeni, wyjął dziesięciozłotówkę, z „Kopernikiem” i położył ją na stole.

– To zamiast tej starej blaszki.

Henryk aż poczerwieniał z gniewu.

– Mało? – zdziwił się Bernard. Pogrzebał w kieszeni, wyjął drugą dziesięciozłotówkę.

Henryk zapalił papierosa.

– Mało! – rzekł. Zaczynała go bawić ta historia.

Bernard skrzywił się. Sięgnął do portfela, Teraz na stole znalazła się setka.

– Mało!

– Już była druga setka.

– Mało!

Dorzucił pięćsetkę.

– Mało – wołał Henryk.

– Dam tysiąc – powiedział posapując i stękając.

– Mało!

– Półtora tysiąca.

– Mało.

Sięgnął do kieszeni do portfela. Dorzucił jeszcze pięćsetkę. Za „blaszkę” chciał już dać Henrykowi dwa tysiące złotych.

– Mało powiedział ten spokojnie.

Bernard zagarnął pieniądze. Położył na stole „blaszkę”.

– Zabierz ją pan – rzekł pogardliwie. – Dwa tysiące daję. To są państwowe pieniądze. Więcej nie mogę. A w ogóle redaktorze, jak się pan nie wstydzi? Moneta jest cenna dla muzeum, a pan chce nas wyżyłować do ostatniego grosza?

– To nie mój pieniążek. Wziąłem go z biurka człowieka, który już nie żyje. Moneta leżała wśród śmieci w biurku. Tym niemniej, zabrałem ją bez pozwolenia nowego właściciela. Jeśli jest rzeczywiście wartościowa, będę musiał ją zwrócić.

– Trzeba było tak od razu powiedzieć – rzekł Bernard z oburzeniem.

– Przecież pan mnie o nic nie pytał? Schował ją pan do kieszeni i położył pan dziesięć złotych.

Bernard pogładził swoje łysiejące czoło. Był wyraźnie zakłopotany.

– Panie – rzekł cicho. – Może pan tą monetę zwrócić właścicielowi. Ale błagam pana, niech pan nie mówi, że chciałem dać dwa tysiące, Może uda się kupić taniej?

– Zgoda. Muszę jednak wiedzieć co to za pieniążek.

– Denar Bolesława Chrobrego. Denar zwany „Gnezdun civitas” z tysięcznego roku. Niezwykle rzadki okaz, pan rozumie? Na całym świecie istnieje jeszcze jedna taka moneta. Znajduje się ona w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie. Drugi okaz był w prywatnych zbiorach, lecz zaginął w czasach okupacji. Pan znalazł trzeci okaz. Prędzej bym się spodziewał, że ziemia zapadnie się pod moimi nogami, niż że danym mi będzie odkryć ten pieniążek. Denar „Gnezdun civitas” może być ozdobą najwspanialszego zbioru. Za ten okaz bogaty kolekcjoner mógłby ofiarować majątek. Dla takich monet popełniano rabunki, włamania, morderstwa...

– Morderstwa – powtórzył Henryk.

– Skąd go pan ma? To przecież rewelacja dla całego świata numizmatycznego. Trzeci denar „Gnezdun civitas”.

A kiedy nareszcie pohamował swój entuzjazm, podsunął Henrykowi lupę i kazał obejrzeć denar.

– Niech pan patrzy. Na tej stronie widać głowę Bolesława Chrobrego. Co za utalentowany rytownik ją wykonał! To nie jest szablon głowy monarszej jaki zazwyczaj spotykamy na wyrobach menniczych z tego czasu. To raczej realistyczny portret. Niskie, trochę wypukłe czoło – górna warga jak gdyby zaciśnięta, dolna naprzód wysunięta, mocno rozwinięta szczęka. W gładkim otoku głowa zwrócona na lewo, przez górną część ponad uchem przechodzi pasek – a na nim pięć kulek oznaczających diadem. Dołem, na szyi również sześć kulek, jakby pereł. I na obwodzie napis Bolizlaus. Bolesław. A na drugiej stronie, widzi pan? W otoku prosty krzyż, końce ramion trochę ma rozszerzone. Między nimi cztery kulki. W obwodzie napis GNEZDUN CIVITAS, co oznacza – że denar pochodzi z Gniezna. Prawdopodobnie wybito go dla uczczenia słynnego Zjazdu Gnieźnieńskiego w tysięcznym roku, gdy to w obecności cesarza Ottona III została oficjalnie ogłoszona samodzielna organizacja kościoła polskiego. Pierwsi polscy monarchowie wybijali monety nie dla zysku, lecz aby podkreślić swoją niezależność od cesarstwa niemieckiego. Czynili to okazjnie, monet chyba wypuszczono bardzo niewiele, stąd i ich wielka rzadkość. Jak mówiłem do tej pory odnaleziono tylko dwa takie okazy. Jeden z nich zaginął, a drugi jest w Muzeum Narodowym.

– Jak pan sądzi, czy denar ten był w obiegu?

– Oczywiście. Proszę zwrócić uwagę na charakterystyczne nacięcie widoczne na odwrocie denara. Za czasów Bolesława Chrobrego, a i znacznie wcześniej kupowano „na wagę”. Odważono pewną ilość srebra jako zapłatę za towar. Na ogół nikogo nie obchodziła zewnętrzna forma kruszcu, czy była to moneta czy też zwykły placek ulany ze srebra. Kontrolowano tylko dobroć kruszcu, monetę odgryzano lub nacinano, uważając, że czyste srebro jest

twardsze od stopu. Do nacinania używano także maleńkich dłutek, które pozostawiały specjalnego rodzaju rysy. O tu widać dokładnie owe ślady po dłutku.

Ciekawe, gdzie znaleziono ten rzadki denar. – Bernard powrócił do sprawy, która go najbardziej interesowała.

– Obawiam się, że tego już się nigdy nie dowiemy. – I Henryk opowiedział mu historię „Węża morskiego”. Zakończył:

– Denar Chrobrego poniewierał się w biurku denata między kilkoma pięciofenigówkami. Zapewne Marczak nie zdawał sobie sprawy jak cenny okaz wpadł w jego ręce. Może robotnicy kopiąc fundamenty pod jego domek odnaleźli denar i dali mu go? Albo on sam podniósł go gdzieś z pola czy z drogi? Nie wiedząc o wartości pieniążka wrzucił go do szuflady między stare rupiecie.

– Morderca został aresztowany?

– Tak... – odrzekł Henryk z odrobiną wahania. Lecz Bernard tego nie zauważył.

Powiedział:

– Nie pozostaje nam nic innego jak dogadać się to spadkobierczynią Marczaka i denar odkupić.

– Za jaką sumę?

– Jak najtaniej. Jak najtaniej – zawołał Bernard i z znowu zerwał się z krzesła: – Jędziemy do Piotrkowa. Natychmiast. Mam niewiele czasu.

– Nie – oświadczył Henryk zdecydowanie. – To nie da się tak od razu załatwić. Ja ten pieniążek wziąłem bez pozwolenia... Gdy sprawę wyjaśnię, moneta trafi w pańskie ręce. Ale musi pan na to trochę poczekać.

– A swoją drogą – rzekł Bernard – radzę panu zainteresować się, czy Marczak nie posiadał jeszcze innych monet. W Piotrkowie kolekcjonerstwem wszelkiego rodzaju zajmuje się jeden z księży. Nazywa się Garnuszek. Wiem, że on zbiera także monety, kiedyś konsultowałem się w moim gabinecie numizmatycznym. Niech go pan odwiedzi i ostrożnie pociągnie za język. Być może Marczak pokazywał mu swoje znalezisko?

– Czy nie lepiej, żeby pan z nim pogadał?

– Muszę jechać aż na kresy Polski. W powiat Siemiatycze w województwie białostockim. Pewien malarz z Siemiatycz dał mi listownie znać, że w jednej z tamtejszych wiosek rolnicy uprężę końskie przyozdabiają starymi monetami z napisem przypominającym pismo hebrajskie. Powracając wstąpię do pana i ostatecznie zadecydujemy w sprawie denara. A tymczasem...

– Na razie zatrzymam monetę – zdecydował Henryk. – Może będzie potrzebna dla toczącego się śledztwa?

Ale chwilowo ani myślał powiadamiać Szpakowatego o pieniążku zabranym z biurka Marczaka.

XII.

Do Piotrkowa powrócił Henryk o godzinie czwartej po południu. Pogoda była bardzo ładna, świeciło słońce – jaskrawe, wiosenne. Miasto wydało się Henrykowi jakby omyte z kurzu, odmłodzone i piękne. Nie chciał się wierzyć, że pobyt tutaj traktował kiedyś Henryk jako „zesłanie”, że nocami pełzał tu ulicą „wąż morski” połykający ofiary. Historia z bohaterem powieści, który nagle zmaterializował się – wydawała się tylko głupim dowcipem.

Henryk postanowił kupić nową piżamę i wędrował od sklepu do sklepu. Piżama była chyba tylko pretekstem, po prostu przyjemnie było pospacerować ulicami, od czasu do czasu wstępując do sklepów, zatrzymując się przed wystawami. Znał dobrze Piotrków, lubił jego centrum – wąskie uliczki wspominające świetność trybunalskiego grodu. Oto kościół Farny pod wezwaniem świętego Jakuba, zbudowany na przełomie czternastego i piętnastego wieku. Był mieszaniną gotyku, baroku i neogotyku, a jednak tworzył ładną harmonijną całość. Wysoko wznosiła się jego wieża z półkolistymi oknami i strzelnicami, z barokowym hełmem z latarnią.

Oto kościół i klasztor Bernardynów, odbudowany w siedemnastym wieku. W murze klasztoru stała kuta krata żelazna. Oto dawny kościół i Kolegium Pijarów, kościół i dawne Kolegium Jezuitów, kościół i dawny klasztor Dominikanek. Przy ulicy Łaziennej, Mokrej – stara miejska kamienica patrycjuszowska. Na Rynku kilka kamieniczek nosi jeszcze do dziś swoje klasycystyczne elewacje. Szczególnie, gdy przyjeżdża się z Łodzi – można w Piotrkowie odnaleźć dużo uroku. Można znalazłszy się w wąskich uliczkach przy Rynku, zmrużywszy na chwilę oczy odnieść wrażenie, że czas miniony potrafi powrócić. Pozostałe do dziś resztki starych zbudowanych za Kazimierza Wielkiego murów miejskich, wypełnią się, odbudują i zamkną wokół średniowiecznego miasta, przez trzy bramy miejskie popłynie potok ludzki, aby uczestniczyć, jak ongiś, w sejmach walnych, zjazdach generalnych, w obradach trybunału koronnego.

A za murami starego miasta – dawne przedmieścia: wrocławskie, przedborskie, krakowskie, miasteczko biskupie, jurydyka i żydowskie, warszawskie, toruńskie, sieradzkie. Dziś wszystko to wtopione w jedną całość, tworzące jeden organizm dużego powiatowego miasta.

Najładniej jest tu wiosną, gdy zazielenią się drzewa na ulicach i w parku naprzeciw Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Tutaj – na ławeczce – napotkał Henryk Cagliostro. Na widok Henryka, iluzjonista zerwał się z ławki i podbiegł z ręką wyciągniętą na przywitanie.

– Co za szczęśliwy traf, że pana widzę – powiedział radośnie. – Muszę pana przeprosić i jednocześnie wytłumaczyć się. Zgrzeszyłem wobec pana.

Henryka nie zachwyciło to spotkanie.

– Słyszałem, że pana aresztowano... – zauważył niechętnie.

– A owszem, owszem. Przymknięto mnie. Niech pan sobie wyobrazi, że ten szpakowaty „glina” próbował mi wmówić, że to ja, dzięki jakimś swoim „hokus pokus”, wyreżyserowałem tę scenkę na estradzie i do kieszeni Prokopiusza włożyłem papierośnicę Marczaka. Lecz przecież dziesiątki ludzi widziało, że ani na chwilę nie zbliżyłem się do Prokopiusza. Szal na oczy zakładał mi fryzjer Kolasa. Zresztą, przyzna pan, że to nie ja namawiałem Prokopiusza, żeby wlaź na estradę. Jeśli więc rzeczywiście ktoś włożył Prokopiuszowi papierośnicę do kieszeni to tym kimś byłem nie ja, lecz fryzjer Kolasa. On miał do niego dostęp. Lecz ta szpakowata „glina” ciągle się mnie czepiał: „Pan w podejrzany sposób interesuje się morderstwem popełnionym na Józefie Marczaku”.

– To prawda. Wypytywał pan Dobrzyńskiego i Bobczyńskiego, czy jak się tam oni naprawdę nazywają...

– Ciekawość. Zwykła ludzka ciekawość mną kieruje. Ale czy milicjant jest w stanie zrozumieć i ocenić bezinteresowne pobudki człowieka takiego jak ja? Zresztą zauważyć muszę, że i pan także interesuje się morderstwem i to nie tylko ze względów zawodowodziennikarskich.

– O wa – wzruszył ramionami Henryk. – Ja byłem jednym z podejrzanych.

– W takim razie jeszcze raz możemy sobie podać ręce – i Cagliostro entuzjastycznie uściskał Henryka. Wionęło od niego alkoholem.

– Zwolniono mnie z braku dowodów winy – opowiadał dalej Cagliostro. – Powiedziałem im, że pomagam panu w śledztwie, które pan prowadzi w Piotrkowie na własną rękę.

– To przecież nieprawda.

– A czy milicji należy mówić prawdę? – zdumiał się Cagliostro. – Jeśli dotąd nie pomagałem panu, to od dziś będę to czynił. – I obwieścił z triumfem. – Wczoraj rano zamordowano panią Gnom. A przedwczoraj wieczorem znaleziono zwłoki Marczaka. Leżał przed swoim domem koło żywoplotu. Okazuje się, że zabójstwo które stało się czternastego stycznia było tylko „lipą”, naprawdę zabito Marczaka przedwczoraj.

– Wiem, wiem. Byłem przy tym morderstwie.

– Co takiego?

– No tak. To ja i Szpakowaty z milicji pierwsi trafiliśmy na ciało Marczaka. Ba, słyszeliśmy nawet jego krzyk ostateczny.

– Fiuuuu – gwizdnął Cagliostro i w zadumie pogłaskał dłonią bródkę. – W takim razie chyba nie obrazi się pan jeśli zaproszę pana na wódeczkę?

– Najpierw muszę kupić piżamę. Będę dziś nocował u... – Henryk zawiesił głos – u kobiety.

– Fiuuu – gwizdnął znowu Cagliostro. – U Joanny?

– A skąd ją pan zna? – zaniepokoił się Henryk.

– To jedyna kobieta w Piotrkowie naprawdę warta grzechu.

– O, niech pan nie przesadza...

– Ależ tak. To piękność – wołał entuzjastycznie Cagliostro. – Zwróciłem na nią uwagę, gdy byliście na moim występie. Dziś rano, gdy tylko wypuścili mnie z „mamra” i dowiedziałem się o śmierci Marczaka, natychmiast pośpieszyłem do pani Joanny i zaofiarowałem jej swą pomoc.

– Pomoc?

– Powiedziałem, że chętnie dopomogę w zorganizowaniu pogrzebu jej wuja. Mój Boże, samotna kobieta obarczona dzieckiem, jakże poradzi sobie bez męskiego ramienia...

Henryk zacisnął pięści.

– Przyjęła pańską pomoc?

– Oczywiście – przytaknął Cagliostro takim tonem, jak by samo przez się rozumiało się, że żadna kobieta nie odmówi pomocy ofiarowanej jej przez mężczyznę w rodzaju Cagliostra.

– No dobrze, chodźmy na wódkę – zgodził się Henryk.

– I nie będzie pan kupował piżamy? – zdziwił się iluzjonista.

– Do diabła z piżamą. Chodźmy się napić.

O zmroku wytoczyli się z „Europy”. Byli już z sobą „na ty”, obejmowali się czule. Wraz z nimi szła Zuza, którą spotkali na kolacji i zaprosili do stolika.

– Balsamo, przyznaj się do zabójstwa Marczaka. Bądź człowiekiem, no przyznaj się – prosił Henryk Cagliostre, poklepując go po ramieniu.

– Cagliostro jestem, a nie Balsamo – upierał się iluzjonista, a Zuza cichuteńko chichotała.

– Łączyło cię coś z Marczakiem. Przyznaj się, łączyło cię coś z nim, Balsamo...

Zuza przestała chichotać jakby tknęła ją jakaś bardzo poważna myśl. Powiedziała:

– Czternastego stycznia, to jest wtedy, gdy rzekomo zabito Marczaka, pan panie Cagliostro, miał występ w Piotrkowie.

– To zbieg okoliczności. Przysięgam, że to tylko zbieg okoliczności. Nie wierzysz mi, Henryku? Kochany Henryczku? Przekonasz się, jaki ze mnie dobry chłop. Chcesz, nauczę cię sztuczki z trzema kartami. Tego nie umie żaden zagraniczny korespondent.

Henrykowi zakręciło się w głowie. Wczepił się palcami w ramię Cagliostro.

– Powiedz, powiedz, Balsamo, skąd wiedziałeś, co kładziono na stolik podczas twego występu. Nie łżyj, błagam cię, powiedz o twoich sztuczkach.

– Po prostu widziałem przedmioty wyłożone na stole.

– Miałeś zawiązane oczy... Szalikiem.

– To żadna filozofia, Henryczku. Po prostu, gdy ja wiązałem oczy Kolasie, to szalik był złożony trzykrotnie i on nic nie mógł przez niego zobaczyć. A gdy mnie Kolasia wiązał szalik, to był ten szalik złożony tylko dwukrotnie. W ten sposób ja widziałem przedmioty na stoliku, a on nie, rozumiesz?

Zatrzymali się przed Hotelem Miejskim. Henryk uczepiony ramienia Cagliostro, wołał do Zuzy:

– Czy wiesz, kto ja jestem? Czy wiesz, jaki jestem potężny? ... To ja, ja i tylko ja, wymyśliłem w tym mieście „węża morskiego”. Ten wąż pełźnie teraz ulicami Piotrkowa i pożre was. Połknie was wszystkich. Wszystkich! Absolutnie wszystkich! Bez wyjątku.

Zuza prosiła Cagliostkę:

– Czy umie pan wywoływać duchy? Moglibyśmy zrobić sobie seans. Teraz. Zaraz. W hotelu.

Henryk pomyślał:

„Powiniennem pójść do Joanny. Prosiła, żebym u niej nocował. Skoro jednak przyjęła pomoc od Cagliostro, niech się nią opiekuje ten czarny magik”.

Pomaszerowali na piętro do pokoju Henryka. Była już noc.

– Duchy? Czemu nie – głośno zastanawiał się Henryk, patrząc jak Cagliostro ustawił stolik na środku pokoju. – Najlepiej jednak doprowadzić do spotkania z „wężem morskim”.

Cagliostro zgasił światło. Henryk chwycił Zużę za kolano. Dziewczyna śmiała się coraz głośniej.

– Zachowujcie się przyzwoicie, bo sobie pójdę – groziła.

Ale ani Cagliostro, ani też Henryk nie zachowywali się przyzwoicie. Zuza śmiała się coraz głośniej, chichotała, aż wreszcie ktoś zapukał do drzwi pokoju Henryka.

Zapalili światło. Do pokoju wszedł Szpakowaty z milicji Był w piżamie.

– Proszę państwa o spokój – powiedział gniewnie. – Państwo zachowują się zbyt hałaśliwie. Całą ubiegłą noc ani oka nie zmrzyłem, teraz chcę się trochę zdrzemnąć.

I poszedł trzasnąwszy drzwiami.

– Wolę z „glinami” nie zaczynać – mruknął Cagliostro i cichutko wymknął się z pokoju. To samo zrobiła Zuza.

Henryk znowu przypomniał sobie o Joannie. Obiecał jej przecież, że załatwiwszy swoje sprawy w Łodzi, wróci do niej i będzie nocował tak jak wczoraj. „Może Cagliostro zełgał, że przyjęła jego pomoc? – pomyślał Henryk. – Może jest tam sama i lęka się?”.

Spojrzał na zegarek. Zbliżała się jedenasta w nocy. Narzucił na siebie płaszcz i wybiegł z pokoju.

Na parterze w recepcji zobaczył portiera Prokopiusza. A więc nie tylko Cagliostre, lecz także i Prokopiusza wypuszczono z aresztu, choć w jego kieszeni odnalazła się papierośnica zamordowanego kasjera?

– Dobry wieczór panu – powitał go Henryk.

– Dobry wieczór – odpowiedział Prokopiusz. I z obojętną miną przyjął od Henryka klucz.

Portier przez chwilę bawił się drewnianą gałką przy kluczu, a Henryk stał przed kontuarem recepcyjnego stołu i na próżno w twarzy portiera szukał jakiegoś śladu ciężkich przeżyć spowodowanych oskarżeniem o morderstwo kasjera. Prokopiusz był jak dawniej – sztywny i dystyngowany. Zamiast tabaczkowej kamizelki nosił buraczkową, koszulę miał sztywną i czyściutką.

– Mam nadzieję, redaktorze – z wielką godnością odezwał się Prokopiusz, że mimo to, co się stało, nie stracił pan do mnie szacunku, który niejednokrotnie pozwoliłem sobie zauważyć.

Henryk kiwnął głową:

– Uważałem pana za ofiarę ukartowanej intrygi. Współczuję panu. Sądzę, że wszystko jednak się wyjaśniło.

– Niestety – westchnął portier – pozostały pewne niejasności. Nie zdołałem w sposób dostateczny oczyścić się z podejrzeń.

– To bardzo przykre.

– A tak. Niestety, faktem jest, że papierośnica Marczaka znalazła się właśnie w mojej kieszeni. Nie wiem skąd się tam wzięła. Przypuszczam, że włożył mi ją fryzjer Kolasa, choć zdaję sobie sprawy że nie mam prawa rzucać na nikogo podejrzeń. A jednak nie sposób nie zwrócić uwagi – ciągnął Prokopiusz – że gdy chciałem przystąpić do rewizji kieszeni fryzjera

Kolasy, wówczas on powiedział: „zobaczymy jeszcze co on ma w lewej kieszeni”. I położył na stole srebrną papierośnicę, którą jakoby wyjął z mojej kieszeni.

– Innymi słowy, tej papierośnicy u pana nie było?

– Tak twierdzą. I tak zeznałem milicji. Nie sposób jednak udowodnić winy Kolasie. Dla milicji liczą się tylko fakty. A faktem jest, że papierośnicę wyjęto z mojej kieszeni.

Henryk odezwał się możliwie delikatnie.

– Proszę się nie obrażać, ale skoro fakty świadczą przeciw panu, czemu przypisać, że pan znajduje się na wolności?

Prokopiusz pokiwał głową:

– Bo ja mam alibi, panie redaktorze. W chwili gdy zabito Józefa Marcza, to znaczy gdy go zabito naprawdę, ja przebywałem w hotelu, o tu, na tym miejscu. Widziało mnie tu wielu gości hotelowych.

– A Cagliostro? – spytał ostrożnie Henryk. – Czy on nie wchodzi w rachubę jako ten, kto podłożył panu papierośnicę?

– Nie zbliżał się do mnie ani na chwilę. Nawet się o mnie nie otarł. Choćbym chciał, nie potrafię na niego rzucić cienia podejrzeń.

Podobała się Henrykowi uczciwość Prokopiusza.

– Zapewniam pana – oświadczył uroczyście – że mój szacunek dla pańskiej osoby jeszcze wzrósł. Zachwyca mnie pełna godności postawa jaką okazał pan w tak ciężkich dla siebie chwilach.

Skłonili się sobie z uprzejmością, jakiej mógłby im pozazdrościć niejeden wysoko postawiony dostojnik państwowy.

„A więc wszystko zaczyna się od nowa” – pomyślał Henryk opuszczając hotel – „wąż morski” nie został zdemaskowany, pełźnie ulicami Piotrkowa i czyha na nową ofiarę”.

I Henryk przyspieszył kroku, uświadomiwszy sobie po raz trzeci, że Joanna pozostaje w domu Marcza samotna i bezbronna.

XIII.

Joanna jeszcze nie spała, choć dochodziła już dwunasta w nocy. Prała swej córce rajtuzy i koszulki, które rozwieszała na sznurku uciepionym między ścianami kuchni. Joanna nosiła na sobie ceratowy ładny fartuszek bez rękawów i wydała się Henrykowi prześliczna z gołymi ramionami i włosami, które nie spinał już grzebień. Podczas pracy włosy zwichrzyły jej się, okazały się bardzo bujne i puszyste. Joannie było teraz znacznie ładniej niż w gładkim uczesaniu.

– Myślałam, że pan już nie przyjdzie – powiedziała. – Postanowiłam czuwać przez całą noc. Pan chyba już wie, że Prokopiusz został wypuszczony z aresztu? To nie on zabił mego wuja i panią Gnom. Zabójca nie jest znany i może w tej chwili krąży tu gdzieś koło tego domu.

– Nie widzę przyczyny, dla której miałby tu krążyć.

– Przecież był tutaj. Szukał czegoś.

Położył dłoń na jej ramieniu:

– Joanno. Pani Joanno – poprawił się. – Naprawdę nie widzę powodu, który mógłby sprowadzić na panią niebezpieczeństwo.

– Nie wiemy również dlaczego zabito mego wuja? Dlaczego zabito panią Gnom?

Henryk pocałował Joannę w rękę:

– Pani pozwoli, Joanno, że złożę pani wyrazy współczucia z powodu śmierci Józefa Marczaka.

– Chciał pan powiedzieć: z powodu powtórnej śmierci...

Usiadła na krześle, opuściła głowę.

– Nie wiem – szepnęła – zupełnie nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Wuja swego prawie nie znałam. Nagle przed dwoma miesiącami dowiedziałam się, że go zabito. Pozwolono mi się tutaj sprowadzić, bo podobno ten dom i ogród stał się moją własnością. I nagle, po dwóch miesiącach okazuje się, że mój wujek żył. Przebywał gdzieś, nie wiadomo gdzie i dlaczego. Raptem został zabity tuż koło swego domu. Zabity naprawdę. Tej samej nocy zginęła także sąsiadka, pani Gnom. Co się tutaj dzieje? Co się tutaj dzieje? – krzyknęła rozpaczliwie.

– Nie wiem, Joanno. Wszyscy gubimy się tylko w domysłach.

Zbliżył się do Joanny, stanął tuż koło niej i pogładził jej włosy.

– Śmierć wuja, ta prawdziwa śmierć, wstrząsnęła mną – mówiła Joanna. Nie, nie dlatego, że to mój wujek. Przecież go prawie nie znałam a trudno rozpaczać po kimś, do kogo nie miało się żadnego żywszego uczucia. Zresztą ta powtórna śmierć ma w sobie coś groteskowego. To okropne, ale gdy o niej myślę, najpierw ogarnia mnie uczucie wesołości i natychmiast zjawia się refleksja: przecież to morderstwo. Zabito go. I śmiech zamiera mi w gardle, czuję się okropnie, ogarnia mnie strach, nie rozumiem nic z tego co się dzieje wokół mnie. Boję się, boję czegoś, sama nie wiem czego. Cieszę się, że pan przyszedł dziś do mnie, że nie będę sama...

– Joanno – pochylił się do jej ucha – pani jest piękna. Bardzo piękna. Dlatego wahałem się czy przyjść do pani. Czy wolno mi tu nocować, narażać panią na plotki...

– Wszystko mi jedno – powiedziała.

Wyprostował się, zdjął ręce z jej ramienia.

– A jeszcze przedwczoraj, Joanno, gdy zaproponowałem pani wspólne pójście na występ Cagliostro, zastanawiała się pani, czy to wypada. Teraz zaś jest pani wszystko jedno, nawet jeśli będę nocował u pani?

Rozpląkała się. Wobec jej łez czuł się bezradny i okropnie podły. Nie potrafił się opanować – aby nie położyć dłoni na jej ramieniu, dotykać palcami jej włosów. Powiedział że jest piękna, że budzi w nim pożądanie. Gładził palcami jej włosy, szeptał do ucha słowa, które uważał za najczulsze i najpiękniejsze.

– Wszystko mi jedno, co o mnie powiedzą – powtórzyła.

– Ale mnie nie jest wszystko jedno.

Przestała płakać. Popatrzyła na Henryka ze zdziwieniem.

– Pan się lęka o swoją opinię?

– Nie, nie to miałem na myśli. Pani jest zbyt ładna. Zbyt mi się pani podoba, abym mógł tu nocować.

– Pan też mi się podoba – rzekła. – Ale czy to powód żebyśmy razem poszli do łóżka? Zresztą, jeśli takie pan stawia warunki, to jest mi wszystko jedno.

– Ach, tak? – krzyknął i począł biegać po pokoju, wymachując rękami i wykrzykując. – Pani jest wszystko jedno? Cagliostrze też pewnie powiedziała pani, że on się pani podoba, że pani jest wszystko jedno? Ten błazen, ten magik, cudotwórca, prestigitator, iluzjonista od fałszywych iluzji, chwalił mi się, że przyjęła pani jego pomoc. Było pani wszystko jedno?

– Świnia – rzuciła pogardliwie.

– Myśli pani, że jestem błazen, idiota, kretyn? A ten facet, ten fryzjerczyk, ten dentysta, którego spotkałem w Przygłowie?

– Świnia.

– Ten facet ma Wartburga. Możliwie że zabił Marczaka i zdążył pojechać z panią do Przygłowa. Dentysta. Znamy takich dentystów.

– Naprawdę byłam z córką u dentysty. Potem spotkałam go na ulicy. Przejeżdżał autem. To mój...

– Nie chcę wiedzieć kto to jest. Ale jeśli przypuszcza pani, że ja się dam nabrać na to nocowanie tutaj, to się pani myli. Proszę mi powiedzieć do czego ma służyć moja osoba? Jestem potrzebny jako alibi?

– Świnia – powtórzyła.

– Powiedziała pani: „pan też mi się podoba”. I myśli pani, że ja uwierzę? Mam trzydzieści lat, ale jeszcze nigdy żadna kobieta nie powiedziała, że jej się podobam. Owszem,

spały ze mną, flirtowały, były nawet takie, co mi mówiły, że mnie kochają. Ale żadna z nich nie powiedziała, że jej się podobam.

– Pan jest pijany – stwierdziła Joanna. – Niech pan idzie do hotelu spać, albo niech pan śpi u mnie, tam w pokoju. Ale niech pan na mnie nie krzyczy, proszę pana bardzo. Dziecko się obudzi.

Usiadł na krześle. Uspokoił się.

– To prawda – przyznał – że piłem wódkę z Cagliostro. Ale nie jestem pijany.

– Może zrobić panu czarnej kawy?

I krzątając się koło kuchni, wyjaśniała?

– Nie jest mi wszystko jedno. Tak tylko powiedziałam. Bo gdy zaproponowałam panu nocleg u mnie zdawałam sobie sprawę, że prędzej czy później zażąda pan ode mnie, abyśmy spali razem. Nie korciło mnie to, ale byłam do tego przygotowana. Bałam się być sama, nikogo tutaj nie znam, nikogo tu nie lubię i nikt mnie nie lubi. Wolałam, żeby to był pan, choć wiedziałam, że jakąś cenę za swoje bezpieczeństwo będę musiała zapłacić. Oczywiście jest, że pan mi się nie podoba. Jest pan zbyt chudy. Długonogi, przygarbiony, wygląda pan jak pająk.

– Taak – mruknął Henryk. Znowu narastała w nim wściekłość.

– Teraz, po tym co mi pan powiedział i po tym, co ja panu powiedziałam – dokończyła – pan będzie u mnie nocował, a ja nie będę musiała z panem spać.

– Taak – mruknął Henryk. – Pani jest bardzo sprytna. Zagrała pani na mojej męskiej ambicji. A jednak szkoda...

– Co szkoda?

– Szkoda, że się pani nie podobam.

– Ależ z pana dziwak. Najpierw krzyczał pan na mnie ponieważ powiedziałam, że mi się pan podoba, a teraz mówi pan: „szkoda”.

Postawiła na stole filiżankę z czarną kawą.

– Naprawdę, teraz mi obojętne co o mnie powiedzą – powiedziała. – Z początku miałam nadzieję, że potrafię się zdomowić na Bugaju. Nie udało mi się. Ponieważ to ja skorzystałam na śmierci mego wuja, wszyscy podejrzewają mnie co najmniej o współudział w zbrodni. Gdybym była gruba, stara, z mężem pijakiem i kupą dzieci, jakoś by się tu do mnie przyzwyczajono. A że jestem młoda, podobno ładna, mam nieślubne dziecko, więc o pracę jest mi dość trudno.

– Jaki jest pani zawód?

– Maszynistka. Piszę na maszynie.

– I nie ma dla pani pracy?

– Jakoś nie ma – zaśmiała się ironicznie. – Doszłam więc do wniosku, że poczekam aż do końca ułożą się sprawy spadkowe i otrzymam akt własności tego domku i ogrodu. Sprzedam to wszystko i wyjadę. Przenieś się do Łodzi.

– A z czego pani teraz żyje?

– Dostaję na dziecko od tego właśnie, jak go pan nazwał „fryzjerczyka”. Mam trochę oszczędności. Zanim tu przyjechałam, za pewną sumę odstąpiłam swoje mieszkanie.

Zamierzał powiedzieć Joannie o pieniążku „Gnezdun civitas”, który wart był dwa tysiące złotych, ale się wstrzymał. „Ona jest sprytna, bardzo sprytna – pomyślał. – Nie jestem pewien, kiedy gra komedię, a kiedy mówi naprawdę. Powiem jej później, gdy wyjaśnię tę sprawę. Tak będzie najlepiej”.

Spytał Joannę:

– Sprzątając dom swego wuja nie napotkała pani starych monet, starych pieniążków? One wyglądają jak blaszki. Srebrne lub złote blaszki.

– Nie. Czegóż takiego nigdy tutaj nie widziałam. Skąd pan przypuszcza, że Marczak miał stare monety?

– Słyszałem od kogoś, że interesowała go numizmatyka – skłamał.

Pokręciła głową.

– Wypytywałam o wuja różnych jego znajomych i przyjaciół, ale nikt z nich nigdy mi nie powiedział, aby on posiadał tego rodzaju zainteresowania.

– Zapewne ten ktoś, kto mi to opowiadał, ma odrobinę fantazji. A może pomylił Marczaka z kimś innym?

– Natomiast co innego zwróciło moją uwagę – rzekła Joanna. – Pan pamięta, mówiłam, że wydawało mi się dość dziwne, aby kawaler jakim był mój wuj, urządził w swym domu wielką kuchnię, a bardzo mały pokój. A czy pan wie, że w domku pani Gnom jest odwrotnie? Właśnie bardzo mała kuchenka i duży pokój. Wypytywałam ludzi z Bugaju. Sklepowa powiedziała mi, że mój wuj budował ten dom z myślą o ożenku. A kobietą, z którą zamierzał się ożenić, była... pani Gnom.

– Kiedyś odznaczała się chyba dużą urodą.

– Pani Gnom lubiła gotować. W jej mieszkaniu (a zaprosiła mnie kiedyś do siebie) miała doskonale wyposażoną kuchnię. Tylko, że ta kuchnia była bardzo maleńka. Dlatego Marczak wykańczanie wnętrza domu rozpoczął właśnie od kuchni. Zapewne pani Gnom zażądała od Marczaka dużej i przestronnej kuchni, żeby móc realizować w niej swe kulinarne plany. Prawdopodobnie między panią Gnom i moim wujem doszło potem do zerwania. Marczak pośpiesznie wypożyczył jeszcze tylko maleńki pokój, odeszła go ochota do urządzania dal-

szych części domu, a może zabrakło mu pieniędzy. I tak już zostało. Duża kuchnia i maleńki pokoik. Podobno przed rokiem znowu doszło do porozumienia między Marczakiem i panią Gnom. Snuli plany małżeńskie. Przerwała je śmierć. Ta pierwsza fikcyjna śmierć. Pani Gnom jednak nie rozpaczała, co ludzi na Bugaju troszkę dziwiło...

– Wiem – krzyknął Henryk i zerwał się od stołu. – pani Gnom wiedziała, że Marczak żyje. On przebywał u niej. W jej mieszkaniu. A gdy wyjechała do Łodzi, aby w prosektorium rozpoznać rzekome zwłoki Marczaka, pod nieobecność pani Gnom, Józef Marczak został zabity naprawdę

– Tak, właśnie chyba tak wyglądał bieg tych wypadków – zgodziła się Joanna.

– Nie wiem tylko, dlaczego Marczak przebywał u pani Gnom? Dlaczego opuścił jej mieszkanie. Dlaczego został zabity i kto go zabił?

Dochodziła druga w nocy. Henryk poczuł się bardzo śpiący i położył się spać na łóżku Marczaka. Dziś już nie czekał, że przyjdzie do niego Joanna. Zasnął prawie natychmiast.

Joanna rzeczywiście nie przyszła.

XIV.

Pogrzeb Marczaka i pani Gnom miał odbyć się po południu. Na piotrkowskim cmentarzu wykopano obok siebie dwie mogiły i jak napisał w gazecie reporter Gałkowiecki, „było w tym fakcie coś symbolicznego. Mieli spocząć obok siebie jak małżeństwo w rodzinnym grobie – snuli przecież plany małżeńskie. Sąsadowali ze sobą przez tyle lat, teraz także już na wieki łączyć ich miało sąsiedztwo. Wiązała ich z sobą jakaś tajemnica, wzięli ją ze sobą do grobu”.

Tak pisał Gałkowiecki. W swym artykule o zbrodniach jakie dokonano w Piotrkowie, wspominał znowu powieść „Czarny wachlarz” i w tajemniczym „Mścicielu” dopatrywał się zbrodniarza.

„A to łądak” – pomyślał Henryk przeczytawszy gazetę. Był tak wściekły na Gałkowieckiego i na Zużę, która przecież odpowiadała za brednie, jakie do druku dawał Gałkowiecki, że postanowił odwiedzić redakcję i nawymyślać obojgu.

Najpierw jednak Henryk zdecydował się ogolić u fryzjera Kolasy. Wprawdzie w numerze hotelowym miał wszystkie przybory do golenia, ale idąc rano od Joanny w ogóle nie wstąpił do hotelu. Ciekawiło go, co też ludzie w Piotrkowie myślą o zabójstwie Marczaka i pani Gnom. Kolasa, który jeszcze podczas uprzedniego pobytu Marczaka w Piotrkowie stanowił dla niego źródło przeróżnego rodzaju plotek i ploteczek, teraz mógł znowu okazać się przydatny.

– Ja tam nie wierzę w tego „Mściciela,” – powiedział Kolasa, zarzucając ręcznik na ramiona Henryka. – Wszyscy w Piotrkowie wiedzą, że Marczak nie był żonaty. A skoro nie miał żony, to z jakiej racji ów „Mściciel” miałby go zabijać?

– Masz pan rację. To zwykle brednie – zgodził się Henryk. – „Czarny wachlarz” jest powieścią od początku do końca zmyśloną przeze mnie. Wymyślona postać nic może zabijać.

– No tak – kiwnął głową Kolasa. – Ale dlaczego ciągle wspomina się ten „Czarny wachlarz”.

– Nie wiem. Przypuszczam, że ktoś chce zrobić we mnie tę historię. Może mam jakiego wroga w Piotrkowie?

– Nie ktoś, tylko Gałkowiecki – rzekł Kolasa.

– Taaak... – mruknął Henryk. I znowu obudził się w nim gniew na Gałkowieckiego i Zuzę.

A Kolasa wydał się nagle Henrykowi bardzo sympatyczny. „Plotkarz, głądziarz, ale ma dużo zdrowego rozsądku” – rozmyślał obserwując w lustrze twarz Kolasy. Spostrzegł że Kolasa ma bardzo inteligentne oczy, przypomniał sobie, że kiedyś dyskutował z Kolasą na temat jakiejś poważnej książki. Zauważył dziś, że Kolasa nosi zawsze czyste koszule, ma wypielęgnowane ręce i różowe policzki. Henryk nigdy nie czuł od Kolasy wódki, był to więc zapewne człowiek bez nałogów, spokojny i kulturalny.

– Już od dawna zastanawiam się nad tą sprawą – zaczął znowu Kolasa – i sądzę, że niektóre aspekty tego zagadnienia stają mi się coraz bardziej zrozumiałe.

„No, proszę, zna i rozumie słowo „aspekt” – pomyślał Henryk. – Gałkowiecki zapewne do końca życia nie będzie wiedział, kiedy użyć słowa „aspekt”.

– Proszę, niech pan mówi. To bardzo ciekawe – zachęcał Kolasę.

– Przede wszystkim zastanawiałem się nad tym kto miał największą korzyść z kojarzenia zabójstwa Marczaka z „Czarnym wachlarzem”?

– No kto, panie Kolasa?

– Gałkowiecki. Zarobił kupę forsy sprzedając „Czarny wachlarz”, Gałkowieckiemu były potrzebne pieniądze, on na same taksówki do Przygłowa wydaje miesięcznie ponad półtora tysiąca złotych. A przecież ma na utrzymaniu żonę, proszę pana redaktora. Więc pomyślałem, że jeśli na przykład Marczak i Gałkowiecki umówili się, co do tego nieprawdziwego morderstwa, Gałkowiecki najpierw gromadził ogromną ilość wycinków „Czarnego wachlarza”, potem zaś Marczak rozpuścił wiadomość o tym, że jest prześladowany przez „Mściciela” z pańskiej powieści. Następnie zaś urządził tę hecę z zabójstwem. Wtedy Gałkowiecki roztrąbił w

gazecie, że mordercą jest „Mściciel”. I w ten sposób obudził zainteresowanie „Czarnym wachlarzem”, zaczął go sprzedawać i zarobił dużo grosza.

– Ale w dwa miesiące później Marczak zginął naprawdę.

– No właśnie. Bo Gałkowieckiemu zostało w domu jeszcze sporo niesprzedanych egzemplarzy „Czarnego wachlarza”. Trzeba było znowu obudzić zainteresowanie tą powieścią. Czy pan wie, że on teraz komplet wycinków pańskiej powieści sprzedaje po pięćset złotych?

– A to świnią – zawołał Henryk.

– No tak, proszę pana. Zabito więc Marczaka, tym razem już naprawdę.

– A pani Gnom?

– Ona była w zмовie z Marczakiem i Gałkowieckim. Musiała zginąć, żeby nie ujawnić tajemnicy.

– Więc pan sądzi... pan sądzi, że to Gałkowiecki?

– Ja tego nie powiedziałem – zastrzegł się Kolasa.

Henryk pokręcił głową:

– Nie, nie to nieprawdopodobne. Nie chce mi się wierzyć, żeby dla kilku tysięcy, które zarobiono na sprzedaży „Czarnego wachlarza” zorganizowano aż tak niebezpieczną imprezę jak fikcyjne zabójstwo, ba, potem naprawdę zabito Marczaka i panią Gnom.

– O wa – wzruszył ramionami Kolasa. – Dla mniejszych korzyści ludzie popełniają zabójstwa. Zabijają dla zwykłego zegarka. Czytałem niedawno w gazecie, że pewien facet zabił taksówkarza, żeby zdobyć trzysta złotych.

– Nie, nie to niemożliwe – oponował Henryk. – Zbyt misterna była ta historia z fikcyjnym zabójstwem, aby zorganizowano ją tylko dla kilku tysięcy złotych. A potem to podwójne morderstwo? Nie, nie, to chyba tak nie było.

– Jak pan sobie uważa – powiedział Kolasa. Był jakby trochę obrażony powątpiewaniem Henryka. Golił go w milczeniu, nic go już nie obchodziło poza brzytwą i brodą Henryka.

Dopiero skończywszy golenie, odezwał się znowu:

– A ten Cagliostro? Jaka jest jego rola w tej sprawie?

– Cagliostro?

– On jest piotrkowianin. Urodził się tutaj, przebywał w Piotrkowie w dniu czternastym, piętnastym i szesnastym stycznia. Miał wtedy swoje magiczne występy. Właśnie wówczas zdarzyło się to pierwsze fikcyjne zabójstwo Marczaka. Potem Cagliostro wyjechał i znowu przybył do Piotrkowa. I znowu wydarzyły się zabójstwa. Tym razem prawdziwe. A dlaczego

Cagliostro nie wyjeżdża z Piotrkowa? Przecież już nie będzie miał dalszych występów? A jednak pozostaje i niech pan sobie wyobrazi, że zajął się pogrzebem Marczaka i pani Gnom.

– Czyni to przez sympatię dla siostrzenicy Marczaka.

– Przez sympatię? Pan chyba żartuje. A to zdarzenie podczas jego występów w kinie?

– Ani przez chwilę nie zbliżył się do Prokopiusza.

– To się tak tylko mogło wydawać, Cagliostro ma niezwykłą zręczność w palcach. To iluzjonista.

– Taak – zastanawiał się Henryk.

– Albo Zuza, proszę pana.

– Co Zuza?

– No, wszyscy wiedzą, że kręciła kuprem na widok Marczaka. Stary był, bo stary, ale ona bardzo chce wyjść za mąż. Kiedyś przyszedł Marczak do redakcji, żeby zapytać o pana.

– O mnie?

– Podobno chciał uzyskać jakieś informacje o tym „Mścicielu”. W redakcji poznał panią Zuzę. A ona jak się dowiedziała, że Marczak jest kawalerem, że ma domek i ogród, zaraz się do niego ostro zabrała. Widziano ich na kawie „Pod Ormianinem”. Podobno nawet odwiedziła jego mieszkanie. Pani Gnom miała o to do niej wielkie pretensje.

– Ach tak.

– Albo siostrzenica Marczaka, Joanna...

Golenie był skończone. Henryk podniósł się z krzesła, wyjął portmonetkę.

– To było bardzo interesujące, co mi pan powiedział – stwierdził. – Później dokończymy tę rozmowę, bo bardzo się śpieszę.

Zapłacił Kolasie i wyszedł z zakładu. Nic chciał słuchać o Joannie. Nie chciał słuchać o niej nic złego.

Na Rynku Starego Miasta zobaczył Szpakowatego. Spacerował po Rynku i zdawało się, że pochłaniała go tylko kontemplacja frontonów starych kamieniczek.

– Chciałbym z panem zamienić kilka słów – powiedział Szpakowaty złożywszy ukłon Henrykowi.

– Słucham pana – odpowiedział uprzejmie Henryk zatrzymawszy się.

– Wiem, że przyjechał pan do Piotrkowa, aby pomóc nam – słowa „pomóc nam” wymówił z pewną ironią – w wyjaśnieniu zagadkowej śmierci Marczaka. Chciałbym jednak pana ostrzec, że źle pan czyni biorąc sobie za pomocnika niejakiego Józefa Płócienniczaka.

– Kogo?

– Płócienniczaka vel Cagliostre, jak pan woli. Osobnik ów, zwany Cagliostrem, zanim osiągnął swe przedziwne umiejętności iluzjonistyczne, posiadał nieprzeciętny talent zaglądania do cudzych kieszeni, za co swego czasu osiadł nawet w areszcie. Oczywiście, nie chcę przez to powiedzieć, że ów pan nadal uprawia swój proceder. Radziłbym jednak zachować ostrożność.

– Dziękuję za ostrzeżenie – odrzekł Henryk w sposób równie oficjalny i napszony. – Jestem przekonany, że na przyszłość nie będę musiał uciekać się do pomocy Józefa Płócienniczaka vel Cagliostra. Jeśli do tej pory czyniłem to, stało się tak, ponieważ nie mam jakoś zaufania do talentów naszej milicji.

Czy ma pan na myśli naszą ludową Milicję Obywatelską?

– Ależ tak – rzekł Henryk – czternastego stycznia zabity zostaje kasjer Marczak, a w każdym razie wszystkie okoliczności wskazują na to, że został zamordowany. Zamiast szukać zabójcy, dajecie wiarę jakimś bredniom o zbrodniczym bohaterze mojej powieści i czekacie na mnie na dworcu lotniczym w Warstwie. Nagle, gdy dochodzicie do wniosku, że zabójstwo było upozorowane, Marczak ginie naprawdę, pani Gnom kłamie, że rozpoznała zwłoki Marczaka. Tej samej nocy, prawie na oczach milicji mordują ją siekierą w jej własnym domu. Przepraszam, za co pan bierze pieniądze. Jutro mogą zamordować mnie, Joannę, Cagliostre albo Prokopiusza – mówił pierwsze lepsze nazwiska, które przyszły mu na myśl – a pan będzie dalej spacerował i oglądał frontony kamieniczek Piotrkowa? Nie, to kpiny, proszę pana. Gdybym ja tak pisał artykuły do gazety jak pan prowadzi śledztwo, to Naczelny Redaktor wyrzuciłby mnie z pracy na zbity pysk, pan rozumie?

– W Polsce jest bardzo duża wykrywalność przestępstw – zauważył Szpakowaty.

– Ale jakich my mamy przestępców, proszę pana. Pożal się Boże, jacy to przestępcy. Sami włączą w ręce milicji. Wystarczy jakiś bardziej skomplikowany wypadek zabójstwa, a jesteście ślepi jak kocięta.

I Henryk niemal Szpakowatego uczynił odpowiedzialnym za zbrodnie, jakie wydarzyły się w Piotrkowie.

– Słyszysz pan co ja mówię? Dlaczego pan nie słucha? – krzyknął zauważywszy, że oficer śledczy znowu rozgląda się po frontonach kamieniczek.

– Rozmyślam, zastanawiam się, proszę pana...

– Czy można znać pana myśli? – spytał kpiąco Henryk.

– Nawet chciałem się nimi z panem podzielić. Bo widzi pan zastanawiam się, jakie wrażenie uczyniłby na mnie widok papierośnicy Marczaka wyjmowanej z pańskiej kieszeni. A

przecież to mogło się zdarzyć. Cagliostro najpierw pana zaprosił na estradę, a gdy pan zrezygnował, wówczas dopiero zaprosił Kolasę i Prokopiusza.

Henryk zacisnął pięści:

– Domyślam się, jakie odniósłby pan wrażenie. Milicji nic więcej nie trzeba, jak tylko znaleźć papierošnicę zamordowanego w mojej kieszeni.

– Och, niech, pan nie przesadza – lekceważąco skrzywił usta Szpakowaty. – Nie jesteśmy chyba tak głupi jak sądzi i pan i ów zabójca, pański „wąż morski”. A propos „węża morskiego”. Choćby na jego przykładzie można zobaczyć różnice między pańską pracą i moją. Pan wyssał z palca brednie o „czarnym wachlarzu”, pańska brednia ożyła, a ja muszę ją zde-maskować. Tylko, że niestety nie mogę tak jak pan, ssać niczego z palca. Nie ulega jednak dla mnie żadnej wątpliwości, że w tym mieście ktoś chce pana, redaktorze, narazić na poważne kłopoty. Niech pan będzie ostrożny. To chciałem powiedzieć, zaczepiając pana na ulicy.

I Szpakowaty uklonił się Henrykowi. Odszedł wolnym spacerowym krokiem.

Henryk poszedł teraz prosto do oddziału redakcji. Już z daleka dostrzegł, że żaluzje na oknie są podniesione, a więc w redakcji ktoś urzędował. Przybrał groźną minę i rozpędziwszy się prawie wbiegł do wnętrza.

– Gałkowiecki. Gdzie jest Gałkowiecki? – krzyknął rozglądając się po mrocznym, sklepowym wnętrzu redakcji. Zobaczył brudne, popękane kafelkowe ściany z hakami na połacie mięsa, a tam, gdzie kiedyś tkwił wielki pień rzeźniczy, biurko, za którym w tej chwili siedziała Zuza.

– Nie drzyj się. Nie ma Gałkowieckiego – ziewnęła.

– Ja go rozszarpię. Ja go zabiję! – krzyczał Henryk. – Jak on śmie łączyć sprawę zabójstwa z powieścią „Czarny wachlarz”? To świństwo, draństwo! Chce mnie narazić na kłopoty.

Zuza znowu ziewnęła. A raczej udała, że ziewa. Chciała okazać, że krzyki Henryka nie czynią na niej żadnego wrażenia.

– To ja kazałam Gałkowieckiemu wspomnieć „Czarny wachlarz” – powiedziała spokojnie. – No przecież nie ulega najmniejszej wątpliwości, że śmierć Marczaka i pani Gnom ma jakiś związek z twoją powieścią. A w każdym razie, w powieści należy szukać klucza do tej sprawy.

Henryk podszedł do biurka, za którym siedziała Zuza. Oparł się dłońmi o biurko i pochylił twarz do twarzy Zuzy.

– Powiedz mi, co ty knujesz? Zuza, co ty knujesz? – spytał szeptem.

Wzruszyła ramionami. Potem wyjęła z torebki szminkę i poczęła malować sobie wargi. To także miało przekonać Henryka, że jest bardzo spokojna i nic ją nie obchodzi jego zderowanie.

Oświadczyła z powagą:

– Zakochałeś się w siostrzenicy Marczaka, nocujesz u niej, jesteś jej kochankiem. To wszystko nic a nic nie interesowałoby mnie, gdyby nie fakt, że ciąży na niej podejrzenie o współudział w zabójstwie Marczaka i pani Gnom. Ona stała się spadkobierczynią po swym wuju, ona, i tylko ona miała korzyść ze śmierci Marczaka.

– Przestań, Zuza – krzyknął. Wszystkim wiadomo, że bywałaś u Marczaka.

– Może. Ale to niech ciebie nie obchodzi. Ja nie miałam żadnej korzyści z jego śmierci. Przeciwnie. Gdyby żył, może moje sprawy potoczyłyby się inaczej.

– To przecież był stary facet. Stary i brzydki.

– Nie mów o nim w ten sposób. Pojęcie urody jest względne. Tobie na przykład wydają się brzydka i nieciekawa, a dla innych, może właśnie dla Józefa Marczaka, byłam ładna i interesująca.

– Ach wiem! Teraz już wszystko wiem – zawołał Henryk i począł głośno się śmiać. – Marczak upozorował własne zabójstwo, bo chciał uciec przed tobą, uwolnić się od twojej miłości.

Zuza podniosła się z krzesła. Uderzyła dłonią w biurko.

– Nie kpij. Nie szydź, bo dam ci w gębę. W miasteczku plotkują, że ty dobrze wiesz, kto zabił Marczaka, bo rozmawiałeś przecież z mordercą i opisałeś jego historię w powieści „Czarny wachlarz”. Opowiadają, że opłacono twoje milczenie w tej sprawie. Swoją osobą osłaniaś Joannę. Przyjechałeś tu po to, aby zatrzeć ślady prowadzące do zabójcy. Powiadają, że znałeś Joannę, zanim ona przybyła do miasteczka i zanim stała się spadkobierczynią Marczaka...

– Chcesz powiedzieć, że ukartowaliśmy śmierć Marczaka?

Chciało mu się śmiać. Ale jednocześnie śmiech ten krył odrobinę strachu. Czuł się tak, jak by ktoś wiązał mu na szyi pętlę sznura i zaciskał ją coraz mocniej.

– Zuza – rzekł wkładając w ton swojego głosu możliwie jak najwięcej ciepła – jesteś mądrą dziewczyną i sądzę, że nic powtarzasz plotek na serio. Gadanie o mnie i o Joannie, jako o mordercach Marczaka nie ma najmniejszego sensu. Nic wierzysz chyba, że zdolny jestem do czegoś tak okropnego?

Zuza najpierw milczała długą chwilę. Patrzyła na Henryka dziwnie badawczo. Potem pogardliwie wydeła wargi.

– Dotychczas, Henryku, traktowałeś mnie z pewną dozą wyższości. Pokpiwałeś sobie ze mnie. A teraz mówisz: „Jesteś mądrą dziewczyną”. Czemu przypisać tę nagłą przemianę? Czyż aż tak bardzo obawiasz się plotek?

Henryk bez słowa obrócił się na pięcie i wyszedł z redakcji nie powiedziawszy nawet „żegnam”.

XV.

Portier Prokopiusz poinformował Henryka, że ksiądz Garnuszek – ten sam, o którym wspominał w Łodzi numizmatyk Bernard – rzeczywiście pasjonuje się zbieraniem starych monet, mieszka zaś w domu obok dawnego klasztoru w Piotrkowie. Lecz dopiero wieczorem udało się Henrykowi odwiedzić księdza Garnuszka. Najpierw bowiem był na pogrzebie Józefa Marczaka i pani Gnom.

Na pogrzeb zeszła się chyba połowa mieszkańców miasta. Potratowano groby, poprzewracano krzyże, każdy chciał być bliżej trumien i choćby zerknąć na Joannę, którą podejrzewano o współudział w tajemniczych zabójstwach. W wyobraźni ludzkiej historia między Marczakiem i panią Gnom przybrała formy romantyczne, a ich śmierć stała się czymś w rodzaju śmierci Romea i Julii. Nikt już nie pamiętał, że Marczak był nudnym starszym panem, a pani Gnom – kłótniwą i apodyktyczną starszą panią. Nikt nie wiedział dlaczego obydwójce zostali zabici, a jednocześnie wszyscy byli przekonani, że przyczyna śmierci ukrywała się za ich romantyczną miłością. Wprawdzie nikt nie potrafiłby uzasadnić w czym tkwił romantyzm ich miłości, (mogli się byli przecież pobrać, gdyby tylko zechcieli). Istniało jednak chyba w mieście zapotrzebowanie na romantyczną historyjkę. Płakano więc nad grobem pani Gnom i Marczaka, ronili łzy młode dziewczyny i nobliwe panie. Te łzy i te tłumy mieli więc ci zmarli do zawdzięczenia tylko mordercy. Gdyby obydwójce zmarli zupełnie w innych okolicznościach, wątpliwe czy za konduktem poszłoby więcej niż dziesięć osób.

Joannie na pogrzebie towarzyszył Henryk i Cagliostro. Obydwaj też podchwytywali skierowane na nich spojrzenia pełne gniewu i podejrzliwości. Największą sensacją oczywiście budziła Joanna. Spojrzenia ludzi zdawały się mówić: „To ona, ta która odziedziczyła wszystko po Marczaku. Jak tylko przyjechała, zaraz zaczęły się morderstwa. Ma nieślubne dziecko, puszczalska”. Zapomniano, że Joanna przyjechała do Piotrkowa właśnie na skutek śmierci, rzekomej śmierci Marczaka i mieszkała tutaj prawie dwa miesiące zanim nastąpiły obydwie zbrodnie.

Joanna chyba wyczuwała i rozumiała wymowę ludzkich spojrzeń. Podczas uroczystości pogrzebowych patrzyła w ziemię, w pewnej chwili rozplakała się. Henryk domyślił się, że nie płakała z powodu śmierci wuja – Marczak był jej przecież prawie zupełnie obojętnym. Płaka-

ła przerażona wrogością ludzką. I może właśnie dlatego w pewnej chwili chwyciła Henryka za rękę i ścisnęła je kurczowo. Henryk i Cagliostro, ów groteskowy magik i czarnoksiężnik, byli chyba jedynymi życzliwymi jej ludźmi na tym pogrzebie. Lecz nawet powaga Joanny i jej łyzy zostały pojęte opacznie. Mówiono po pogrzebie: „gryzły ją wyrzuty sumienia, ciągle patrzyła w ziemię, nie śmiała podnieść oczu”.

– Wyjadę. Muszę wyjechać. Utonę w tej nienawiści – szepnęła Joanna do Henryka, gdy wychodzili z cmentarza.

Kiwnął głową i sięgnął do kieszeni po klucz.

– Jeszcze dziś musi pani opuścić Piotrków – powiedział. – To jest klucz od mojego mieszkania w Łodzi. Na razie zatrzyma się pani u mnie. Balsamo – prawie rozkazał Cagliostro – niech pan pomoże Joannie zapakować najpotrzebniejsze rzeczy i odstawi ją na dworzec kolejowy.

Cagliostro entuzjastycznie podchwycił projekt Henryka.

– Tak jest. Musi pani wyjechać i to natychmiast. Weźmiemy taksówkę, pojedziemy do pani domu, zapakujemy rzeczy i tą samą taksówką dostaniemy się na dworzec. Pociągów do Łodzi jest mnóstwo.

– A pan? – spytała Henryka.

– Ja oczywiście tutaj pozostanę. Mam do załatwienia pewne niewyrównane rachunki – powiedział, rozglądając się w tłumie opuszczającym cmentarz. Szukał wzrokiem Gałkowieckiego i Zuzy. Ale ani jej ani jego nie potrafił dostrzec. Zapewne celowo nie wchodzili mu w oczy.

Joanna i Cagliostro zrobili jak im kazał Henryk. Wsiedli do taksówki i pojechali na Bugaj. A Henryk poszedł do księdza Garnuszka.

Ksiądz Garnuszek mieszkał w lewym skrzydle klasztornej czworoboku. Wchodziło się do niego z podwórza. Najpierw była sklepiona sień prowadząca do kuchni i do gospodarczych pomieszczeń – w sieni znajdowały się schody, które wspinały się na pięterko do właściwych apartamentów. Henryk poczuł się w nich jak owad schwyty i zamknięty w przegródce przyrodniczego zbiorku. Pokoiki plebana okazały się kwadratowe i maciupęńkie, a przy tym tak schludne i czyściutkie, że przypominały lśniące pudełeczka z laki. Drzwi i framugi okien połyskiwały bielą świeżej farby, wyfroterowana podłoga jak czerwone lustro odbijała zarys postaci, na nielicznych sprzętach nie widziało się ani odrobiny kurzu.

Królestwo plebana liczyło dwie takie klateczki. W jednej stała duża zielona kasa pancerna, stół, trzy foteliki, oraz duża szafa, ukrywająca zapewne numizmatyczne zbiory. W

drugim pokoju mieścił się klęcznik i na ścianie wisiał ogromny krzyż. Było tu także staroświeckie łóżko z baldachimem.

Henryk powołał się na znajomość z Bernardem i poprosił o pokazanie zbiorów. Najpierw jednak danym mu było wysłuchać historii o tym, jak u księdza Garnuszka obudziła się pasja kolekcjonerska. Gdy był jeszcze młodym wikariuszem – prawie dwadzieścia lat temu – w kościółku wiejskim, gdzie wówczas pracował, dokonywano remontu przybudówki. Rozbierając starą podmurówkę robotnicy znaleźli naczynie, w którym leżał prawie kilogram przeważnie polskich srebrnych monet – „brakteatów” i „krzyżówek”. Młody wikariusz zainteresował się monetami, zapoznał się z lekturą dotyczącą starych pieniędzy i zaczął je kolekcjonować.

Słuchając proboszcza Henryk ze znawstwem kiwał głową, powtarzając owe dziwnie brzmiące słowa: „brakteaty”, „krzyżówki” choć nie miał o nich najmniejszego pojęcia. Ksiądz Garnuszek mówił o monetach z lubością, słowa o nich toczyły się gładko, jak monety po stole. Ksiądz Garnuszek liczył już sobie chyba sześćdziesiątkę, miał siwą głowę, różowe policzki i wiśniowe usta. Był średniej tuszy, a jego czarna sutanna budziła w Henryku należyty szacunek, jak u każdego ateusza. Wyglądem swoim przypominał Henrykowi owego tylekroć opisywanego w literaturze poczciwego „księdza-gołąbka”.

– Wprzód powiedział ksiądz Garnuszek – pokażę, panu rzecz najciekawszą. Nie będzie to moneta, kolekcjonuję bowiem także różne ciekawostki, porcelanę, szkło, stare rękopisy. To co pan za chwilę obejrzy, posiada niezwykle interesującą historię.

Ksiądz przekręcił zamek w kasie ogniotrwałej, z przegródki wyjął kosmyk jasnych włosów, związany czerwoną wstążeczką.

– Znalaziono to za obrazem w kościele – wyjaśnił. – A jeśli pan czytał powieść „Czarny wachlarz” historia tego znaleziska okaże się panu znaną.

– Czytałem – Henryk ledwo wydusił z siebie.

Twarz księdza poróżwiała radośnie:

– Och co to za romantyczne dzieje. Dotychczas sądziłem, że podobne zdarzenia bywają tylko w książkach. Tymczasem historia z książki potwierdziła się w życiu. I to w życiu naszego miasta, proszę pana.

Ksiądz trzymał kosmyk na dłoni i patrzył na niego z zadumą. Trwało to dłuższą chwilę. Ocknął się i rzekł:

– Jestem grzesznym, człowiekiem. Niekiedy za bardzo interesują mnie rzeczy świeckie. Ale gdy tak trzymam to na dłoni, nie potrafię się powstrzymać, aby nie dać upustu swej fantazji i nie wyobrazić sobie owego balu, na którym bohater w masce szeptał czule słowa pięknej

dziewczynie. Jaka szkoda, że miłość tych dwojga ludzi nie znalazła zakończenia przed ołtarzem, że tym ludziom nie danym mi było związać dłoni stułą. Ktoś inny wkradł się na miejsce człowieka w masce. I ukarany został, choć nie z wyroku boskiego.

– Ksiądz znał Marczaka?

– Powierzchnownie. Przed rokiem przyszedł do mnie i zaproponował kupno dwóch starych monet. Były to bardzo ciekawe okazy, po prostu unikaty. Chciał za nie dziesięć tysięcy złotych. Tyle pieniędzy nie miałem i wątpię, żeby za taką sumę kupił je jakiś zbieracz. Poradziłem mu, aby się zwrócił do mego znajomego numizmatyka w Łodzi. Wiem, że ten numizmatyk potem tu przyjeżdżał.

– Skąd miał tak cenne monety? — zapytał Henryk, ledwo hamując ciekawość. Oto z mroku zalegającego sprawę Marczaka poczęło wybliskiwać jakieś światelko.

– Mówił, że znalazł kopiąc grządki w swoim ogrodzie.

– Czy pamięta ksiądz te monety?

– Oczywiście. To były unikaty. Ale i ja też posiadam bardzo rzadki okaz.

I zacny ksiądz zawiódł Henryka do dużej szafy. Począł wysuwać cieniutkie szufladki, gdzie w malutkich przegródkach leżały rzędy starych monet. Chyba ze trzy godziny pokazywał mu swoje zbiory, roztrząsając wartość każdego okazu.

Nic z tych opowiadań księdza Garnuszka nie przeniknęło do świadomości Henryka. Myślał o jednym: jakie monety przyniósł Marczak.

Gospodyni proboszcza – chuda, ubrana w czerń wiedźma z haczykowatym nosem – podała kawę i kruche ciasteczka. Henryk zdecydował powrócić do sprawy Marczakowych monet.

– To były rzeczywiście unikaty?

– Nie uwierzy pan. Ale co do jednej z tych monet nabrałem wrażenia, że był to... Niech pan się mocno trzyma krzesła – ostrzegł żartobliwie. – Otóż podejrzewani, że był to ni mniej, ni więcej tylko... dukat Łokietka.

– Fenomenalne! – krzyknął Henryk. Bo tak chyba należało uczynić.

– Doradziłem mu, żeby się zwrócił do profesora WR w Łodzi. To znakomity rzeczoznawca. Co zaś do drugiej monety, z którą przyszedł do mnie Marczak, jestem pewien, że pokazał mi brakteat „pokutniczy”. Czytałem o tym brakteacie w „Wiadomościach numizmatycznych”. Tam jest nawet fotografia okazu. Stąd też i moja pewność, że miałem do czynienia z identyczną monetą. Bardzo chciałem mieć brakteat „pokutniczy”. Jest na nim przedstawiony święty Wojciech, a ponieważ z brakteatem tym wiąże się sprawa pokuty Krzywoustego i kł-

twy, jaką rzucił na niego arcybiskup Marcin, uważałem – grzechem jest, aby ów pieniążek znajdował się w rękach świeckich, a nie kościelnych. Lecz Marczak tak się drożył...

– Niewiele pamiętam z historii – przyznał się Henryk.

Pleban znowu poróżwiał radośnie.

– Może zostanie pan u mnie na kolacji?

– Niestety, muszę już iść – rzekł Henryk.

Ksiądz odprowadził Henryka aż na podwórze. Z podwórza wyszli furtką na ulicę.

Ksiądz mówił o brakteacie.

– Jedni są zdania, że brakteat Krzywoustego związany jest z pokutą, jaką ksiązę Bolesław odbył po wydaniu rozkazu oślepienia swego brata, Zbigniewa. Ale gdy się czyta, Galla Anonima cała ta historia z odosobnieniem Bolesława, przywdzianiem stroju pokutnego, słuchania mszy świętej za umarłych – wszystko to zdaje się świadczyć, że arcybiskup gnieźnieński, Marcin, rzucił na Bolesława klątwę. Na szczęście z Bolesławem Krzywoustym nie skończyło się tak jak z Bolesławem Śmiałym. Odbył pielgrzymkę do klasztoru świętego Idziego na Węgrzech i skończył ją u grobu świętego Wojciecha w katedrze gnieźnieńskiej. Na tę cześć wybił brakteaty, na którym znalazła się postać świętego Wojciecha błogosławiącego klęczącego księcia Bolesława. Ale brakteat, który mi przyniósł Marczak, różnił się od tamtych pewnym zasadniczym szczegółem. Przedstawiono na nim tylko świętego Wojciecha w postawie stojącej, bez aureoli, in pontificalibus, z pastorałem w prawej ręce, a z księgą Ewangelii w lewej ręce. Podobny okaz znajduje się tylko w Gabinecie Monet i Modeli Muzeum Narodowego w Warszawie. Dlatego tak bardzo chciałem go posiadać. Lecz Marczak strasznie się drożył...

Żegnając Henryka ksiądz westchnął.

– Kupiłem od Marczaaka denar Chrobrego z napisem słowiańskim. Ale tamtego brakteata bardzo mi żal. Bardzo – jeszcze raz westchnął.

– Dlaczego mi ksiądz nie pokazał tamtej monety?

Popatrzył na Henryka ze zdziwieniem.

– Pół godziny nad nią się rozwodziłem...

– No tak. Ale nie powiedział ksiądz, że ona jest od Marczaaka.

– Nie wiedziałem, że to takie ważne.

Ksiądz pokiwał głową, jakby przyznając się do wielkiego grzechu.

– To było bardzo ważne. Niezwykle ważne – rzekł z powagą Henryk. I pożegnał księdza Garnuszka.

Teraz Henryk był już prawie pewien, że nie przypadkowo w biurku Marczała znalazła się drogocenna moneta z napisem „Gnezdun civitas”. Marczał posiadał jeszcze dwa cenne okazy monet – pokazał je księdzu, jedną nawet mu sprzedał. Wiedział on o ich wartości, „drożył się” – jak mówił ksiądz Garnuszek. Kto wie, czy nie znajdowały się u Marczała jeszcze inne monety, jakiś skarb prze niego znaleziony lub kupiony?

XVI.

Nazajutrz rano, gdy Henryk jeszcze leżał w hotelowym łóżku, odwiedził go Cagliostro. Zaczął od wyjaśnień:

– Wczoraj nie zdołałem ci złożyć meldunku, ponieważ zawieruszyłem się z Zużą. Popiłem troszkę, rozumiesz? Ale przed tym, zrobiłem jak mi kazałeś. Joannę i jej córkę odtransportowałem na dworzec i wsadziłem je do pociągu.

Zauważył leżący na stoliku nocnym denar „Gnezdun civitas”.

– A co to takiego? Co to za znaczek?

– Stara moneta. Denar. Znalazłem go w biurku Józefa Marczała – wyznał szczerze Henryk. Po rozmowie z księdzem Garnuszkim uznał, że nie ma potrzeby dalej zachowywać tajemnicy odnalezionego denara. Może ktoś jeszcze w Piotrkowie mógłby coś powiedzieć o starych monetach, które posiadał Marczał?

– Sądzisz, że to ma jakieś znaczenie dla tej makabrycznej historii?

– Nie mam pojęcia – rzekł Henryk.

– Ile to może być warte? – zastanawiał się Cagliostro podrzucając do góry monetę i łapiąc ją w locie.

– W Łodzi dawano mi już za tego denara dwa tysiące złotych. Przypuszczam, że jakiś zamożny zbieracz zapłaciłby i dwa razy tyle. Unikatem, rozumiesz? Ta moneta jest unikatem, czyli czymś prawie wcale nie spotykanym.

I Henryk odebrał Cagliostrze srebrnego denara. Włożył pieniążek do pustego pudełeczka po „Grunwaldach”, a pudełko schował do kieszeni marynarki wiszącej na krzeselku. Podniósł się z łóżka, stanął przed popękany lustrem i zabrał się do golenia.

– O Boże, jak mnie głowa boli po pijaństwie – jęczał Cagliostro. – Nie pozostaje mi nic innego jak napić się piwa. Czuję się tak fatalnie, że z rozkoszą w łeb bym sobie palnął.

Poszedł. A w pół godziny później, Henryk wędrując do baru mlecznego na śniadanie, spotkał Cagliostre przy kiosku z piwem. Czarnoksiężnik raczył się już chyba którąś z kolei butelką „krzepkiego”, bo robił wrażenie podchmielonego. Obok Cagliostra stała Zuza.

– Przyjacielu. Najdroższy przyjacielu – zawołał radośnie czarnoksiężnik i rzucił się w stronę Henryka. Objął go ramieniem i zaciągnął do kiosku. – Zobaczysz, uwolnimy miasto od „węża morskiego”. Ty i ja. Ja i ty. Razem.

Henryk spojrzał wrogo na Zuzę:

– Najpierw – rzekł – uwolnij się od tej pani.

– Od Zuzy? Nie lubisz jej?

– Nie cierpię. Ta dziewczyna zdolna jest do wszystkiej – powiedział głośno Henryk. Chciał, aby go Zuza słyszała.

– O nie, nie przesadzaj, nie do wszystkiego...

– Do czego nie jestem zdolna? – z niepokojem zapytała Zuza.

– Nie potrafisz pisać wzniosłe – stwierdził Cagliostro.

– O tak, nie jestem autorką „Czarnego wachlarza”.

– Kopiesz leżącego? Znowu jesteś nieuczciwa – zauważył Henryk.

Cagliostro objął Henryka.

– Przyjacielu, daruj jej. Ona jest głupia. Nie ożenię się z nią, bo jest głupia. Kocham Joannę, siostrzenicę Marczaka.

– I dlatego wczoraj... wczoraj wieczorem – krzyknęła histerycznie Zuza – wczoraj wieczorem zaciągnąłeś mnie...

Cagliostro położył dłoń na ustach Zuzy.

– Ciszej, ptaszyno. Nie mów nic złego o Joannie.

Henryk wzruszył ramionami i uwolnił się od towarzystwa Cagliostra i Zuzy. Zjadłszy śniadanie pomaszzerował do księdza Garnuszka.

– Przyszedłem, aby jeszcze raz zerknąć na denar Chrobrego – wyjaśnił Henryk. – Nie mogłem w nocy zasnąć myśląc o denarze. Piękny, wspaniały okaz!

– A tak, tak, to zrozumiałe – ucieszył się ksiądz Garnuszek. – Dziwiłbym się nawet, gdyby pan mógł zasnąć obejrzawszy go tylko jeden raz. Od razu odgadłem, że pan potrafi ocenić skarb jaki posiadam.

Poszedł do drugiego pokoju i przyniósł tekturowe pudełeczko z denarem. Wiedźmowata gosposia podała kawę i te same co wówczas ciasteczka.

– Pan wspomniał o denarze Chrobrego z napisem łacińskim „Gnezdun civitas” – mówił ksiądz Garnuszek. – Mój denar ma napis cyrylicą, proszę pana. Cyrylicą – powtarzał i groźnie kiwał palcem w stronę Henryka. – Dotąd znane są tylko dwa rodzaje podobnego denara. Jeden ma większą średnicę i waży 1,20 grama, monarcha przedstawiony jest na nim bez brody, a na odwrocie znajduje się grecki krzyż, patriarchalny. Drugi rodzaj denarka jest mniejszy i

waży 0,89 grama, Bolesław posiada brodę, a na odwrocie widać jeszcze jeden mniejszy krzyż, poprzeczny. Ten to właśnie denarek należy do dużych rzadkości numizmatycznych. Kupiłem go od Marczaka...

Henryk w myślach jeszcze raz dokonał wyliczenia: „Marczak posiadał na pewno denarek z napisem „Gnezdun civitas”, denar Chrobrego z napisem cyrylicą, brakteat „pokutniczy” Krzywoustego, i być może złoty dukat Łokietka. Czy na tym kończyły się już jego numizmatyczne skarby?”

Ksiądz rozwodził się nad doskonałością swego denara:

– Niech pan zwróci uwagę. Chrobry jest na koniu, z odkrytą głową, w bogatym szlaku z kłamrą na piersiach. A koło głowy wyraz: BOL-ESŁ-AW. Ten sam wyraz cyrylicą widnieje i po drugiej stronie okalając krzyż. Niektórzy uczeni skłonni byli sądzić, że dotyczy to czeskiego Bolesława II (967–998), który jak to wnoszą z przywileju praskiego miał ponoć panować nad Małopolską i Grodami Czerwieńskimi. Oczywiście hipoteza ta musiała upaść, gdy okazało się, że przywilej praski był sfałszowany, a poza tym w Czechach nigdy nie odnaleziono podobnego denara. Zupełnie bzdurna była także hipoteza, że owa moneta należy do Bolesława Trojdenowicza, ostatniego księcia halickiego, panującego w połowie szesnastego wieku. Odnaleziono ją bowiem w skarbcach nie z szesnastego wieku lecz z jedenastego wieku i to z pierwszej jego połowy. Tak więc w grę wchodzić może jedynie Bolesław Chrobry. Tylko skądże u niego ten napis słowiański? Czy oznacza to, że w Polsce istniał i obrządek słowiański? Temu faktowi przeczy wielu uczonych...

Henryk zastanawiał się: „Wprost nieprawdopodobne jest, aby Marczak posiadał skarb monet i nikomu o tym nie powiedział. A jednak zgłosił się do księdza Garnuszka i zaproponował mu sprzedaż trzech monet”.

Ksiądz uderzeniem dłoni w stół rozstrzygnął spór uczonych:

– Jestem księdzem katolickim, lecz moim zdaniem, był w Polsce obrządek słowiański. Wskazuje na to ustęp z legendy pannońskiej o nawróceniu księcia z ziemi Wiślan przez świętego Metodego. A zatem wprowadzono obrządek słowiański do Małopolski w końcu dziewiątego wieku. Znany jest także fakt wygnania metodiaków z Moraw po śmierci Metodego i rozproszenie się ich po krajach słowiańskich. Oni mogli do Polski przynieść swój obrządek. Dlatego moim zdaniem, prawdopodobne jest, że denar Chrobrego i jego słowiański napis wiążą się z zagadnieniem odprawiania słowiańskiego obrządku i na naszych ziemiach. A pan jakiego jest poglądu?

Henryk pytał:

– Za ile Marczak sprzedał księdzu denar z napisem cyrylicą?

Ksiądz zamrugnął powiekami.

– Za ile? Za trzy tysiące. I jakby mi wielką łaskę wyrządził...

– Marczak znał się na starych monetach?

– On? Nie, nie znał się zupełnie. Najpierw przyniósł dwa okazy, brakteat „pokutniczy” i dukat Łokietka. Nie zamierzałem go oszukiwać. Nie chciałem brać grzechu na swoje sumienie. Powiedziałem szczerze, że to wartościowe okazy. Chciałem kupić ale natychmiast podwoił cenę. Żądał dziesięć tysięcy złotych. Więc nie kupiłem, bo nie stać mnie na takie wydatki. Skierowałem go do znajomego numizmatyka w Łodzi. Na tydzień przed śmiercią Marczak przyniósł denar z napisem słowiańskim. Rzekłem: dam dwa tysiące złotych. Zgodził się na trzy, choć krzywił się przy tym i stękał.

– Ksiądz nie powiadomił milicji o tym zdarzeniu?

Złożył ręce jak do modlitwy:

– A czy to mogło mieć coś wspólnego z morderstwem? Przecież go chyba nie zabili dla trzech tysięcy złotych?

– No tak. Zapewne – przytaknął Henryk. Zadał księdzu jeszcze jedno pytanie:

– Gdzie mieszka numizmatyk, do którego ksiądz skierował Marczaka.

– Pan WR mieszka w Łodzi – tu wymienił dokładnie ulicę, numer domu i mieszkania. – Wiem, że potem przyjeżdżał specjalnie do Piotrkowa, żeby porozumieć się z Marczakiem.

XVII.

Obiad jadł Henryk w restauracji „Europa”. Tego dnia czuć tu było smażoną cebulą. Ten odrażający zapach wypełniał całą salę jadalną. Kelnerki kłóciły się ze sobą, co spowodowało, że podawały do stołu jak „z łaski”. Wychodząc z restauracji spostrzegł Henryk Szpakowatego. Kończył obiad i skinął na Henryka, aby ten zatrzymał się na chwilę. Szybko uregulował rachunek i razem wydostali się z nieprzyjemnej strefy cebulowego zapachu.

– Czy to prawda, że zdecydował się pan wyjechać do Łodzi? – zapytał Szpakowaty.

– Kto panu o tym powiedział? Nikomu przecież nie zwierzałem się ze swoich myśli. Czyżby pan był wszechwiedzący?

– Portier Prokopiusz powiadomił mnie, że poprosił pana o przygotowanie rachunku.

– Donosiciel – mruknął Henryk.

– Niech pan nie będzie taki przewrażliwiony. Zauważyłem że przygotowuje rachunek. Zapytałem, dla kogo i powiedział mi. To wszystko.

– Tak – skinął głową Henryk – mam zamiar powrócić do Łodzi. Tam a nie tutaj mieszka morderca Marczaka i pani Gnom.

– Pani Joanna jest także w Łodzi...

– Chyba pan nie przypuszcza, że ja mam na myśli Joannę.

– O nie, tak tylko powiedziałem.

Znaleźli się w parku naprzeciw gmachu Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Usiedli na ławeczce.

– Czy pan jest wierzący? – nieoczekiwanie zapytał Szpakowaty.

– Nie...

– To dziwne.

– Co w tym dziwnego?

– Bo już dwukrotnie złożył pan wizytę księdzu Garnuszkowi – stwierdził Szpakowaty.

– Oburzające! Czy pan zajmuje się śledzeniem mojej osoby czy też śledzeniem zabójcy?

– Ba – westchnął Szpakowaty. – Gdybym wiedział kto jest zabójcą...

– Tak. Byłem dwukrotnie u księdza Garnuszka. I co z tego?

– Nic... – odpowiedział smutnie Szpakowaty.

Jakiś czas siedzieli w milczeniu. Wreszcie odezwał się Henryk:

– Historia, w którą zostaliśmy wciągnięci, pan z powodu swej pracy w milicji, a ja poprzez swój „Czarny wachlarz”, już dawno przestała mnie śmieszyć, a zaczęła oburzać. Ten purnonsens zdarzeń i podejrzeń, wymyślony bohater ożył i zamordował dwie osoby, irytuje mnie do tego stopnia, że mam ochotę kogoś zamordować. W Piotrkowie ktoś kpi sobie z nas bardzo potężnie.

– Pan także zakpił sobie z miasta, sugerując wszystkim, że akcja „Czarnego wachlarza” działa się w rzeczywistości i to w Piotrkowie. Nie miałbym nikomu za złe, gdyby odplacił się panu tą samą monetą. Niestety, sprawa wygląda poważnie. Zamordowano dwie osoby. Dlatego ów „kawalarz” odpowie w końcu przed sądem.

– Przecież nie ma pan pojęcia kto jest zabójcą? Podejrzewa pan tylko mnie. Śledzicie mnie...

– Nie śledzimy, tylko obserwujemy, a to zasadnicza różnica. Będę szczery i wyznam panu, że nigdy nie podejrzewaliśmy pana o współudział w zabójstwie. Ale z chwilą, gdy zjawił się pan w Piotrkowie, pomyślałem, że można wykorzystać pana dla naszych celów. Wydało mi się bardzo korzystne, że zajął się pan śledztwem na własną rękę. Zachęcałem pana zresztą do tego udając, że jestem głupi i ślepy. Doszedł pan do wniosku, że tylko pan zdoła wyjaśnić zagadkę śmierci Marcza, myślę o tej śmierci fikcyjnej, upozorowanej. Moje rozumowanie było następujące: dziennikarz Henryk przekonany o głupocie i ignorancji milicji przyjedzie do Piotrkowa i zacznie prywatne śledztwo. Któremu z dziennikarzy nie marzy się

rola detektywa-amatora? Przypuszczałem, słusznie zresztą, że pańskie śledztwo prowadzone będzie nieumiejętnie, wszyscy od razu domyślą się po co pan tu przyjechał. Zacznie pan deptać ludziom po piętach, bezczelnie wtykać nos w cudze sprawy. Ten zaś, który wykorzystał pański „Czarny wachlarz” i jak się to mówi, starał się „wrobić” pana w historię z fikcyjnym morderstwem Marcza, spróbuje oczywiście rzucić na pana coraz nowe podejrzenia. Innymi słowy: pańskiej akcji w miasteczku odpowie reakcja ze strony tajemniczego „węża morskiego”, że użyję pańskiego wyrażenka. A skoro ów „wąż morski” wznowi swoją działalność, łatwiej go będzie zdemaskować.

– Wznowił działalność. Zamordował dwie osoby. Czy i to pan przewidział?

– Nie. Niestety, to mnie zaskoczyło. A co najgorsze, wznowiona działalność „węża morskiego” ani na krok nie przybliżyła mnie do rozwikłania zagadki. Przyznaję szczerze, nie wiem dlaczego upozorowano śmierć Marcza i czemu on ukrywał się u pani Gnom.

– A więc jednak u niej się ukrywał?

– W mieszkaniu zamordowanej pani Gnom odnaleźliśmy wszystkie rzeczy, które rzekomo zostały zrabowane z mieszkania Marcza w dniu czternastego stycznia. Przyznaję, że popełniłem kilka błędów. Przede wszystkim należało natychmiast wziąć na spytki panią Gnom, gdy wtedy w drodze powiedziała nam, że rozpoznała zwłoki Marcza. Byłem ciekawy jak daleko posunie się w swym kłamstwie i dlatego zakazałem rozgłaszać wiadomość o rzeczywistej śmierci Marcza. Kto mógł przypuszczać, że jeszcze tej samej nocy zostanie zabita? Urwał się jedyny ślad jaki mógł nas zaprowadzić do mordercy.

– No, nie jedyny – rzekł skromnie Henryk. – Ja znalazłem jeszcze jeden – to mówiąc klepnął się po kieszeni, w której leżał srebrny denar „Gnezdun civitas”.

– Proszę pana – oświadczył poważnie Szpakowaty. – Jeśli natrafił pan na coś rzeczywiście interesującego, obowiązkiem pana, czyż muszę o tym przypominać, jest poinformować milicję.

– To panu płacą za schwytywanie zabójcy. Mnie zaś za informowanie czytelników gazety. Postaram się poinformować ich kto zabił panią Gnom i Marcza.

Szpakowaty złapał Henryka za rękę.

– Niech się pan nie wygłupia. Narobi pan takiego bigosu, że potem cały pluton kryminalistów nie zdoła go połknąć. Postać detektywa-amatora rozwiązującego bezbłędnie wszelkie zagadki kryminalne, to dobre do powieści sensacyjnych. Tak samo jak postać oficera śledczego, chwytającego nieomylnie zbrodniarza. My, detektywi z profesji, bylibyśmy niczym, gdyby nie cały ogromny i skomplikowany aparat milicyjny, który pozostaje do naszej dyspozycji. To, na co detektyw z powieści musiałby stracić tygodnie zmudnych dociekań

uzyskujemy w ciągu kilku godzin dzięki pracy tego właśnie aparatu. Niech pan o tym pamięta. I nich pan to rozważy...

Henryk zastanowił się chwilę.

– Dobrze. Powiem panu wszystko – rzekł i sięgnął ręką do kieszeni marynarki.

Ale nie znalazł w niej pudełka po „Grunwaldach”. Szybko wepchnął dłoń do drugiej kieszeni. Nie, nie miał pudełeczka ze srebrnym denarem.

– Milicja! – krzyknął – okradziono mnie!

Ponownie przeszukał swoje kieszenie.

– Milicja! – krzyknął. – Milicja!

Szpakowaty nakrył mu dłonią usta.

– Na litość boską niech pan nie wrzeszczy. Jesteśmy na ulicy. Przecież ja także jestem z milicji.

– Pan? Tak, rzeczywiście – westchnął z ulgą Henryk.

Nieświadomie zakpił sobie ze Szpakowatego. Ale ten tylko zacisnął usta i trochę poczerwieniał.

– Proszę powiedzieć o co chodzi. Co panu ukradziono?

– Denar. W kieszeni marynarki w pudełku po „Grunwaldach” miałem denar Marczaka.

– Czyj denar?

– Srebrny denar Chrobrego.

– Chrobrego czy Marczaka? – rozzłościł się Szpakowaty.

– Srebrny denar Chrobrego, ale znaleziony przeze mnie w biurku Marczaka. Uniknął, rzecz dużej wartości.

– Kto wiedział, że posiada pan ten denar?

– Widział go u mnie Cagliostro. Tak. Cagliostro – zawołał Henryk. – To on ukradł mi denara. Oglądał go u mnie dziś rano. Widział, że schowałem go do pudełka po „Grunwaldach” a pudełko włożyłem do kieszeni marynarki. Potem przy kiosku z piwem obejmował mnie w pijackim rozczuleniu. I wtedy, właśnie wtedy, zapewne wykradł mi go z kieszeni. Przecież sam pan mówił, że to kieszonkowiec.

Pośpiesznie ruszyli w kierunku hotelu. Po drodze Henryk opowiedział o swej rozmowie z księdzem Garnuszkiem i o dziwnym fakcie posiadania przez Marczaka kilku niezwykle cennych i rzadkich starych monet.

– Czy jakieś stare monety odnaleźliście wśród jego rzeczy u pani Gnom? – spytał Szpakowatego.

– Nie. Nic takiego nie było.

Portier Prokopiusz wskazał im klucz wiszący na gwoździu w recepcji.

– Pana Cagliostro nie ma w jego pokoju. Wyszedł przed południem i jeszcze do tej pory nie wrócił.

Henryk chwycił Szpakowatego za ramię i wyprowadził go na ulicę.

– Chodźmy do redakcji, do Zuzy. Widziałem go z Zużą, przed kioskiem. Ona będzie wiedziała, gdzie jest Cagliostro.

Zuza jednak także nie umiała im udzielić żadnych informacji o Cagliostrze.

– Pożegnał się ze mną przy kiosku. Ja musiałam iść do redakcji, a on powiedział, że pójdzie załatwić pewną drobną sprawę i wróci do hotelu. Był senny i zmęczony...

– Zuzo – rzekł Henryk. – Sytuacja wygląda bardzo poważnie. Wtedy przy kiosku Cagliostro okradł mnie.

– A co mnie to obchodzi? – wzruszyła ramionami Zuza.

– Przy kiosku powiedziałaś „Wczoraj wieczorem zaciągnąłeś mnie...” – a on zakrył ci usta i rzekł „Nie mów nie złego o Joannie”. Zuza, gdzie on cię wczoraj zaciągnął? Cagliostro podejrzany jest o zabójstwo Marcza i pani Gnom.

Zuza rozbeczała się. Łzy rozmazały malunek na jej twarzy, wyglądała jak brudna, z ciemnymi smugami na policzkach.

– Mój Boże – mówiła płacząc – dlaczego tak się dzieje, że ilekroć jakiś mężczyzna zaczyna mi robić nadzieję na małżeństwo, zawsze coś się z nim stanie.

– Czy stało się coś z Cagliostrem? — zaniepokoił się Szpakowaty.

– Marcza zabito – płakała. – A teraz ten Cagliostro. Zapewne pójdzie do więzienia.

Szpakowaty bardzo się zdenerwował.

– Do diabła, niechże pani odpowiada na nasze pytania. Gdzie on panią wczoraj zaciągnął?

Przestała płakać. Wyjęła z torebki chusteczkę, zatępiła w nią wycierając nos.

– Powiem wam. Wszystko wam powiem – zdecydowała się. – Wczoraj wieczorem zaciągnął mnie do domu Marcza.

– A skąd miał klucz?

– Nie wiem. Pewnie przed wyjazdem dała mu go Joanna. Byłam już trochę pod gazem, a on...

– No, mówże – złościł się Henryk.

– Zaproponował mi... Nie, nie powiem. Wstydzę się.

– Mówże – Henryk groził jej zaciśniętą pięścią. – Przecież ja cię dobrze znam. Mogę za ciebie dokończyć. Zaproponował ci łóżko, tak?

– Tak... – i znowu się rozbeczała.
– A dlaczego w domu Marcza? Przecież macie łóżka w hotelu?
– On powiedział mi, że wpierw musi sprawdzić czy Joanna nie pozostawiła włączonej maszynki elektrycznej.

– Niech mnie pan trzyma, bo ją zabiję – wściekał się Henryk.

Szpakowaty odsunął Henryka od Zuzy i począł do niej przemawiać niemal czule.

– Czy nie byłaby pani tak łaskawa i wyjaśniła, co naprawdę robił Cagliostro w mieszkaniu Marcza?

– Zaprowadził mnie tam, spoił wódką...

– Nie musisz kończyć, Zuzo – rzekł Henryk.

– A właśnie niech pani skończy. Co było dalej? – pytał Szpakowaty.

– Nic. Rano obudził mnie. Był zły, rozdrażniony. Wyszliśmy. A potem spotkaliśmy się przy kiosku z piwem. Nic między nami nie było. Przysięgam. Nie wiem, po co on mnie tam zaprowadził.

Szpakowaty podrapał się w głowę.

– Czy nie przychodzi pani na myśl – rzekł – że on szukał czegoś w mieszkaniu Marcza? To znaczy, że przyszedł tam z panią, aby czegoś szukać?

– Nie. Przecież, gdyby chciał szukać, to przyszedłby sam, a nie ze mną. Ja bym mu przeszkadzała.

– Przecież mu pani nie przeszkadzała. Spoił panią i pani zasnęła, czy tak?

– Tak.

– No właśnie. A gdyby przebywał w domu Marcza zupełnie sam, i wtedy ktoś go tam nakrył, na przykład milicja, czymże wytłumaczyłby swoją wizytę? W pani towarzystwie łatwiej mu było rewidować mieszkanie – stwierdził Szpakowaty.

Zostawili płaczącą Zuzę i wyszli na ulicę.

– Sądziłem, że dom Marcza jest pod obserwacją – rzekł Henryk.

– Był. Dopóki mieszkała w nim Joanna. Gdy wyjechała kazałem wycofać obserwatorów. Tam nie bardzo jest gdzie się schować, trudno wymagać, żeby ludzie leżeli w krzakach i nabawili się reumatyzmu. A nie można także ciągle bawić się w maskaradę, remontować słupy telegraficzne i tak dalej.

Pożegnali się przed redakcją. Szpakowaty pobiegł do Komendy Powiatowej MO, żeby zmobilizować milicjantów do poszukiwania Cagliostri, a Henryk powędrował wolno ulicą. Nie bardzo wiedział co z sobą począć, dokąd się udać. Wraz z wyjazdem Joanny jego pobyt w Piotrkowie wydawał mu się już bezużyteczny i nawet myślał, że lada chwila może zdemasko-

wany zostanie „wąż morski”, który połknął już dwie ofiary – nawet ta myśl nie sprawiała mu już satysfakcji, ponieważ wiązała się z koniecznością pozostania w Piotrkowie. To prawda, że mógł stąd wyjechać kiedy chciał, nawet w tej chwili, ale jednocześnie czy to nie on, Henryk, pierwszy trafił na ślad mordercy i czy za to nie należała mu się choćby ta nagroda, żeby uczestniczył w aresztowaniu zbrodniarza? A to przecież wiązało się z koniecznością pozostania w Piotrkowie. Przynajmniej czas jakiś, dopóki nie odnajdą Cagliostro.

„A jeśli to nie Cagliostro? – zastanawiał się Henryk. – Przecież fakt, że Cagliostro ukradł Henrykowi srebrny pieniążek jeszcze nie demaskował go jako zabójcy. Bo przecież mogło być i tak, że Cagliostro po prostu ukradł denara ponieważ Henryk poinformował go, że za ich pieniążek dają dwa tysiące złotych. Może Cagliostrze brakowało pieniędzy i zaryzykował tę kradzież tylko po to, aby uzyskać tę sumę?”.

A srebrny denar „Gnezdun civitas” i te monety, które pokazywał Marczak księdzu Garnuszkowi? Czy rzeczywiście miało to jakiś związek z późniejszymi zabójstwami? Przecież mogło być i tak, że Marczak znalazł gdzieś kilka starych monet lub dostał je od kogoś, a zabił go zupełnie z innego powodu? Bo czyż zabija się dla kilku starych monet nawet cennych? Wprawdzie słusznie chyba powiedział fryzjer Kolasa – rozważał Henryk – że bywają zabójstwa nawet dla trzystu złotych, nawet dla zdobycia zegarka, ale zarówno śmierć Marcza jak i pani Gnom i to poprzednie upozorowane zabójstwo Marcza, wszystko to zbyt było misterne, zbyt zorganizowane, aby nie wskazywało, że chodzi o coś niezwykle cennego lub bardzo ważnego, o coś takiego, dla którego człowiek zdolny jest zabijać, tak długo zabijać aż osiągnie to coś lub zdoła je przy sobie zatrzymać.

Zdarzenia, których widownią stał się Piotrków, zdawały się być pozbawione logiki i to właśnie utrudniało śledztwo. Najpierw zdarzyło się fikcyjne zabójstwo Marcza. Potem został on zabity naprawdę – jaki logiczny związek łączył te dwa zdarzenia? Dlaczego także zabita została pani Gnom, u której ukrywał się Marczak, gdy upozorowano jego zabójstwo? A wszystko to cóż miało wspólnego ze srebrnym denarem z monetami, o których mówił ksiądz Garnuszek?

Zapewne zdarzenia te miały – ba, musiały mieć – jakiś ukryty wewnętrzny związek logiczny. Był on jednak dla Henryka zupełnie niewidoczny i chwilami gotów był uwierzyć w istnienie „węża morskiego”, którego powołał do życia swoją powieścią „Czarny wachlarz”.

„Może to rzeczywiście czyjaś zemsta? – rozmyślał Henryk. – W obawie przed zemstą Marczak upozorował własną śmierć, mniemając, że podejrzenia o zabójstwo skierują się ku temu, który chciał się na nim zemścić?”.

Lecz czemu skierował te podejrzania nie na realnie istniejącą osobę, lecz na wymyślnego bohatera powieści „Czarny wachlarz”?

Henryk gubił się w domysłach i im bardziej zastanawiał się nad sprawą podwójnego zabójstwa, tym mniej rozumiał cokolwiek z tego co zdarzyło się w Piotrkowie. Zdarzenia zdawały się być pozbawione sensu, przeczyły sobie, narzucały myśl, że twórcą ich był jakiś obłąkaniec.

Henryk zatrzymał się przed wejściem do kawiarni „Mozaika”. Przez moment pomyślał, że może lepiej będzie jeśli pójdzie do hotelu i spróbuje zasnąć. Wtedy być może choć na krótko uwolni się od myśli o „wężu morskim”. Wszedł jednak do kawiarni, zasiadł przy dużym oknie. Spoglądał na przejeżdżające wozy chłopskie, samochody ciężarowe, przechodniów. Myślał: „Gdyby choć pojąć rzeczywistą przyczynę jednego z tych zdarzeń. Gdyby choć pojąć jedno ogniwo tej sprawy? Gdyby choć wiedzieć dlaczego zdarzyła się fikcyjna śmierć? Albo czemu Marczak znalazł się potem koło swego domu i został zabity? Albo gdyby choć wiedzieć dlaczego zabito panią Gnom, dlaczego włamano się do mieszkania Marczaka?”.

Zapadł zmierzch. Kawiarnia zapełniła się, stoliki obsiadła młodzież – dziewczęta i chłopcy. Dziewczęta nosiły krótkie sukienki, siedząc odsłaniały kolana w czarnych pończoszках. Piotrków słynął kiedyś z ładnych dziewcząt, lecz te które widział tu Henryk, nie wydawały mu się ładne. Prawdę mówiąc nigdy nie przepadał za młodymi dziewczętami, nie znosił ich egzaltowanego zachowania się i krzykliwości. Wolał kobiety dojrzałe.

Do kawiarni wszedł Gałkowiecki. Rozejrzał się po sali, dostrzegł Henryka i spróbował czmychnąć. Ale Henryk kiwnął na niego ręką i Gałkowiecki, rad nie rad, niechętnie przystąpił do stolika.

– To nie moja wina. To Zuza. Wszystko Zuza – tłumaczył się podając Henrykowi rękę.

– Siadaj pan – rzekł łaskawie Henryk. – Nie mam do pana żadnych pretensji. Nie ma rady na ludzką głupotę.

Gałkowiecki poprosił kelnerkę o cztery ciastka, zjadł je chciwie jakby od trzech dni nie miał nic w ustach. Potem rozejrzał się po odkrytych kolanach dziewcząt.

– Może byśmy tak pojechali do Przygłowa? Można by coś zabrać z tego tu towarzystwa? – zaproponował.

– A można – przytaknął Henryk.

– Do jedenastej oblatwilibyśmy się, bo one muszą być o jedenastej w domu. Po co dziewczyny mają mieć awanturę od matek, no nie?

– A pewnie – zgodził się Henryk.

– Bo jak im się powie, że o jedenastej będą w domu, to nie ma z nimi trudności. Chętnie jadą, pan rozumie?

– Rozumiem.

– A więc ja tak myślę, że moglibyśmy pojechać. Do jedenastej w nocy. – Zaznaczył.

– Rozumiem.

– A jeśli pan, redaktorze, nie chce płacić za taksówką to ja wybulę te sto dwadzieścia złotych.

– A pewnie. Na „Czarnym wachlarzu” znowu pan forszę zbija.

– Nie ma się o co gniewać. Przecież ja tylko popularyzuję pańską powieść.

– A pewnie – z ironią przytaknął Henryk.

Posiedzieli chwilę w milczeniu. Wreszcie znowu zaczął Gałkowiecki:

– Do jedenastej w nocy moglibyśmy pobyć w Przygłowie, Na świeżym powietrzu. Wiosna się zrobiła, proszę pana. Ludzie w polu orzą, wiem, bo byłem dziś rano na wsi.

– Aha – mruknął Henryk.

– Cagliostro to już przed dwoma godzinami pojechał taksówką do Przygłowa.

– Co? – ocknął się Henryk.

– Spotkałem go, gdy wsiadał do taksówki. Spytałem: „Na zieloną trawkę”. A on odpowiedział: „Jadę się przewietrzyć do Przygłowa”. Pewnie się tam umówił z jakąś dziewczyną. Zuzę kantem puścił, świnia.

Henryk zerwał się od stolika. Podbiegł do kelnerki, zapłacił za kawę. – Nie udzieliwszy Gałkowieckiemu żadnego wyjaśnienia, wybiegł z kawiarni.

Do Komendy Powiatowej, było stąd daleko. Zadyszał się, bo biegł prawie przez całą drogę.

Milicjantowi, który wydawał przepustki, długo musiał tłumaczyć o kogo mu chodzi.

– Taki siwy, no, szpakowaty oficer Komendy Wojewódzkiej – złościł się Henryk.

Wreszcie przyprowadzono jakiegoś oficera milicji. Okazało się, że Szpakowatego nie ma w Komendzie Powiatowej.

– Proszę go powiadomić – powiedział Henryk – że Cagliostro, którego szukacie, pojechał taksówką do Przygłowa.

Teraz poszedł na postój taksówek. Akurat z postoju odjeżdżało jakieś auto. Mignęła Henrykowi twarz Gałkowieckiego i młodej dziewczyny z końskim ogonem.

„A to się szybko uwinął” – pomyślał Henryk, wsiadając do taksówki.

Gałkowiecki oczywiście jechał do Przygłowa. Taksówka, w którą wsiadł Henryk dogoniła wkrótce auto z Gałkowieckim i dziewczyną, minęła je, Henryk dostrzegł, że Gałkowiecki dziewczynę całuje.

Kierowca zatrzymał auto przed knajpą w Przygłowie. Henryk wysiadł i stanął bezradnie na brzegu szosy. Było bardzo ciemno, las głośno szumiał, bo zerwał się silny, porywisty wiatr, między drzewami błyskały okna nielicznych domów i tuż przy szosie świeciły okna knajpy. „Jeśli nie zastanę Cagliostro w knajpie – pomyślał Henryk – przyjazd tutaj okaże się największym głupstwem. Przecież nie będę chodził w nocy po lesie i nawoływał: Panie Cagliostro, odezwij się pan”.

W knajpie nie było Cagliostro.

– Taki szczupły, wysoki, czarno ubrany facet z czarną szpiczastą bródką – tłumaczył Henryk kelnerce.

Kiwnęła głową.

– Właśnie wyszedł – powiedziała – będzie chyba z pół godziny jak wyszedł – poprawiła się.

– Nie wie pani dokąd poszedł?

– Nie powiedział.

– Był tu sam, czy z jakąś dziewczyną?

– Sam. Zupełnie sam.

– Umówiłem się z nim tutaj. Miał na mnie czekać.

– Czekał. Chyba ze dwie godziny czekał na pana. Wziął do stolika ćwiartkę wódki i piwo. Pił i podrzucał do góry taki mały krążek.

„To chyba srebrny denar ukradziony z mojej kieszeni” – pomyślał Henryk.

Wybiegł z knajpy. Znowu otoczyła go ciemność i szum drzew leśnych. Wolniutko poszedł w kierunku mostu na rzece Luciąży. Ze stacji w Przygłowie właśnie odchodził pociąg kolejki wąskotorowej z Sulejowa. Malutki parowozik gwizdał głośno, parskając iskrami i trzy miniaturowe wagoniki ciągnął do Piotrkowa.

„A jeśli Cagliostro właśnie w tej chwili odjechał z Przygłowa?” – zastanawiał się Henryk. Na szosie przed knajpą oczekiwała na Henryka taksówka. Mógł wsiąść w nią, wrócić do Piotrkowa i tam na stacji oczekiwać przyjazdu Cagliostro.

Lecz jeśli Cagliostro pozostał w Przygłowie?

Henryk poszedł szosą w stronę Piotrkowa, potem wrócił do knajpy i powędrował w kierunku Sulejowa. Cagliostro przybył tu taksówką, więc może podobnie jak Henryk, kazał taksówkarzowi oczekiwać gdzieś tutaj?

Napotkał tylko dwie taksówki. Pierwszą była ta, którą Henryk przybył do Przygłowa. Drugą przyjechał Gałkowiecki. Taksówkarz drzemał za kierownicą, a Gałkowiecki pewnie już spacerował z dziewczyną po lesie.

Zamierzał znowu wrócić w stronę knajpy, gdy o kilkanaście kroków dalej zobaczył auto stojące tuż przy szosie, ale już na bocznej leśnej drodze. Dostrzegł je tylko dzięki ostremu światłu przejeżdżającej szosą ciężarówki. Światła jadącego auta zamigotały w reflektorach samochodu stojącego na skraju lasu.

Podszedł do wozu, zajrzał do wnętrza przez szybę. Kierowca spał rozłożywszy się wygodnie na tylnym siedzeniu.

Henryk zapukał w szybę.

– Proszę pana. Hej, proszę pana – budził go półgłosem. – Pan przywiózł z Piotrkowa pana Cagliostro?

– Yhm – mruknęło w wozie.

– A gdzie on jest? Umówił się ze mną...

Kierowca otworzył okienko.

– Już ze dwie godziny jak wysiadł z wozu. Pewnie w knajpie siedzi...

Henryk podziękował za informację i wyszedł na szosę. Przeskoczył rów i po drugiej stronie szosy, na skraju lasu stanął obok pnia grubej sosny. Widać stąd było i szosę od strony knajpy i auto stojące na bocznej drodze. Henryk nie mógł nie zauważyć Cagliostro, gdyby ten chciał wsiąść do oczekującej na niego taksówki.

Minęło kilkanaście minut. Szosą przejechały dwa ciężarowe auta, potem traktor z przyczepą. Las huczał to głośniejsze, to jakby ciszej. Henryk wsparty plecami o pień sosny wyczuwał delikatne kołysanie się grubego drzewa. Nagle ogarnęła Henryka myśl, że gdyby w ciemnościach spotkali się on, Henryk i Cagliostro, mógłby go tu Cagliostro zabić zupełnie bezkarnie.

„Czy naprawdę bezkarnie?” – zastanawiał się Henryk. – Taksówkarz powiadomiłby chyba milicję, że gość, którego zabrał do Przygłowa nie wrócił z nim do Piotrkowa, nie zapłacił za kurs. Odnaleziono by w końcu zwłoki Henryka, a milicjant w Komendzie Powiatowej pamiętałby, że Henryk mówił o wyjeździe Cagliostro do Przygłowa. Więc Szpakowaty na pewno skojarzyłyby sobie te dwa fakty i domyśliłyby się, że Henryk przyjechał tutaj szukać Cagliostro i że to Cagliostro zabił Henryka”.

Las jakby przycichł, ustał wiatr, uczyniło się trochę cieplej. Ktoś nadchodził szosą, słychać było powolny stukot butów.

„Dużo by mi przyszło z tego, że Szpakowaty odnalazłby mojego mordercę” – pomyślał Henryk. I pożałował, że nie ma teraz przy nim Szpakowatego.

Nadchodzący szosą okazał się niskim, tęgim mężczyzną. Przeszedł mimo auta stojącego przy szosie.

A potem od strony Piotrkowa nadjechały wolniuteńko dwie milicyjne „Warszawy”. Henryk wybiegł na drogę i po chwili rozmawiał ze Szpakowatym, zdając mu relację ze wszystkiego – czego w Przygłowie zdołał się dowiedzieć o Cagliostro. Szpakowaty rozkazał milicjantom pozostawić samochody w lesie za Przygłowem, jeden z milicjantów usadowił się we wnętrzu taksówki oczekującej na Cagliostre. Reszta milicjantów, a wraz z nimi Szpakowaty i Henryk, ruszyli w las na poszukiwanie iluzjonisty.

Ale poszukiwania te nie zdały się na nic. Wypłoszono tylko Gałkowieckiego z dziewczyną i jeszcze jedną obściskującą się parę młodych ludzi. Las w Przygłowie jest gęsty i ogromny, ciemności nocne utrudniały poszukiwania. Było chyba czymś prawie niemożliwym natrafić na Cagliostre, jeśli zauważył, że tropi go milicja. Każdy krzak mógł w ciemności nocnej umożliwić mu bezpieczne schronienie i uczynić go niewidzialnym.

Odnaleziono Cagliostre dopiero nad ranem, gdy Szpakowaty niemal zdecydowany był już powracać do Piotrkowa.

O świcie, wędrując wzdłuż toru kolejki, jeden z milicjantów zobaczył ciało ludzkie do połowy zanurzone w wodzie Luciąży pod mostem kolejowym. Na gwizdek milicyjny nadbiegł Szpakowaty i Henryk. Zeszli na dół aż pod most. Cagliostro był martwy i zimny, zginął najprawdopodobniej przed kilkoma godzinami. Najpierw ogłuszono go kamieniem, potem czymś ostrym, może brzytwą, poderżnięto mu gardło. Wszystko to stało się pod mostem kolejowym, może właśnie wtedy, gdy Henryk usłyszał gwizd pociągu odjeżdżającego do Piotrkowa.

Przeszukano dokładnie każdy centymetr ziemi wokół mostu. W Luciąży, na płytkim dnie między kamieniami obmytymi przez wodę dostrzeżono błyszczący srebrny krążek. Był to denar Bolesława Chrobrego. Ten sam denar, który Cagliostro wczoraj w południe ukradł z kieszeni Henryka.

XVIII.

Tego samego dnia wieczorem Henryk i Szpakowaty pojechali do Łodzi, aby odwiedzić pana WR, który – jak powiedział Henrykowi ksiądz Garnuszek – interesował się starymi monetami Józefa Marcza i przyjeżdżał do Piotrkowa, aby monety te obejrzeć i kupić.

– Postępuję wbrew przepisom, pozwalając, aby uczestniczył pan w śledztwie – mówił Szpakowaty do Henryka, gdy jechali milicyjnym autem do Łodzi. – Złamałem jednak przepisy, ponieważ to właśnie pańskiemu prywatnemu śledztwu mam do zawdzięczenia fakt, że trafiliśmy na sprawę tych starych monet. Czy sprawa ta ma jakieś istotne znaczenie dla zro-

zumienia i rozwikłania zagadki „węża morskiego”, tego oczywiście nie da się teraz stwierdzić. Lecz nie wolno nam niczego zaniedbać. Zresztą – dodał gorzko – to jedyny trop jaki jest nam znany. Co za dziwaczne morderstwa – złościł się. – Pański „wąż morski” połknął już trzecią ofiarę, a my nic, zupełnie nic z tego nie rozumiemy. Jak gdybyśmy kręcili się w zupełnych ciemnościach. Trudno wymagać, abyśmy znaleźli mordercę, skoro nie wiadomo nawet dlaczego zabity został Marczak, pani Gnom i ten nieszczęsny Cagliostro, którego podejrzewaliśmy, że jest mordercą. Wizyta u pana WR zapewne okaże się tylko stratą czasu, z całą pewnością można stwierdzić, że nie on zabił Cagliostkę, Marcza i panią Gnom.

– Skąd ta pewność? – spytał Henryk.

– Teraz pan będzie mógł sam ocenić różnicę między działalnością prywatną, że się tak wyrażę i działalnością pracownika aparatu milicyjnego. Gdy tylko powiedział mi pan o WR, dałem znać do Łodzi i w tej chwili wiem już o nim prawie wszystko. To znaczy wiem na pewno, że w ów wieczór, gdy zabito Marcza i w ową noc, gdy zginęła pani Gnom, a także minionej nocy, pan WR przebywał w Łodzi. Nie mógł więc zabić żadnej z tych osób. Chyba, że potrafił się rozdwajać, być jednocześnie w Piotrkowie i w Łodzi.

– W takim razie nasze odwiedziny u niego nie mają żadnego sensu – zauważył Henryk.

– Być może. Ale przecież każda inna nasza działalność również nie wydaje się bardziej sensowna. Zabójca, a może kilku zabójców, nie pozostawili milicji innego pola działania jak tylko stwierdzać fakty zabójstwa. Żadnej poszlaki, nawet najdrobniejszej. W takiej sytuacji, jak tonący chwytam się brzytwy. Tfu – splunął i skrzywił usta z niesmakiem, zapewne przypomniawszy sobie Cagliostkę z gardłem poderżniętym brzytwą. – Chwytam się sprawy tego idiotycznego denara.

Henryk nic nie odpowiedział, więc Szpakowaty mówił dalej:

– Cagliostkę zabito późnym wieczorem. Ciało Cagliostki odnaleźliśmy wczesnym raniem. Jeśli morderca mieszka w Piotrkowie, miał dość czasu, żeby niepostrzeżenie opuścić miejsce zbrodni i wrócić do Piotrkowa kolejką wąskotorową, autem, motocyklem, a nawet rowerem lub pieszo. Nie pozostawił żadnego śladu, nie mamy żadnej poszlaki. Tylko ten srebrny denar, który ukradł panu Cagliostro, i być może trzymał w ręku w chwili, gdy rzucił się na niego morderca.

– Czy sądzi pan, że Cagliostro rozmawiał z mordercą i pokazywał mu ów denar?

– Kto to może wiedzieć? Denar znaleźliśmy w wodzie tuż obok ciała zamordowanego. Jest prawdopodobne, że Cagliostro szarpiąc się z mordercą upuścił denar do rzeki. Morderca oczywiście nie był w stanie po ciemku odnaleźć w wodzie monety. Zabił i czym prędzej uciekł z miejsca zbrodni. Jeśli oczywiście założymy, że ta moneta go interesowała...

– Gdyby było inaczej, Cagliostro nie trzymałby jej w ręku. Odnależlibyśmy ją u niego w kieszeni.

– Ja też tak sędzę – przytaknął Szpakowaty. – Dlatego właśnie rozmowa z panem WR nabiera jednak odrobiny sensu. Bo chociaż on sam zapewne nie zabił nikogo, może nam wskazać trop mordercy.

Milicyjne auto zatrzymało się w Łodzi na ulicy Rzgowskiej tuż obok nowo wybudowanej łaźni. W czasach, gdy Henryk był jeszcze młodzieńkiem chłopcem – znajdował się w tym miejscu „cyklodrom”. Przychodziło się tu jeździć na wynajętym na godziny rowerze – rodziców Henryka nie było stać aby kupić chłopcu rower na własność. Za „cyklodromem” rozciągały się pola i zsepiska śmieci, gdzie w upalne dni, na hałdach brudu, starych szmat i nieczystości wygrzewali się na słońcu żebracy, gnieździły się prostytutki i drzemali pijacy. Wśród hałd śmieci znajdowała się niewielka fabryczka „zajzajeru”, Henryk pamiętał pożar, który w niej kiedyś wybuchnął. Strażacy bali się gasić ogień, beczki z zajzajerem pękały głośno, a krople kwasu trawiły i przeżerały nawet strażackie kaski. Tak w każdym razie opowiadali sobie ludzie na Chojnach.

Teraz na dawnym zsepisku wyrósł duży park rozciągający się od ulicy Dąbrowskiej aż do bloków, tak zwanych, Magistrackich przy ulicy Podmiejskiej.

– Pan jest tutejszy? – spytał Szpakowatego.

– Urodziłem się na Chojnach. Najpierw mieszkaliśmy na Podmiejskiej pod szesnastym, a potem na Rzgowskiej pod pięćdziesiątym drugim. Do szkoły chodziłem na róg Miłej i Rzgowskiej, a później na Podmiejską. Przed samą wojną przeprowadziliśmy się na Kruczą. Taka mała uliczka od Nowozakrzewskiej – wyjaśnił. I dodał: – Teraz mieszkam na Piotrkowskiej. Nie byłem w tej dzielnicy chyba od pięciu lat. Tak jakoś się składało, że ostatnio nie miałem żadnego powodu, aby się tutaj pokazać.

Szpakowaty spojrział na zegarek.

– Jest za piętnaście minut szósta – rzekł. – Pan WR uczy historii w szkole w centrum miasta. Wraca z pracy o szóstej. Mamy więc chwilę czasu...

Ruszyli wolno w stronę Czerwonego Rynku. Pan WR mieszkał na jednej z małych uliczek odchodzących od Rzgowskiej.

– O, widzi pan, tu pod pięćdziesiątym drugim, był kiedyś duży ogród. A teraz postawili nowe bloki – wskazywał Henryk Szpakowatemu. – W tym ogrodzie była altanka, zawsze ukrywałem się w niej podczas zabawy w chowanego. A teraz stanęły tu domy mieszkalne.

Na Czerwonym Rynku budy jarmarczne były już zamknięte, jeszcze tylko kilku gołębiarzy zachwalało swój towar – gołębie siedzące osowiale w drucianych klatkach. Tak, jesz-

cze tylko ten rynek i otaczające go domy nie zmieniły swego wyglądu od czasu, gdy w tej dzielnicy mieszkał przed laty Henryk. Tutaj odnajdywał dawny koloryt miasta – jedno, dwu, najwyżej trzypiętrowe małe kamieniczki z bramami przez które wąskim strumieniem wyciekał śmierdzący rynsztok. W sobotę lub w dzień przedświąteczny malowano go wapnem na biało. Na podwórku pełno było drewnianych komórek, a na każdej komórce stał drucziany domek dla gołębi. I wszędzie chmary małych dziewczynek rysujących kredą „klasy” na płytach ulicznych chodników, chłopców biegających z fajerką, którą puszczało się w ruch przy pomocy zakrzywionego drutu.

Teraz także dziewczynki skakały na jednej nodze z „klasy” do „klasy”, czubkiem buta popychając kolorowe szkiełko z rozbitej butelki po piwie, a chłopiec biegł ulicą popychając fajerkę. Jakiś mały pędrak ciągnął na sznurku pudełko po sardynkach.

Skręcili w boczną uliczkę i stanęli przed piętrowym drewnianym domem.

– Pan WR uczy historii – objaśniał Henrykowi Szpakowaty. – Jest to mężczyzna lat pięćdziesięciu. W ubiegłym roku pochował swoją żonę, również nauczycielkę. Syn jego, inżynier, pracuje w Turoszowie. Pan WR mieszka z gosposią, zajmuje dwa pokoje z kuchnią. Stare monety zbiera od lat dwudziestu. Ma bardzo bogatą kolekcję.

Po stromych, drewnianych, mocno wytartych stopniach wdrapali się na piętro. Tabliczka z nazwiskiem WR poinformowała ich, do których drzwi należy zadzwonić. Zanim jednak nacisnęli guzik dzwonka, umówili się, że to Henryk będzie zadawał pytania panu WR. Szpakowaty zabierze głos nieco później.

Otworzyła im drzwi kobieta w chustce, chyba gosposia.

– Profesor jest w domu – oświadczyła i wprowadziła ich do długiego, ciemnego korytarza, gdzie znajdowało się mnóstwo gratów. Potem otworzyła drzwi po prawej stronie. Znaleźli się w dość dużym pokoju. Trzy ściany były od podłogi do sufitu zastawione książkami, na czwartej – między oknami i nad oknami wisiały stare ikony, staroświeckie świeczniki mosiężne i zbiór medali. Zamiast biurka tuż przy oknie znajdował się przepiękny sekretarzyk „empirowy”, fotel i kilka krzeseł.

– Słucham panów – tuż za nimi wszedł do pokoju wysoki mężczyzna o powolnych ruchach, wielkim chudym nosie i bardzo szczupłej figurze. Ogromne niebieskie oczy przyglądały się przybyłym jakby trochę ironicznie, po zwiędłej skórze wychudłych policzków przebiegały ledwo uchwytnie drgania mięśni. Ten człowiek był chyba bardzo nerwowy, a ów spokój przejawiający się w całym jego zachowaniu, osiągnął dzięki wielkiej umiejętności panowania nad sobą. – Panowie spoczną – zaproponował im krzesła, a sam usiadł w fotelu.

– Interesuję się numizmatyką – rzekł Henryk. – Skierował mnie do pana profesora ksiądz Garnuszek z Piotrkowa. Powiedział mi, że swojego czasu pan Józef Marczak sprzedał panu dukat Łokietka. Bardzo chciałbym posiadać tę monetę, niestety, spóźniłem się. Byłem za granicą. Dopiero po powrocie dowiedziałem się, że dukat, który pragnąłem kupić, Marczak sprzedał już panu profesorowi. Postanowiłem zwrócić się do pana i zaproponować odstępnę w pieniądzech lub w monetach, które ewentualnie mogą pana interesować.

– Rozmawiał pan z Marczakiem? – zapytał profesor WR.

– Niestety, nie mogłem z nim rozmawiać. Gdy wróciłem z zagranicy okazało się, że on już nie żyje. Informacji udzielił mi ksiądz Garnuszek.

Profesor dotknął palcem koniec swego długiego nosa. To był u niego zapewne znak zdumienia.

– Marczak nie żyje?

– Nie czytuje pan gazet?

Skrzywił się:

– Nie lubię zaglądać do nekrologów.

Kącikiem oczu Henryk spróbował zerknąć na Szpakowatego. Profesor udawał, że nic mu nie wiadomo o śmierci Marczaka. Ciekawiło Henryka co myśli o tym Szpakowaty.

– Co się stało ze zbiorem Marczaka? – zapytał profesor.

– Nie wiem.

– Szkoda, żeby zbiór wpadł w niepowołane ręce. Panowie nie zechcieli się nim zainteresować? – rzucił nowe pytanie. Tym razem w stronę Szpakowatego. Ale ten udawał, że nie słyszy.

Odpowiedział Henryk:

– Interesuje mnie tylko dukat Łokietka. Nic poza tym. I dlatego tu przyszedłem.

Było to powiedziane chyba zbyt nachalnie. Profesor popatrzył uważnie na Henryka, lustrując jego twarz, ręce, krawat i koszulę. Wydawało się, że po jego twarzy częściej niż przed tym przebiegają drgania mięśni.

Powiedział jednak bardzo spokojnie:

– Pan chyba jednak nie jest numizmatykiem. Dukat Łokietka, mój Boże... – zaśmiał się cichutko. – Któż z nas go nie pragnie posiadać. Hutten-Czapski umarł trzymając go w rękę. Taka moneta może osłodzić nawet chwilę śmierci. Gdybym miał Łokietkowy dukat, czy sądzi pan, że byłbym skłonny go panu odstąpić? Dukat Łokietka to takie numizmatyczne „Yeti”. Co jakiś czas na łamach numizmatycznych czasopism ukazuje się wzmianka, że ktoś widział u kogoś dukat Łokietka, ale że potem ten pieniążek gdzieś zniknął. Tu go widziano, tam go

widziano, ktoś słyszał, że inny go widział, że już go miał nabyć, lecz coś przeszkodziło. Zabawa z numizmatycznym „Yeti” trwa ponad sto lat. Od 1846 roku, gdy to odnaleziono pierwszy i jak dotąd jedyny egzemplarz dukata Łokietka. Każda dziedzina życia, proszę pana posiada swoje mity i swoje legendy. Do legend numizmatycznych zaliczyć należy fakty istnienia gdzieś, w Polsce drugiego egzemplarza Łokietkowego dukata.

– Marczak... – przerwał mu Henryk.

– Nie wiem, skąd pan posiada informacje, że Marczak posiadał dukat Łokietka – odrzekł ostro, jak by chcąc zakończyć wszelką na ten temat dyskusję. – Lecz jeśli nawet w jego zbiorach był ów dukat, to ja go od niego nie kupiłem.

– Marczak był u pana, skierował go tu proboszcz – nacierał Henryk.

Szpakowaty ociężale, jak bokser podniósł się z krzesła. Podał profesorowi służbową legitymację.

– Pan pozwoli, że teraz zadam panu kilka pytań – odezwał się dobitnie.

– Że też się od razu nie domyśliłem – rzekł profesor. – Czyżby monety Marczała pochodziły z kradzieży?

Szpakowaty pominął jego uwagę. Zapytał:

– Profesor wspominał o kolekcji monet Józefa Marczała. Pan je oglądał?

– Nie – odparł bez namysłu. – Wprawdzie pojechałem specjalnie do Piotrkowa, żeby obejrzeć tę kolekcję, ale w ostatniej chwili odmówił mi pokazania. Rzekł mi: „Ja mam kolekcję nie na pokaz, a na sprzedaż. Pan nie wygląda na człowieka, który posiada dosyć pieniędzy aby ją nabyć. A poszczególnych okazów nie będę sprzedawał”. Po takim dictum nie pozostało mi nic innego, jak wrócić do Łodzi. Zrobiłem dla niego tylko jedno, dałem mu adres człowieka, który zajmuje się nawiązywaniem kontaktów między bogatymi kolekcjonerami, a ludźmi, którzy z takich czy innych względów chcą sprzedawać swoje zbiory.

– Kiedy był pan w Piotrkowie?

– Dokładnie nie pamiętam. Zdaje się, że w grudniu ubiegłego roku.

– I od tego czasu nie przyjeżdżał pan do Piotrkowa?

– Nie miałem tam żadnego interesu.

– Proszę nam opowiedzieć wszystko, co pan wie o Marczałku – zażądał Szpakowaty.

Na czole profesora WR ukazały się drobniutkie kropelki potu.

– Panowie, o co chodzi? Co się stało? – zapytał. Ciągle jeszcze doskonale panował nad sobą.

– Marczak został zamordowany. Jego kolekcja zniknęła – wyjaśnił Szpakowaty.

WR otarł chusteczką czoło. Zaczął opowiadać:

– W ubiegłym roku zgłosił się do mnie Marczak i podobnie jak pan – profesor skłonił się w kierunku Henryka – powołał się na księdza Garnuszka z którym pozostaję w kontakcie, jak i z wieloma innymi kolekcjonerami. Marczak oświadczył mi, że posiada dość duży zbiór monet i że chciałby go sprzedać. Nie jestem człowiekiem zamożnym, lecz kolekcjonerstwem monet zajmuję się już od dawna. Nie stać mnie na kupno kolekcji, lecz gdyby w zbiorze Marczaka znalazła się jakaś interesująca mnie moneta, mógłbym sprzedać coś ze swojej kolekcji i kupić od niego. Tak też i myślałem, decydując się jechać do Piotrkowa.

– Czy to już wszystko, co ma nam pan do powiedzenia?

– Myślę, że wszystko. Nic nie ukryłem.

– Na pewno?

– Tak – odrzekł twardo i aż usta zacisnął.

– Bo proszę pana profesora – rozwlekł mówił Szpakowaty – pan wygląda na człowieka bardzo inteligentnego. Pan od razu rozpoznał, że my nie jesteśmy kolekcjonerami i nie znamy się na sprawach numizmatycznych. Dlatego nie chce mi się wierzyć, że pan nie dostrzegł w Marczaku zwykłego oszusta. Marczak także nie zajmował się kolekcjonerstwem, nie znał się zupełnie na monetach. A pan natychmiast dał wiarę, że on posiada kolekcję, że można będzie coś u niego kupić. Ba, zdecydował się pan nawet na podróż do Piotrkowa?

– Pokazał mi... pewną monetę – chrapliwie wyrzekł WR.

– Jaką? – spytał Szpakowaty.

– To był... to był... grosz tykociński.

– I co dalej?

– To rzadka moneta. Bardzo chciałem ją uzyskać. Powiedział mi, że ma cały zbiór cennych okazów. Oczywiście, od razu wiedziałem, że nie zna się zupełnie na numizmatyce. Nie sądziłem, aby te monety pochodziły z kradzieży. Po przyjeździe do Piotrkowa zacząłem ostrożnie podpytywać o Marczaka. Okazało się, że ma nieposzlakowaną opinię. Pomyślałem więc, że ów grosz tykociński pochodzi z jakiegoś skarbu, który znalazł sam Marczak albo też od kogoś odkupił.

– Czy nie mógłby pan pokazać nam grosz tykociński?

Twarz profesora stała się ruchliwa jak toń jeziora uderzona podmuchem wiatru. Dłuższą chwilę jak by łamał się z sobą. Nagle wyszedł do drugiego pokoju, a gdy wrócił miał w dłoni malutkie pudełeczko z monetą.

– To jest grosz tykociński – powiedział – kupiłem go od Marczaka za osiem tysięcy złotych.

Szpakowaty obejrzał monetę bardzo pobieżnie. Henryk przyglądał się jej znacznie dłużej. Zwracając pudeleczko profesorowi, zerknął na twarz WR. Jego czoło opływało potem. Czyżby lękał się, że straci cenny pieniążek?

Szpakowaty podał rękę profesorowi. A więc już koniec przesłuchania?

– Chcę znać – rzekł – nazwisko człowieka – do którego skierował pan Marcza. Chodzi mi o człowieka, który nawiązuje kontakty między bogatymi kolekcjonerami i właścicielami zbiorów.

– Nie zмам jego nazwiska. Wiem tylko, że często bywa w kawiarni znajdującej się w Łażni Miejskiej na ulicy Rzgowskiej. Tam też skierowałem Marcza. Ten człowiek nosi skórzany płaszcz – i profesor WR rozpoczął szczegółowy opis. Gdy skończył zapytał Szpakowatego:

– Skąd pan domyślił się, że kupiłem jednak grosz tykociński?

– Marcza musiał pana czymś bardzo zainteresować, skoro zdecydował się pan pojechać do Piotrkowa. Tam zachował się wobec pana brzydko, a jednak pan skierował go do „Człowieka z Łażni”. Stracił pan czas i pieniądze na przyjazd do Piotrkowa, nie zobaczył pan zbioru Marcza. Lecz mimo to zdobył się pan na przysługę. Domyśliłem się, że musiało to być coś co panu zrekompensowało podróż.

XIX.

– On kłamie – powiedział Henryk do Szpakowatego, gdy opuścili mieszkanie pana WR. – Nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że kupił od Marcza nie tylko „grosz tykociński”, ale także dukat Łokietka. Nie chce się jednak do tego przyznać, bo lęka się, że Marcza zdobył tę monetę w sposób nieuczciwy i milicja zechce mu ją odebrać.

– To bardzo prawdopodobne – zgodził się Szpakowaty. – Tylko, że ten fakt nie ma dla nas istotnego znaczenia. Najważniejsze jest znalezienie odpowiedzi na pytanie: kto zabił Marcza, panią Gnom i Cagliostre. A WR tego nie uczynił.

– Pozostają jeszcze „Człowiek z Łażni”, jak go nazwał WR.

– No tak.

– WR opisał „Człowieka z Łażni”. Wysoki, z haczykowanym nosem, lat około trzydziestu pięciu, chodzi w skórzanym płaszczu, codziennie bywa w kawiarni na terenie Łażni Miejskiej. Zna pan tę kawiarnię?

– Owszem, jest notowana w kronikach milicyjnych. Ci co budowali tę łaźnię, przeznaczili kawiarnię dla tych którzy zaraz po kąpielu nie chcą wychodzić na dwór. Tymczasem kawiarnia ta prawie natychmiast przeistoczyła się w melinę podrzędnego rodzaju. Schodzą się tu młodzi chłopcy i młode dziewczyny, poszukujące przygód. A wokół takich dziewcząt zaw-

sze kręcą się starsi panowie, żyjący z nie najbardziej czystych interesów. Od czasu do czasu zdarza się tu jakaś awantura, ktoś kogoś uderzy butelką, jakkolwiek alkoholu sprzedawać w tej kawiarni nie wolno. Młodzi ludzie ze sobą przynoszą wódkę.

– A ponieważ ów „Człowiek z Łaźni” bywa tutaj codziennie – dodał Henryk – zalicza się chyba do tego właśnie „towarzystwa”.

– Co nie znaczy oczywiście, że on zabił Marczaka – zauważył Szpakowaty. – Może Marczak w ogóle się z nim nie skontaktował?

Był wieczór. Zapaliły się lampy uliczne na Rzgowskiej. Brzęcząc głośno na nierównościach szyn, przejeżdżały tramwaje. Po szerokich chodnikach spacerowały pary dziewcząt w jednakowych sukienkach, co miało uzewnętrzniać ich przyjaźnie. Dla Henryka było to za zwyczaj wyraz najgorszego gustu, nie wyobrażał sobie czegoś bardziej brzydkiego niż dwie jednakowo ubrane dziewczyny.

– Niech pan zwróci uwagę – trącił łokciem Szpakowatego – że zawsze bardzo ładna dziewczyna przyjaźni się z bardzo brzydką. A ponieważ tak samo się ubierają, więc ta ładna ma stokroć więcej szans zwrócenia na siebie uwagi niż ta brzydka. To jest dopiero niesprawiedliwość, jak pan myśli.

Ale Szpakowaty chyba nawet nie wysłuchał uwagi Henryka. Zbliżyli się właśnie do Łaźni Miejskiej na rogu Rzgowskiej i Dąbrowskiej.

– A jeśli ten facet jest tam i dzisiaj? – zastanowił się głośno Szpakowaty.

– No to chodźmy. Chodźmy do Łaźni – ucieszył się Henryk. – Pan go aresztuje, a ja zobaczę jak się takie hece odbywają.

Tym razem jednak Szpakowaty nie zechciał złamać regulaminu. Doradził Henrykowi, żeby odwiedził własne mieszkanie.

– Sądziłem, że żywi pan dla pani Joanny jakieś silniejsze uczucia – zauważył ironicznie. – Czy pomyślał pan, że ona, być może, czeka tam na pana? A w ogóle nawet pan nie wie, czy ona zamieszkała u pana i co się z nią dzieje?

I nieledwie siłą wepchnął Henryka do przepelnionego tramwaju jadącego do centrum miasta. Henryk wysiadł przy ulicy Głównej i z budki telefonicznej zadzwonił do swego mieszkania. Usłyszał głos Joanny, zapowiedział swoje przyjście. Po drodze kupił kilka tulipanów, właśnie pokazały się w kioskach ulicznych kwiaciarzek.

Idąc po schodach na piętro przypomniał sobie, że ilekroć po dłuższej nieobecności powracał do swego mieszkania, zawsze witał go nieprzyjemny zleżały, zatęchły zapach naftaliny i pasty do podłogi. Jest coś nieprzyjemnego w mieszkaniu, w którym nikt nie mieszka przez dłuższy czas – jakaś obcość, chłód, jakby wracało się do siebie samego sprzed jakiegoś

czasu. Są ludzie, którzy chyba bardzo lubią takie powroty. Henryk ich nie cierpiał, tak jak niechętnie oglądał własne fotografie, na których był młodszy o kilka tygodni czy miesięcy. Miał trzydzieści lat i przeżywał pierwsze chwile uświadamiania sobie, że przeżył już młodość i że chyba tak samo pośpiesznie minie mu wiek męski.

„Teraz w mojej kuchni zapewne unosi się jeszcze zapach gotowanego w południe obiadu – pomyślał – a w moim pokoju bawi się córka Joanny. Zamiast moich drobiazgów na stoliczku w łazience leżą damskie drobiazgi Joanny, papiery i listy na biurku są ułożone na jednej kupce. Nie, to jest tak samo okropne jak świadomość, że zastałbym wszystko w takim stanie jak pozostawiłem wychodząc”.

Przypomniawszy sobie, że kiedyś wyjeżdżając na dwa miesiące do Związku Radzieckiego, bardzo śpieszył się na pociąg i ledwo napoczętego papierosa zgasił w popielniczce. A gdy wrócił po długiej nieobecności, ten sam niedopałek sterczał w popielniczce. I Henryk powitał go jak przyjaciela, jak coś, co pozwoliło od razu powrócić do chwili, z którą się kiedyś rozstał.

Otworzyła mu drzwi Joanna. W kuchni nie pachniało obiadem, ale w pokoju rzeczywiście bawiła się córka Joanny. Usiadł z Joanną w kuchni, małej i ciasnej.

– Cagliostro został zabity – rzekł Henryk. – Zabójca niestety, w dalszym ciągu nie jest znany.

Parzyła mu herbatę. Sitko wypadło jej z ręki.

– Cagliostro... – szepnęła.

– Zabito go wczoraj wieczorem, zwłoki odnaleźliśmy dziś rano. W Przygłowie, w Łuciąży pod mostem kolejki wąskotorowej.

– Cagliostro... – powtórzyła.

– Czy może mi pani powiedzieć, Joanno, dlaczego przed wyjazdem do Łodzi dała pani Cagliostrze klucz od domu Marczaka?

– Powiedział że pan mnie o to prosił. Dałam dla pana.

– Skłamał. Klucz był mu potrzebny, aby dostać się do mieszkania i czegoś w nim szukać. Poza tym Cagliostro okradł mnie. Zabrał mi pieniądze, który znalazłem w biurku Marczaka. To nie był aż tak sympatyczny facet jak to się pani zdawało, Joanno.

I opowiedział jej o wszystkim. Co zdarzyło się po jej wyjeździe z Piotrkowa.

Powiedziała ze smutkiem:

– Wiem, że pan bardzo nie lubił Cagliostra. A mnie, rzeczywiście on wydawał się miły i sympatyczny.

– Nie lubiłem go.

Wzruszyła ramionami.

– Z tego, co mi pan opowiedział wynika, że pan i Cagliostro mniej więcej w tym samym czasie znaleźliście się w Przygłowie. Czy nie obawia się pan, że milicja może przypuszczać iż jednak doszło do spotkania między wami?

Henryk aż zerwał się z krzesła. Przyszło mu na myśl, że podobne podejrzenia mogły przyjść do głowy również Szpakowatemu. Może właśnie dlatego nie chciał, aby Henryk był przy rozmowie z „Człowiekiem z Łązni”.

– Pani chyba bredzi, Joanno – krzyknął. – Czy pani sobie wyobraża, że jestem zdolny poderznąć komuś gardło brzytwą?

– Brzytwą? – przestraszyła się.

– A tak. Cagliostre zabito brzytwą. Brzytwą – krzychał.

Gdy minął mu gniew, poszedł do przedpokoju i zdjął z wieszaka kapelusz.

– Wracam do Piotrkowa – powiedział.

– Myślałam, że pan zanocuje...

– Teraz? Po tym co pani powiedziała? – wzruszył ramionami. – Zresztą, nie ma tu dla mnie miejsca. Kuchnia jest tak mała, że nie można w niej spać, A w pokoju...

– Poradzimy sobie – rzekła i odebrała mu kapelusz.

Przyrządziła kolację dla niego i dla swej córki. Położyła małą na dwóch zsuniętych z sobą krzesłach i fotelu. Dla Henryka i Joanny pozostał tylko tapczan.

– Nie myślałam poważnie o podejrzeniu pana w związku ze śmiercią Cagliostra – tłumaczyła się. – Tak mi się tylko powiedziało, bo odczulałam przykrość, gdy zaczął pan źle mówić o Cagliostrze, On był, moim zdaniem, bardzo miły i sympatyczny.

– A jednak ukraść mi srebrnego denara.

– Kto może wiedzieć, dlaczego tak zrobił? Może właśnie chciał od pana odwrócić niebezpieczeństwo?

Był bezradny wobec takiej argumentacji. Nie chciało mu się sprzeczać z Joanną. Wydawała mu się tak ładną i pełną wdzięku, że wołał patrzeć na nią i słuchać tego, co ona mówi, niż mówić. Od pierwszej chwili gdy ją zobaczył, miał świadomość, że stanowi ten typ kobiety, który mu się najbardziej podobał. Stanowiła wyraźne przeciwieństwo tych wszystkich kawiarzanych dziewcząt, krzykliwych i zalotnych, których nie cierpiał i nie czuł się dobrze w ich towarzystwie. Była starsza niż one, była matką pięcioletniej dziewczynki, wyobraźnia Henryka domyślała się w jej życiu jakiejś tragicznej historii – i choć może niczego takiego naprawdę nie było – Henryk chciał wierzyć, że była bohaterką jakiegoś smutnego romansu. Chciał wierzyć, że jest w jej życiu jakaś tajemnica i to w jego oczach dodawało jej uroku.

Zaczęła ścielić tapczan i wówczas powiedział jej, że jeśli chce mogłaby u niego już zostać. Jeśli chce, może się z nią ożenić.

Nic nie odpowiedziała. Więc rzekł jeszcze, że to chyba nie ma sensu, aby samotnie wychowywała swoje dziecko i że on, Henryk, także ma dosyć swojego samotnego życia. W tym miejscu poczuł się bardzo szlachetny i wspaniałomyślny, dopóki mu nie powiedziała:

– Skąd wiesz, mój drogi, że stanowisz właśnie to, czego mogłabym najbardziej pragnąć?

O dwunastej w nocy obudził ich telefon.

– Dzwonię do pana z klubu SPATiF – usłyszał Henryk głos reportera Gałkowieckiego.

– Wiem, wiem – gniewnie przerwał mu Henryk. – Jest pan w klubie SFATiF-u z jakąś dziewczyną i szuka pan noclegu. Niestety, tym razem muszę panu odmówić. Niech pan idzie do parku, pan lubi świeże powietrze.

– Nie, panie redaktorze. Przyjechałem w konkretnej sprawie i muszę się z panem zobaczyć. Natychmiast.

– Co się stało?

– Wiem kto zabił Cagliostre, Marcza i panią Gnom. – Niewyraźnie zaszemrał w słuchawce głos Gałkowieckiego.

Henryk zastanowił się.

– No dobrze. Niech pan czeka. Będę tam za pół godziny.

Zaczął się szybko ubierać. Joanna chwyciła go za rękę.

– Nie chodź, proszę cię. On wciągnie cię w jakąś brzydką historię. Jeśli zna mordercę, czemu chce o tym powiedzieć właśnie tobie a nie milicji?

Nie dał się przekonać. Ubrał się i wyszedł z domu. Być może istniały przecież jakieś powody, dla których Gałkowiecki chciał Henrykowi zdradzić nazwisko mordercy, a nie mógł tego uczynić wobec milicji.

W restauracji SPATiF-u o tej porze dopiero zaczynała się tak zwana „dobra zabawa”. Na razie nikt nikogo nie bił po głbie, żadna z pań tańczących w ciasnocie na malutkim parkiecie, nie zamierzała się rozbierać ani nie obrzucała nikogo wyzwiskami. Tyle tylko, że pewien młody poeta rzucał przez całą salę, najpierw zegarkiem, potem krawatem, marynarką, a gdy chciał rzucić talerzem zabrano go od stolika. Właśnie w tej chwili wszedł Henryk do lokalu, który nazwano – nie wiadomo czemu – Klubem Związków Twórczych. Z twórczością lokal ten miał niewiele wspólnego; po prostu pito tu więcej wódki, niż gdzie indziej, częściej się bito. Tyle, że w swoim gronie dziennikarzy, aktorów, literatów i malarzy.

Gałkowiecki siedział przy stoliku obok aktora zdolnego chyba i grającego główne role – ale interesującego przede wszystkim jako ciekawe zjawisko: nikt nic umiał odpowiedzieć kiedy ten aktor śpi, odpoczywa i gra, skoro zawsze można go było zobaczyć przy stoliku w SPATiF-ie. Obok niego tkwił sztywno na krześle pewien recenzent. Siedzieli obok siebie w wielkiej zgodzie, choć wiadomo było wszystkim, że recenzenci teatralni mają ulubione określenie: „Głupi jak aktor”, a aktorzy nie mówią o recenzentach inaczej jak „szakale”.

– Porozmawiajmy na ulicy – zaproponował Henryk Gałkowieckiemu.

W Alejach Kościuszki było cicho i pusto, jaśniał wielki neon nad sklepem z telewizorami. Obok gmachu banku PKO „urzędowało” kilka pań, polujących na panów spragnionych przygód miłosnych za pieniądze.

– Słuchani pana, co chodzi? – burknął Henryk. Teraz już żałował, że dał się Gałkowieckiemu wyciągnąć na to nocne spotkanie.

– Czy nie przyszło panu na myśl, redaktorze – zaczął Gałkowiecki – że może niesłusznie łączy się sprawą fikcyjnego zabójstwa Marczaaka z jego późniejszą rzeczywistą śmiercią?

– Owszem. Przyszło mi coś takiego na myśl. Te dwie sprawy mogą nie mieć ze sobą nic wspólnego.

– No właśnie. Ja od razu przypuszczałem, że panu taka wątpliwość przyszła do głowy. Podobno Józef Marczaak był w posiadaniu jakiegoś zbioru monet...

– A więc pan już wie i o tym?

– Wczorajem dowiedziałem się o tym w Komendzie Powiatowej MO. W tej sprawie dzwonił do Piotrkowa ten „szpakowaty” oficer śledczy. Załóżmy, panie redaktorze, że Marczaak dla jakichś swoich powodów upozorował własną śmierć, obrabował własne mieszkanie i zabrawszy z niego co cenniejsze rzeczy, a także ów zbiór monet, ukrył się u pani Gnom. A ponieważ każde zabójstwo musi mieć zabójcę, Marczaak nie chcąc rzucać podejrzeń na nikogo istniejącego realnie, skierował podejrzzenia na bohatera pańskiej powieści „Czarny wachlarz”. Skoro bowiem zabójstwo miało być fikcyjne, to oczywiście i fikcyjny musiał być zabójca, a takim zabójcą najlepiej było uczynić bohatera powieściowego. Czy tak, panie redaktorze?

– To prawdopodobne – przytaknął Henryk.

– Snujmy dalej nasze domysły. Oto do Piotrkowa przyjeżdża autor powieści „Czarny wachlarz”. Autor ten jest człowiekiem inteligentnym, sprytnym, szalenie przebiegłym...

– Dziękuję za słowa uznania...

– Redaktor jest zaintrygowany sprawą „węża morskiego”, jak nazwał przedziwną historię, w której bohater powieściowy ożył i zabił kasjera spółdzielni „Podkowa”. Redaktor stara się rozwikłać zagadkę śmierci Marczaaka, a ponieważ jest jak powiadam, bardzo inteligentny,

natychmiast orientuje się, że ma do czynienia z upozorowanym zabójstwem, bo przecież oczywiste jest, że bohater powieściowy nie mógł się zmaterializować i zabijać.

– Ma pan rację, Gałkowiecki. Prawie natychmiast domyśliłem się, że mam do czynienia z upozorowanym zabójstwem.

– W biurku Marczaaka odnalazł redaktor stary pieniążek. I także od razu, być może dzięki siostrzenicy Marczaaka, pani Joannie, dowiedział się, że Marczak był w posiadaniu zbioru cennych monet. I może temu redaktorowi przyszło na myśl, że właściwie skoro Marczak nie żyje, wprawdzie „na niby” ale jednak nie żyje, nic nie stoi na przeszkodzie, aby Marczak nie żył naprawdę, a zbiór tych monet dostał się do rąk redaktora.

– To bardzo ciekawe co pan mówi – zauważył cierpko Henryk.

– Zaraz sobie pomyślałem, że pana to zaciekawi.

– To mnie nawet cholernie ciekawi – powiedział Henryk.

– Faktem jest bowiem – mówił dalej Gałkowiecki – że pan, drogi redaktorze Henryku, nie powiadomił milicji o owym pieniążku, który znalazł pan w biurku Marczaaka. Uczynił pan to dopiero wtedy, gdy pieniążek ten ukradł panu Cagliostro. A czy wie pan dlaczego on go ukradł? Chciał pana zdemaskować. Poinformowałem pana, że Cagliostro pojechał do Przygłowa. Widziałem potem, że pojechał pan za nim. Później dowiedziałem się, że Cagliostro został zamordowany... Cagliostro musiał zginąć, bo miał w ręku ów pieniążek, bo zbyt dużo już wywęszył w pana sprawie.

– Rozumowanie pana, Gałkowiecki, nie jest pozbawione sensu – rzekł Henryk. – Zabiłem więc Marczaaka, aby wejść w posiadanie jego zbioru monet. Czemu zabiłem panią Gnom?

– Bo u niej znajdował się ten zbiór ukryty przez Marczaaka. Wszedł pan do mieszkania, zabił ją pan i zabrał pan od niej monety.

– Cagliostre zaś zabiłem, ponieważ on domyślał się, że to ja zabiłem Marczaaka i panią Gnom, czy tak?

– Tak – stwierdził Gałkowiecki.

– A dlaczego nie powiedział pan o tym Szpakowatemu?

– Pomyślałem sobie, że na to zawsze będzie jeszcze czas. On jest za głupi, żeby znaleźć sprawcę tych zabójstw, a pan za sprytny, redaktorze, żeby dać się zdemaskować. Ale trafił swój na swego. Ja domyśliłem się pańskiego udziału w tej sprawie. A stało się to wówczas, gdy zauważyłem, że w ślad za Cagliostrą pojechał pan do Przygłowa. Oczywiście, nie muszę natychmiast lecieć z ozorem do Szpakowatego. Zbiór monet, jaki miał Marczak jest chyba dość duży. Może go wystarczy na dwie osoby?

– Ba – wzruszył ramionami Henryk – może jest bardzo duży. Cały szkopuł jest jednak w tym, że ja go nie posiadam.

– Dlaczego? Co się stało? – zaniepokoił się Gałkowiecki.

– Nie posiadam go, ponieważ to nie ja zabiłem Marcza, panią Gnom i Cagliostre. W chwili, gdy zginął Marczak, siedziałam w jego domu w towarzystwie Szpakowatego. Mam alibi. Co do dwóch następnych osób, przyznaję, że można mnie podejrzewać. Oczywiście, jeśli się ktoś uprze.

– Hm... – zamyślił się Gałkowiecki.

Henryk poklepał go po ramieniu:

– Niech się pan nie martwi, Gałkowiecki. Może uda się pana następnym razem?

– Co mi się uda? – spytał.

– Znaleźć właściwego zabójcę. Na razie źle pan trafił. Ale miał pan dobre intencje – szydził Henryk. – Myślę, że w niepamięć puścimy naszą rozmowę o tej sprawie. Pan był trochę pijany, a ja nie dosłyszałem tego co pan mi mówił, zgoda?

XX.

Wczesnym rankiem do Henryka zadzwonił Bernard z Gabinetu Numizmatycznego.

– Wczoraj wieczorem przyjechałem z Suwalszczyzny – powiedział. – Niech pan sobie wyobrazi, że przywiozłem osiemset arabskich monet. Największy skarb dirhemów arabskich jakie znaleziono w Polsce.

– Taak? – ziewnął Henryk.

– Co jest ze srebrnym denarkiem „Gnezdun Civitas”? Miał się pan porozumieć z właścicielką i umożliwić sprzedaż naszemu muzeum.

– Na razie to niemożliwe – stwierdził Henryk. – Ten denar najpierw mi ukradziono...

– Co? Chyba pan nie dał sobie ukraść denara „Gnezdun Civitas”? – przestraszył się Bernard. – To unikat, panie redaktorze. Nie wolno go stracić z oczu.

– Odnaleziono go – wyjaśnił szybko Henryk. – Ale teraz ten denar jest w rękach milicji. Bernardowi bardzo zależało na tym pieniążku.

– Natychmiast jadę do pana. Musi mi pan wszystko wyjaśnić. Do kogo się zgłosić po ten denar, z kim w milicji pertraktować, żeby go przekazali naszemu muzeum.

Zapowiedział swój przyjazd i Henryk – rad nie rad – poszedł się golić. Ledwo rozgościł się w swej łazience, do drzwi zadzwonił Szpakowaty.

Henryk wprowadził go do kuchenki, bo Joanna i jej córka jeszcze spały w pokoju. Kończąc golenie rozmawiał w łazience z oficerem śledczym.

– Przytrzymaliśmy „Człowieka z Łaźni” – rzekł Szpakowaty. – Przyznał się, że Marczak zwrócił się do niego z propozycją sprzedaży starych cennych monet. A ponieważ „Człowiek z Łaźni”, (jego nazwisko brzmi bardzo pięknie: Poniatowski), zajmuje się podobnymi transakcjami, to znaczy w sposób mniej lub więcej legalny pośredniczy przy wszelkiego rodzaju transakcjach dzieł sztuki i wszelkich starożytności, jakie nabywają u nas i starają się wywieźć z Polski cudzoziemcy, nawet z pewnym Polakiem z Ameryki pojechał do Piotrkowa do Marcza.

– Wiem – rzekł Henryk – zabił go ten Polak.

– Nie. To wszystko zdarzyło się jeszcze przed Nowym Rokiem. Transakcja, jak twierdzi Poniatowski, nie doszła do skutku, ów Polak z Ameryki wkrótce wyjechał. Marczak i Poniatowski nie kontaktowali się więcej.

– Poniatowski wiedział jednak, że Marczak posiada cenne monety. Pewnego dnia pojechał do Piotrkowa i zabił Marcza, a monety zrabował.

– To się okaże. Bo jeśli chodzi o Cagliostro – powiedział Szpakowaty – Poniatowski jest poza podejrzeniami. W noc zabójstwa siedział w Łodzi. Najpierw w „Simie”, potem w „Casanovie” a w końcu w izbie wytrzeźwień.

– A więc znowu znaleźliśmy się w ślepych zaułku?

– Nie wiem. Być może jednak natrafiliśmy wreszcie na właściwy trop. Będę pana informował o najważniejszych szczegółach śledztwa, ale stawiam warunek: niech pan siedzi w Łodzi.

– Nie ufa mi pan? Wiem – rzekł gniewnie Henryk. – Pan także ma względem mnie podejrzenia, ponieważ i ja i Cagliostro znaleźliśmy się razem w Przygłowie. Cagliostro zginął a ja żyję. Trzeba się dać zabić, żeby okazać swoją niewinność.

Szpakowaty pokiwał głową z politowaniem.

– Z pańskimi nerwami zaczyna być coś kiepsko. Nie chcę, żeby pan wracał do Piotrkowa nie dlatego, że podejrzewam pana, a dlatego, ponieważ „wąż morski” połknął już trzy osoby. Wydaje mi się, że to powinno mu wystarczyć.

Henryk lekceważąco machnął ręką:

– Niech pan nie żartuje. Ostatecznie to jest mój „wąż morski”.

Szpakowaty nie zdążył już nic odpowiedzieć, bo usłyszeli dzwonek. Wszedł Bernard i zaczął głośno opowiadać o swej wyprawie na Suwalszczyznę, skąd przywiózł osiemset arabskich dirhemów.

– Zaczęło się zwyczajnie – mówił Bernard. – Pewien chłop postanowił zbudować sobie nowy dom. A ponieważ na naszych wschodnich ziemiach zachował się zwyczaj kładzenia „na

szczęście” monety pod belkę przyciesia, wlaż na strych domu swego teścia, wyjął z garnuszka kilka starych monet i wsunął je pod belkę. Widział to pracujący przy budowie domu pewien malarz. Zwrócił on także uwagę, że na szyjach owiec w wiosce pobrzękują piękne monety, konie mają uprząż nabijaną starymi pieniędzmi. Malarz napisał list do naszego muzeum. Pojechałem. Oczywiście, chłop budujący dom zdecydowanie zaprzeczał, jakoby zdarzyło mu się znaleźć skarb starych monet. Owszem – mówił – kiedyś odnalazł ktoś garść starych monet, ale nawet nie bardzo wiadomo kto. Tymi monetami przystroili barany i konie. Cały dzień zmarudziłem, namawiając chłopca, żeby zdradził mi tajemnicę pochodzenia starych pieniędzy. A im więcej go przekonywałem, tym bardziej stawał mi się niechętny. Wieczorem posłałem po litr wódki. Potem i on wyciągnął z kufierka flaszkę z gorzałką. Piliśmy całą noc, a rano, gdy ledwo już na nogach się trzymałem, chłop wygramolił się na strych i zniósł gliniak po brzegi wypełniony pieniędzmi. Było tych monet na wagę ponad dwa i pół kilograma. Dirhemy, największy polski skarb arabskich monet, zapewne pozostawionych przez arabskiego kupca. Rano, otrzeźwiliśmy trochę, chłop zaprowadził mnie na miejsce, gdzie znalazł skarb. To było jeszcze w czterdziestym piątym roku. Orał ziemię i nagle pług o coś zawadził, z ziemi trysnęły srebrne pieniążki. Leżały one w podłużnym glinianym naczyniu.

Chłop garnek wyrzucił, a monety wysypał do worka i zaniósł do miasta na sprzedaż. W mieście jednak powiedziano mu: „phi... srebrne, niewiele warte”. Rozczarowany wrócił do domu, garść monet dał dzieciakom do zabawy, ubrał pieniędzmi owce, barany i konie, a resztę zsywał do gliniaka na strychu.

– Niedaleko od wioski są ślady starego wczesno wiecznego grodziska – ciągnął opowiadanie Bernard. – Zapewne kupiec arabski przybył do Polski, aby kupić niewolników, skóry bobrowe lub bursztyny, które poprzez kraje arabskie sprzedawano aż w Chinach. Ponieważ władca grodziska zapewne żądałby podatku od przywiezionych pieniędzy, kupiec część pieniędzy zabrał ze sobą, a część zakopał w ziemi przed wjazdem do grodu. Miejsce to naznaczył końcem ułamanej włóczni grot włóczni udało mi się odnaleźć. Być może kupiec ów został później napadnięty w gródku i zabity, nigdy już bowiem nie wrócił po swoje pieniądze. A pozostawił w ziemi nie byle jaki majątek. Wydaje się, że licząc to co uzyskałem i to co chłopci roztrwonili, w garnku znajdowało się ponad tysiąc dirhemów. Za tę sumę można było w owych czasach nabyć dwanaście koni lub dwadzieścia pięć krów albo dwieście pięćdziesiąt baranów. Na rynku arabskim cena za niewolnika słowiańskiego wynosiła trzysta dirhemów.

Bernard skończył opowieść i chwycił Henryka za rękaw piżamy.

– Porozumiał się pan z właścicielką denara?

– To już nie ma żadnego znaczenia – westchnął Henryk,

– Dlaczego?

Pokazał palcem Szpakowatego.

– Oto milicjant. Śledczy. Jak pan myśli, po co on tu siedzi?

– Nie rozumiem...

– Ukradziono mi denara, a potem znaleziono go przy zamordowanym.

Bernard aż skrzywił usta. Jakby go coś w brzuchu zabolalo. Doskoczył do Szpakowatego.

– Panie, to bezcenny zabytek. Denar z napisem „Gnezdun Civitas”.

Henryk położył dłoń na ramieniu Bernarda.

– Stało się coś znacznie gorszego. Przemknął mi koło nosa dukat Łokietka.

– Bujasz pan – śpiewnie rzekł Bernard.

– Przysięgam. Denar Chrobrego znalazłem w biurze kasjera, którego zamordowano. Kasjer pokazywał księdzu Garnuszkowi kilka monet, a wśród nich znajdował się także dukat.

– Dukat Łokietka?

– Ustaliliśmy, że kasjer był w posiadaniu kilku bardzo rzadkich okazów. Miał denara Chrobrego z napisem „Gnezdun Civitas”, denar Chrobrego z napisem cyrylicą, brakteat popkuty Krzywoustego, grosz tykociński i prawdopodobnie dukat Łokietka.

– Co się stało z monetami?

– Denar Chrobrego z napisem cyrylicą kupił ksiądz Garnuszek. Grosz tykociński nabył profesor WR z Łodzi, zna go pan chyba? Denar Chrobrego ma teraz milicja. O reszcie monet nic nie wiadomo.

Bernard znowu dopadł Szpakowatego.

– Trzeba szukać, szukać proszę pana. Schwytajcie złodzieja i morderców!

Szpakowaty kiwnął głową. Odezwał się jak urzędnik kwaterunku:

– Robimy co w naszej mocy.

– Dukat Łokietka, powiada pan? – rozmyślał głośno Bernard. – Czyżby naprawdę istniał trzeci egzemplarz?

– Podobno znany jest tylko jeden okaz. Tak twierdził profesor WR.

– Co on tam wie. Niedawno czytałem w „Biuletynie numizmatycznym” artykuł jednego z naszych wielkich znawców starych monet. Pisze on, że na początku okupacji hitlerowskiej widział u pewnego kolekcjonera, niejakiego Srebrzyńskiego, autentyczny dukat Łokietka.

Henryk uśmiechnął się pod nosem. Znowu „Yeti” numizmatyczne. Ktoś widział dukat, ktoś o nim słyszał, ale dukata jak nie ma tak nie ma.

– Co było później z tym dukatem? – zapytał Henryk już z góry domyślając się odpowiedzi.

– Srebrzyńskiego rozstrzelali Niemcy w czterdziestym trzecim roku. Jego zbiór bardzo pięknych i rzadkich okazów hitlerowcy przenieśli do naszego muzeum i dosłownie w ostatni dzień przed wyzwoleniem wywieźli do Niemiec. Przedstawiciele polskiego muzealnictwa próbowali zbiór odszukać w Niemczech i go rewindykować. Nie znaleźli. Drugi egzemplarz Łokietkowego dukata należy uznać za zaginiony.

– „Yeti” – mruknął Henryk.

– Ach, dukat Łokietka – wzdychał Bernard. – Historia polskich złotych monet zaczynała się dawniej od Zygmunta Starego. Dopiero przypadek związany z „Wiosną Ludów” dopomógł przesunąć historie naszych złotych monet o dwieście lat wcześniej. Niejaki Erazm Niedzielski został w czasie wypadków 1848 roku internowany przez Austrię do Bochni pod Krakowem. Pewnego dnia, przechodząc koło zakładu złotniczego, zauważył jak topiono złote monety i przedmioty kupione od chłopów. Wszedł do warsztatu i zobaczył złoty pieniądz, który miał być za chwile wrzucony do tygła. Był to dukat gotycki z królem na tronie. W otoku widniał napis: WLADISLAVUS DI G REX, a na drugiej stronie dukata znajdował się wizerunek biskupa z pastorałem w ręku. Dukat okazał się wybitym za czasów Łokietka. Najbogatsi ówczesni numizmatycy dawali Niedzielskiemu za ten okaz ogromne sumy, wyroby złotnicze, biżuterię, przepiękne meble, obrazy, starą broń. A trzeba wiedzieć, że ówczesni zbieracze mieli co darować. Rekrutowali się z najzamożniejszych rodów magnackich. Ogromne zbiory numizmatyczne posiadali Potoccy, Czartoryscy, Zamojscy, Radziwiłłowie, hrabia Skórzewski, hrabia Sobański i inni. Hutten-Czapski wydał na swój słynny zbiór kilkanaście folwarków. On też i nabył w 1909 roku dukat Łokietka w zamian za jeden z obrazów Jana Matejki. Umierając, hrabia Emeryk Hutten-Czapski darował Państwu Polskiemu swój wspaniały zbiór monet. Kolekcję Czapskiego można zobaczyć w Krakowie.

– Wracając do sprawy Srebrzyńskiego – ciągnął Bernard – jest raczej pewne, że miał on drugi egzemplarz łokietkowego dukata. Zbiór zginął, ale przetrwał jego spis. Na pierwszym miejscu figuruje w nim właśnie dukat Łokietka, grosz tykociński, denar Chrobrego z napisem „Gnezdun Civitas”, brakteat pokutniczy i inne ciekawe okazy jak na przykład grosz krakowski, brakteat Jaxy z Koptnika, arcyciekawa moneta i wielka rzadkość, próbny ośmioletowy dukat Morykofera oraz talar z kontrmarką z czasów Zygmunta Augusta.

Szpakowaty sięgnął do kieszeni po notatnik. Odczytał.

– Grosz krakowski, brakteat Jaxy, ośmioletowy dukat, talar z kontrmarką.

– Tak – przytaknął Bernard – właśnie – te monety były w zbiorze Srebrzyńskiego.

Szpakowaty powiedział:

– Nie wiem nic o Srebrzyńskim. Natomiast wymienione okazy chciał Marczak sprzedać „Człowiekowi z Łaźni”.

I zadowolony z wrażenia jakie wywarła na nas ta wiadomość, zwrócił się do Bernarda:

– Czy panu wiadomo coś o tak zwanym, „rublu rodzinnym”?

Bernard kiwnął głową.

– To unikat.

Nagle Bernard zmarszczył czoło jakby uderzony jakąś szczególną myślą. Rzekł:

– Zdaje mi się, że ta moneta również figuruje w spisie zaginionej kolekcji Srebrzyńskiego.

– „Człowiek z Łaźni” twierdzi, że Marczak był w posiadaniu także „rubla rodzinnego”
– powiedział Szpakowaty.

I zapytał Bernarda:

– Czy pan zna okoliczności zaginięcia kolekcji Srebrzyńskiego?

– Owszem. W przeddzień wyzwolenia Niemcy zapakowali kolekcję do drewnianej skrzynki, skrzynkę władowali na samochód i powieźli szosą w stronę Berlina. Po wojnie próbowaliśmy rewindykować kolekcję, ale nie można jej było odnaleźć. Zapewne spoczęła pod gruzami jakiejś berlińskiej kamienicy.

– To bardzo skąpa informacja – stwierdził Szpakowaty. I jeszcze raz zajrzał do notesu.

– Pod koniec ubiegłego roku, do „Człowieka z Łaźni” zgłosił się Marczak i powołując się na profesora WR zaproponował sprzedaż kilku monet: grosza krakowskiego, brakteata Jaxy, talara z kontrmarką i ośmiozłotowego próbnego dukata. Cena jaką Marczak zażądał za monety była tak fantastycznie duża, że „Człowiek z Łaźni” nie zgodził się na kupno, natomiast zainteresował tymi monetami zamożnego kolekcjonera, naszego rodaka z Ameryki.

Ów kolekcjoner wyraził nawet chęć odwiedzenia Marcza i obejrzenia jeszcze innych okazów, którymi Marczak chwalił się przed „Człowiekiem z Łaźni”. Pojechali do Piotrkowa, ale Polak z Ameryki nie zdecydował się na kupno.

Teraz Szpakowaty odczytał z notatnika fragment zeznań „Człowieka z Łaźni”.

– „Marczak to był wariat. Pokazał nam bardzo interesujące okazy, na przykład, rubel rodzinny, ale zastrzegł, że poszczególnych monet nie sprzeda. Gotów jest odstąpić cały zbiór za sumę... stu tysięcy dolarów. To wariat, za taką cenę nikt nie kupi jego zbioru”.

– Rodak z Ameryki nie nabył ani rubla rodzinnego, ani też żadnej z monet posiadanych przez Marcza. Uznał, że Marczak jest chyba trochę nienormalny i że lepiej nie wchodzić z nim w żadne interesy.

– Taaak – mruknął Bernard. – Zaskakująca jest dziwna zbieżność posiadanych okazów. Takie same monety posiadał Srebrzyński w swojej kolekcji i okazuje się, że identyczne okazy miał ten zamordowany Józef Marczak z Piotrkowa. Ale przecież kolekcja Srebrzyńskiego została wywieziona do Niemiec. Są na to świadkowie. Nasz obecny woźny pracował w muzeum, także i za okupanta. Był przy tym jak skrzynkę ze zbiorem Srebrzyńskiego hitlerowcy ładowali na samochód ciężarowy. To stało się tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej.

– Zbieżność tych faktów jest oczywiście bardzo interesująca – zgodził się Szpakowaty. I trącił w ramię Bernarda:

– Jeśli chce pan odzyskać dla muzeum denar Chrobrego, który redaktor Henryk zabrał z biurka Marcza, to proszę iść ze mną do Komendy Wojewódzkiej MO. Obejrzy go pan u nas, stwierdzi, czy to ta sama moneta, a w przyszłości, jeśli pani Joanna się zgodzi, trafi ta moneta w pańskie ręce.

Szpakowaty zabrał Bernarda, Henryk mógł się nareszcie wykąpać i ubrać.

Ale nie było danym Henrykowi dokończyć porannej toalety. Joanna zapukała do drzwi łazienki i oświadczyła, że znowu jest telefon do Henryka. Wylazł z wanny i owinięty w ogromny ręcznik poczłapał do pokoju.

Telefonował Naczelny Redaktor:

– Czy nie wiesz Henryku co przydarzyło się naszej Zuzie? – pytał z prawdziwą troską w głosie. – Zadzwoiła do mnie przed chwilą i zagroziła samobójstwem, jeśli jej nie przeniosę z Piotrkowa. Płakała przez telefon, nic nie mogłem zrozumieć o co jej chodzi. A ponieważ powiedziano mi, że ciągle jeździsz do Piotrkowa, więc pomyślałem, że ty zapewne wiesz coś więcej o kłopotach Zuzy.

– Nie popełni samobójstwa – rzekł Henryk.

– Czy ktoś zrobił jej krzywdę?

– Nie. Po prostu chce wyjść za mąż. A ilekroć kogoś sobie upatrzy, to go zabijają.

– Co ty gadasz?

– Zabijają. Tak się jakoś głupio składa.

– Chyba nikt tego nie robi jej na złość? – zaniepokoił się nNaczelny.

– Nie wiem – rzekł Henryk. – Ale przypuszczam, że rzeczywiście to nie przez Zuzę giną ci ludzie. Ot, tak się składa. Pechowa dziewczyna.

– Błagam cię Henryku, zrób to dla mnie, przerwij urlop, jedź do Piotrkowa, zastąp Zuzę na pewien czas, niech przyjedzie do Łodzi. Chciałbym z nią porozmawiać.

– Szkoda fatygi – ziewnął Henryk. – Najlepiej znaleźć jej męża.

Umówili się, że Henryk jednak przerwie swój urlop i pojedzie do Piotrkowa, żeby zastąpić Zużę w redagowaniu kolumny „Życie Piotrkowa”.

XXI.

Pojechał dopiero nazajutrz rano. Dzień poprzedzający wyjazd spędził Henryk w towarzystwie Joanny i jej córki. Byli razem w kawiarni, w kinie, spacerowali po parku. Przed samym wyjazdem znowu zaproponował Joannie małżeństwo. „Będziesz miała opiekę, ty i twoja córka” – mówił.

W Piotrkowie najpierw zjawiał się Henryk w oddziale redakcji. Zużę wysłał do Łodzi, a sam zajął się Gałkowieckim. Jak za dawnych czasów, gdy był kierownikiem oddziału redakcji, zapowiedział Gałkowieckiemu koniec z łowieniem sensacyjnych historyjek i zdecydował wznowić kampanię o czystość miasta. Wysłał Gałkowieckiego na przegląd śmietników miejskich oraz kazał mu zajrzeć do barów mlecznych i restauracji.

– Wydaje mi się – rzekł Gałkowieckiemu – że osiągnie pan lepsze rezultaty ścigając brudy w stołówkach i barach mlecznych, niż tropiąc morderców.

Potem powędrował do fryzjera Kolasy. Rano śpieszył się na pociąg i nie zdążył się w domu ogolić. Chciał także od Kolasy usłyszeć co nowego zdarzyło się w Piotrkowie. Kolasa wiedział przecież wszystko „najlepiej”.

Zakład fryzjerski był pusty. Kolasa radośnie przywitał Henryka i gościnnie zaprosił go na fotel.

– Czy jest pan już na tropie mordercy? – uprzejmie rozpoczął rozmowę z Henrykiem.

– Pętla na szyi zabójcy zaciska się – odrzekł patetycznie Henryk.

– Naprawdę? Pan już coś wie, redaktorze?

– Jasny jest już motyw zabójstwa. A jak się zna motyw, nie trudno będzie odnaleźć sprawcę.

Narzucił na Henryka białe prześcieradło i starannie zawinął je na kołnierzyk koszuli. Powiedział ostrożnie:

– Czy nie mógłby pan uchylić przede mną choćby rąbka, tajemnicy? Jaki był powód zabicia Marcza, pani Gnom i Cagliostra?

– Tego panu powiedzieć nie mogę.

– Dlaczego?

– Bo jeszcze nie wiem kto jest zabójcą. Nie chciałbym go spłoszyć swoim gadulstwem.

– Nikomu nie powiem. Przysięgam!

– Wierzę panu. Ponieważ jednak nie znam jeszcze zabójcy, któż mi może zaręczyć, że nie okaże się nim, na przykład pan, panie Kolasa...

– Ja???

– Jest pan zamieszany w tę historię z papierośnicą Marczaka. Prokopiusz twierdzi, że nie miał papierośnicy, że to pan włożył mu ją do kieszeni. Zresztą, pan nawet nie musiał tego uczynić. Mógł pan po prostu papierośnicę wyjąć ze swojej kieszeni i bezpośrednio położyć na stolik.

Kolasa nic nie odrzekł. Zaczął pobrzękiwać buteleczkami na marmurowym stoliku pod lustrem, potem namydlił Henrykowi twarz i naostrzył brzytwę. Trzymając brzytwę w palcach, pochylił się do Henryka i rzekł:

– Nie, pan nie wierzy w to, że ja jestem zabójcą.

– Dlaczego?

– Bo nie przyszedłby pan golić się u mnie.

– Mam wiarę w pański rozsądek. Gdyby pan rzeczywiście był sprawcą tej całej hecy, nie chciałby się pan demaskować wypróbowaniem brzytwy na mojej szyi.

– Myślę, że za cztery zabójstwa kara jest taka sama jak za jedno.

Dość nieprzyjemnie słowa te zabrzmiały w uszach Henryka. Gdy Kolasa wycierał brzytwę o kawałek ligniny, Henryk rzekł szybko:

– Na razie nie mamy żadnych dowodów przeciw mordercy, a tylko przypuszczenia. Dokonując nowego zabójstwa, morderca da milicji dowód, pan rozumie? Myślę, że on nie okaże się tak głupi...

– Skąd pan wie, czy on nie jest głupi? – zaśmiał się niezycliwie.

– W sposób tak doskonały zatarł wszystkie swoje ślady po morderstwach, że milicja przez długi czas czuła się zupełnie bezradna.

Kolasa milczał. Przeciągnął brzytwą po policzku Henryka, sunął nią po brodzie i teraz zabrał się do szyi. Bardzo przykro uderzyło Henryka wspomnienie zabitego Cagliostroy, którego gardło poderżnięto brzytwą.

„Kolasa?” – pomyślał i w koniuszkach palców poczuł nieprzyjemny chłód. Jakoś nigdy na serio nie brał pod uwagę osoby Kolasy jako ewentualnego sprawcy zabójstw. A czy nie uczą powieści kryminalne, że właśnie taki osobnik okazuje się mordercą? Przebiegło przez głowę Henryka jeszcze kilka innych myśli, nie mniej przykrych. Los zawsze lubił mu płać figle, zawsze okazywał wobec niego swą złośliwą połowę twarzy. Czy nie obrócił się przeciw Henrykowi ów „wąż morski”, który najpierw umożliwił mu wyrwanie się z Piotrkowa. I oto po zmuśnionych dociekaniach danym mu będzie zobaczyć oblicze mordercy, ale czy nie wypadnie mu za to zapłacić własnym życiem.

Przez chwilę Henryk miał ochotę wczekać momentu, gdy Kolasa zacznie obcierać brzytwę z mydła, zerwać się z krzesła i wybiec z zakładu. Jeśli jednak Kolasa okaże się niewinny, przez kilka lat będą w Piotrkowie powtarzać anegdotkę o tchórzliwym dziennikarzu, który zwał z fotela fryzjerskiego, bo zaczął z fryzjerem prowadzić makabryczną rozmowę.

Kolasa przejechał brzytwą po szyi Henryka. Naciągnął skórę palcami i znowu przejechał ostrzem.

– Co zrobiłby pan z moim trupem? – spytał cicho Henryk.

– Zapewne schowałbym go do pokoiku za zakładem. Tam mam tapczan ze skrzynią...

– Pan czytuje powieści kryminalne?

– Owszem. Bardzo lubię powieści kryminalne. Czy panu gorąco? Ma pan spocone czoło...

I wytarł Henrykowi czoło rąbkiem prześcieradła.

– Jeszcze raz pana namydlę – oświadczył.

Henryk zaczął mówić żartobliwie:

– Panie Kolasa. Ja myślę, że każdy morderca posiada ambicję. Ambitny morderca nie będzie powtarzał scen z kiepskich powieści kryminalnych, sam jest zdolny coś ciekawego wymyślić. Mój Boże, w iluż książkach czytałem opis zabójstwa dokonanego na fotelu fryzjerskim. Morderca Marczaka wydaje mi się mistrzem swego rodzaju. Genialnie wplótł historię „Czarnego wachlarza” w sprawę śmierci kasjera. Jestem dla niego pełen zachwytu i wierzę, iż zobaczymy jeszcze niejedno jego mistrzowskie posunięcie. Nie, panie Kolasa, morderca nie będzie uciekać się do wzorów z kiepskich powieści kryminalnych. To człowiek z inwencją...

Przestał mówić, bo Kolasa skończył powtórne mydlenie i znowu sunął brzytwą po szyi Henryka.

Odpowiedział:

– A swoją drogą, ja, proszę pana redaktora, nie powierzyłbym swojej szyi pańskiej brzytwie.

– Dlaczego? Czyżby pan mnie... posądzał?

– Niedawno słuchałem przez radio słuchowiska napisanego przez niejakiego Dürrenmatta. Słuchowisko nazywało się „Jesienny wieczór”. Była tam mowa o autorze powieści kryminalnej. Otóż ten autor zabijał, a potem opisywał morderstwa w powieściach, które cieszyły się wielkim uznaniem. Zdemaskował to skromny urzędnik, zdaje się kasjer, ale i on został zabity i posłużył za kanwę do następnej powieści. Pomyślałem sobie, że pański „Czarny wachlarz” przynigdy nie miałby takiego powodzenia, gdyby nie śmierć Marczaka.

Skończył golenie. Opryskał Henryka wodą kolońską.

– Pan się na mnie nie gniewa, prawda? – zapytał Kolasa zauważywszy milczenie dziennikarza. – Prowadziliśmy przecież żartobliwą rozmowę – usprawiedliwił się.

Henryk położył pieniądze na marmurowym blacie stolika. Brzytwa leżała poza zasięgiem palców Kolasy.

– Kiedy golił mnie pan, panie Kolasa – odezwał się Henryk – przychodziły mi do głowy najróżniejsze myśli. Miedzy innymi pomyślałem, że tu do pana chyba różni ludzie przychodzą się golić. Odwiedzają pana chyba i przyjezdni. Tak już przecież jest, że pierwszą wizytę w obcym mieście składa się fryzjerowi, od którego najczęściej można uzyskać ciekawe informacje. A pański zakład jest tak blisko hotelu... Czy nie przypomina pan sobie pewnego wysokiego mężczyzny z ogromnym nosem, który przejechał do Piotrkowa w grudniu ubiegłego roku? Czy nie rozpytywał on pana o kasjera Marczaka?

– Nie... Nikogo takiego nie pamiętam. Przed rokiem? Mój Boże, tylu się ludzi goli u mnie.

Henryk postanowił przechytryć Kolasę.

– Pod koniec ubiegłego roku golił się u pana pewien Polak z Ameryki. Czy tak, panie Kolasa? Niech pan nie ukrywa tego, są świadkowie – kłamał Henryk.

– Golił się. Mówił dobrze po polsku, ale z dziwnym akcentem. Zaraz poznałem, że chyba przyjechał z zagranicy.

– Nie zapytał go pan, po co on przybył do Piotrkowa?

– Powiedział, że chce odwiedzić pewnego człowieka.

– Kogo, panie Kolasa?

– No... Marczaka,

– I nie zainteresowało pana w jakim celu on przyjechał do Marczaka?

– Owszem, ciekawiło mnie to. Nawet bardzo ciekawiło. Ale on mi nie powiedział. Tylko...

– Tylko, panie Kolasa?

– Wypytywał mnie czy Marczak jest uczciwym człowiekiem, czy można ma ufać.

– Co pan powiedział?

– Wyjaśniłem, że Marczak jest kasjerem i ma nieposzlakowaną opinię.

– To wszystko?

– Na tym nasza rozmowa się zakończyła. On nie chciał więcej gadać na ten temat – stwierdził Kolasa.

– Ach tak? – zdziwił się Henryk. – Bo znając pana, panie Kolasa, można by przypuszczać, że stało się zupełnie inaczej. Przecież nie wypuściłby pan takiej gratki, żeby się nie dowiedzieć po co Polak z Ameryki przyjechał do Józefa Marcza?

– A jednak nie powiedział...

– Nie wspomniał nic o jakichś starych monetach, które posiada Marczak?

– Ani słowem, panie redaktorze...

– Szkoda. Wielka szkoda – westchnął Henryk.

Kolasa uważnie przyglądał się twarzy Henryka.

– Zdaje się – rzekł – że znowu pana skaleczyłem. Niech pan jeszcze na chwilę usiądzie na krześle, ałunem wytrę panu skaleczenie.

Henryk zacisnął usta. Po raz pierwszy w życiu doznał aż tak wielkiego uczucia strachu. Kotłowały mu się w głowie strzępki jakichś myśli, już zdawało mu się, że układa mu się z nich jakaś całość, że za moment będzie wiedział coś bardzo ważnego, przypomni sobie o czymś niezwykle istotnym. A jednocześnie czuł strach i nie wiedział jakie jest jego źródło.

– No, czemu pan nie siada? – spytał Kolasa.

Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie usiądzie, okaże się śmieszny. A jednocześnie nie był w stanie zrobić kroku w kierunku fryzjerskiego fotela. Jakby go ten strach zupełnie paraliżował.

– Co się panu stało? – zdziwił się Kolasa i postąpił do Henryka.

Brzęknęły drzwi za plecami dziennikarza. Nawet się nie obejrzał, nie potrafił ruszyć głową. Usłyszał znajomy głos Szpakowatego:

– Panie Kolasa, strzyżenie dla tych panów.

Teraz dopiero obejrzał się. Zobaczył Szpakowatego i dwóch innych mężczyzn.

– A może również golenie? – zastanowił się jeden z nich.

Szpakowaty zaśmiał się cichutko.

– Kolasa, ma za ostrą brzytwę jak na nasze szyje...

A powiedział to wtedy, gdy dwóch przybyłych z nim mężczyzn trzymało Kolasę za przeguby rąk. Brzęknęły kajdanki. Szpakowaty wyszedł na ulicę, gwizdnął na kogoś i po chwili pod zakład zajechało auto milicyjne. Dyskretnie wyprowadzono Kolasę do samochodu. Przez cały ten czas Kolasa nie powiedział ani słowa. Nie złościł się, nie bronił. Milczał.

Teraz Szpakowaty delikatnie wziął Henryka za łokieć i popchnął go do wyjścia.

– Pan pozwoli, że zamknę zakład i go opieczętuję. Przypuszczam, że Kolasa już tu nigdy więcej nie wróci.

Henryk chwycił w usta duży haust powietrza jakby wynurzył się z wody po dłuższym nurkowaniu:

– O mało mnie nie zarznął... – sapnął.

Szpakowaty machnął ręką:

– Tra, la, la, tak się to mówi. Teraz wszyscy w Piotrkowie będą twierdzić, że ich Kolasa o mało nie zarznął. Żyje pan przecież.

– Owszem – przytaknął Henryk.

– Zresztą, ostrzegałem pana żeby pan nie przyjeżdżał do Piotrkowa. Po co mi pan włązi w drogę? Przez cały czas śledztwa nieustannie mi pan przeszkadzał.

„Oto jak wygląda wdzięczność ludzka” – pomyślał Henryk i obrażony opuścił zakład fryzjera Kolasy.

Oczywiście spotkał się jeszcze ze Szpakowatym. W skrzyni tapczanu znajdującego się w pokoiku za zakładem Kolasy odnaleziono skrzynkę ze zbiorem starych monet. W komórcie obok zakładu odkryto siekierę. Tą siekierą zabił Kolasa kasjera Marczaka i panią Gnom; Cagliostroze poderżnął gardło brzytwą. Do Przygłowa niezręcznie było Kolasie jechać z siekierą. Brzytwa okazała się bardzo wygodną w tym kolejnym jego przedsięwzięciu.

...W niedużej drewnianej skrzynce leżało kilkadziesiąt większych i mniejszych kartonowych pudełeczek. A w każdym pudełeczku znajdowało się kilka lub kilkadziesiąt, a nawet kilkaset monet – srebrnych, złotych, brązowych, dużych – małych, cienkich i grubych.

– Oto co powołało do życia „węża morskiego” – rzekł Szpakowaty do pochylonego nad skrzynią Henryka. – Bo to nie pański „Czarny wachlarz”, ale właśnie ta mała skrzyneczka i tylko ta mała skrzyneczka zbudziła do życia morderczego potwora. To nie był „wąż morski”, redaktorze. To była chciwość. **CHCIWOŚĆ** – takie jest imię potwora, który zamordował Marczaka, panią Gnom i Cagliostre.

Zajęli miejsca przy stoliku w kawiarni „Pod Ormianinem”.

– Ciekawi pana, w jaki sposób domyśliłem się, że zabójcą jest fryzjer Kolasa? – spytał Szpakowaty. – Wyznam panu, że dzięki pańskiemu znajomemu numizmatykowi Bernardowi, sprawa kto jest zabójcą od razu stała mi się jasną. Oczywiście, gdyby nie wszystkie poprzednie zauważone przez nas okoliczności sprawy, nawet wskazówka pana Bernarda niczego by sama nie wyjaśniła. Zasadnicze znaczenie dla śledztwa miało przede wszystkim odnalezienie przez pana owego srebrnego denara w biurku Marczaka, a potem, ustalony w toku śledztwa fakt, że Marczak posiadał zbiór starych i cennych monet. Gdy rankiem opuściliśmy wraz Bernardem pańskie mieszkanie, udaliśmy się do starego woźnego muzeum. Do tego, który widział jak Niemcy ładowali na samochód ciężarowy zbiór monet Srebrzyńskiego. Ponieważ

działo się to akurat w ten sam dzień, kiedy wkroczyła do Łodzi Armia Czerwona, jasnym się dla mnie stało, że prawdopodobnie Niemcy nie zdołali zbyt daleko wywieźć zbioru. Samochód ze zbiorem prawdopodobnie utknął gdzieś po drodze. Woźny powiedział nam, że Niemcy postanowili uciekać szosą na Piotrków. Być może więc, pomyślałem, że samochód utknął właśnie w Piotrkowie? Przeprowadziliśmy natychmiast wywiad w Piotrkowie i okazało się, że rzeczywiście podczas wkraczania do miasta Armii Czerwonej, na ulicach Piotrkowa zostało kilka porzuconych ciężarowych samochodów niemieckich. Ludność natychmiast oczyściła je z zawartości. Ustaliliśmy, że między innymi, w obrabowaniu jednego z samochodów brali udział Kolasa, Marczak, Cagliostro, który jak pan wie, nazywał się Płócienniczak i był piotrkowianinem. Samochód obrabowany przez tę trójkę wiózł skrzynki z szampanem i jeszcze jakąś skrzynkę z żelastwem, jak nam powiedziano. Ta skrzynka to zapewne ów zbiór monet Srebrzyńskiego. Skrzynkę tę zabrał do siebie...

– Marczak – rzucił Henryk.

– Tak. Podobno Cagliostro i Kolasa śmieli się z niego że zabrał jakieś żelastwo. Szampan wypito i wkrótce zapomniano o wszystkim.

– Aż pewnego dnia – wtrącił Henryk – fryzjer Kolasa goląc pewnego klienta, a klientem tym był Polak z Ameryki, dowiedział się że Marczak jest w posiadaniu bardzo cennego zbioru starych monet.

– Być może właśnie tak było – zgodził się Szpakowaty. – Nie mamy jeszcze całkowitych zeznań Kolasy, ale prawdopodobnie tak się zaczęła ta historia. Choć nie jest wykluczone, że fryzjer Kolasa i od kogoś innego, na przykład, od księdza Garnuszka dowiedział się, że Marczak ma cenne stare monety. W każdym bądź razie przypomniawszy sobie o skrzynce z „żelastwem”, którą Marczak zabrał z niemieckiego samochodu. I doszedł do wniosku, że skoro razem rabowali skrzynki, to on Kolasa, jak również, Cagliostro, mają równe prawa do zbioru i do zysków osiągniętych ze sprzedaży starych monet. Cagliostro akurat przebywał wtedy w Piotrkowie, obydwaj udali się więc do Marcza i zażądali od niego udziału w korzyściach ze sprzedaży zbioru. W czasie tej wizyty prawdopodobnie Cagliostro, być może tylko dla żartu ukradł Marczakowi jego papierośnicę. Później okazało się to dla niego bardzo niebezpieczne. Bo cóż uczynił Marczak, gdy zgłosili się do niego „współdziałowcy”.

– Wiem – rzekł Henryk. – Marczak postanowił ich oszukać. Aby się od nich uwolnić, upozorował własną śmierć, upozorował zabójstwo.

– Tak jest. Ale najpierw rozważmy psychiczną sylwetkę Marcza. Proszę sobie wyobrazić, że pewnego dnia skromny kasjer spółdzielni „Podkowa”, przypomina sobie o porzuconej na strychu skrzyneczce ze starymi monetami, którą kiedyś, w pierwszych dniach wyzwo-

lenia ukradł z niemieckiego samochodu. Kasjer akurat dowiedział się, że ksiądz Garnuszek zbiera monety, wybrał się więc na strych, wziął ze skrzyneczki pierwsze z wierzchu pudełeczko z monetami. Traf zdarzył, że było to pudełeczko z największymi cennościami kolekcji. Marczak włożył kilka monet do kieszeni i któregoś dnia zawitał do księdza Garnuszka. Ten obejrzał monety, określił je jako unikaty o dużej wartości i zaproponował kupno. Marczak pomyślał: skoro ksiądz Garnuszek chce mi za każdą monetę dać po kilka tysięcy złotych – kto wie, za ile kupią inni? Nie sprzedał księdzu monet. Pojechał do profesora WR. Ten również chciał mu sporo zapłacić. Wówczas Marczak pomyślał: jeśli za tych kilka monet mogłem dostać kilkanaście tysięcy złotych, ileż otrzymam za całą skrzyneczkę? Postanowił dokonać jeszcze jednej próby – odwiedził „Człowieka z Łaźni”. Ten także przyznał, że okazy, które mu przywiózł Marczak, są bardzo wartościowe. Teraz Marczak postanowił czekać na kupca gotowego nabyć od niego od razu cały skarb. Przewróciło mu się w głowie, co zresztą nie trudno u ludzi odkrywających ni stąd, ni zowąd bogactwa tam, gdzie sądzili, że leżą tylko bezwartościowe rupiecie. Czytałem niedawno o pewnej rodzinie (zdaje się w Ameryce czy w Kanadzie to było). Znaleźli na strychu stare obrazy leżące między gratami. Obrazy te z początku uznano za dzieła największych mistrzów, potem zaś rzeczoznawcy stwierdzili, że to jednak chyba tylko falsyfikaty.

Otóż rodzina ta, dawniej żyjąca w spokoju, teraz wydaje wszystkie zarobione pieniądze na dowodzenie autentyczności obrazów. Spokojni dawniej ludzie stali się maniakami, pół wariatami. Myślę, że podobne przeobrażenie nastąpiło i w Marczaku. Doszedł do wniosku, że jest bogaczem, posiada rzecz o niezwyklej cenie. Jeśli już nawet ktoś chciał od niego kupić którąś z monet, on cofał się przed sprzedażą, bo myślał, że może moneta okazać się jeszcze więcej warta i zostanie oszukany. Ten lęk – jest charakterystyczny właśnie dla człowieka, który nie zna się na posiadanym przedmiocie. I albo sądzi, że przedmiot ten jest nic nie wart, albo potem przerzuca się w drugą skrajność i przypuszcza, że zdobył niezwyklej cenną. Marczak zresztą przez cały czas posługiwał się monetami z jednego pudełeczka, nawet mu na myśl nie przeszło, że pieniążki z innych pudełek mogą być mniej warte, że są tylko uzupełnieniem kolekcji. Potem zaczęli Marczaka prześladować Kolasa i Cagliostro. Marczak ani myślał podzielić się z nimi swym bogactwem. Polakowi z Ameryki, który do niego przyjechał, proponuje sprzedaż kolekcji za sto tysięcy dolarów. Teraz pan rozumie, do jakiego stanu doszedł skromny kasjer? Sto tysięcy dolarów – taką fortunę postanowił uzyskać za kolekcję. Oczywiście już żadnego znaczenia nie miał dla niego ani domek w Piotrkowie, ogródek, cała dotychczasowa praca i opinia. Marczak postanawia uciec z Piotrkowa i tak zatrzeć za sobą ślady, aby nikt go nie odnalazł. Poczekać w ukryciu, potem skarb sprzedać i rozpocząć nowe

życie. Wtajemniczył we wszystko panią Gnom, obiecał jej małżeństwo jeśli pomoże mu w zainscenizowaniu jego śmierci i ukryje u siebie w domu. A ponieważ Marczak musiał działać bardzo szybko, bo Kolasa i Cagliostro kategorycznie żądali udziału w zbiorze, skierował podejrzania na bohatera powieści, którą świeżo miał w pamięci, na postać z „Czarnego wachlarza”. W tym jednym chyba ów Marczak okazał odrobinę inwencji. Bo resztą zrobił prostacko. Zabrał z mieszkania co cenniejsze rzeczy, zbiór monet przeniósł do pani Gnom i ukrył na strychu jej domku. Przez roztargnienie pozostawił w biurku srebrny denar „Gnezdun Civitas”, który tak poważną rolę odegrał w całej sprawie. To z powodu owego denara Marczak został zamordowany naprawdę.

– Przecież ten denar ja wziąłem z jego biurka i ciągle nosiłem przy sobie – powiedział Henryk.

– No tak. Ale on o tym nie wiedział – zauważył Szpakowaty. I począł opowiadać dalej.
– Wyobraźmy sobie teraz sytuację, w której nagle Kolasa i Cagliostro dowiadują się, że Marczak został w nocy zamordowany. Zabito go nazajutrz po rozmowie jaką obydwoj z nim przeprowadzili. Mieszkanie Marczaka obrabowano, zginął także zbiór monet, a zwłoki kasjera zawleczono do jeziora na Bugaju, tak w każdym razie mówiła oficjalna wersja.

– Należy się domyślać, że obydwoj, Kolasa i Cagliostro – powiedział Henryk – zaczęli podejrzewać się wzajemnie o zabójstwo. Kolasa w rozmowie ze mną rzucał podejrzania na Cagliostkę.

– Tak. Podejrzewali się, śledzili wzajemnie. A w tym czasie, pan redaktorze, przyjechał do Piotrkowa. Zwłok Marczaka ciągle nie można było odnaleźć, Kolasa począł się domyślać, że z tym zabójstwem jest coś bardzo niejasnego, że być może Marczak wystrychnął ich na dudków. Gdy tak pomyślał, od razu przyszło mu na myśl, że zapewne Marczak ukrywa się u pani Gnom. I zaczął wieczorami krążyć koło jej domu. Traf zdarzył, że tego wieczora my dwaj siedzieliśmy w mieszkaniu Marczaka. A Marczak, który przypomniał sobie o srebrnym denarze pozostawionym w biurku i z okna pani Gnom wypatrył, że Joanna poszła z dzieckiem do miasta, postanowił zakraść się do własnego mieszkania i zabrać z biurka pozostawioną monetę. W mroku Marczak natknął się na czatującego w pobliżu Kolasę. W tej sytuacji Marczak zapewne obiecał Kolasie połowę zysków ze sprzedaży zbioru, wyznał mu też, że chciał wykraść ze swego mieszkania pozostawioną tam monetę. A może poprosił, aby zrobił to sam Kolasa, ponieważ on, Marczak może narazić się na zdemaskowanie? A cóż Kolasa? Obudziła się w nim chciwość. Pomyślał, że zbiór chyba jest bardzo cenny, skoro Marczak dla utrzymania go przy sobie, upozorował nawet własną śmierć. A skoro ludzie już przyjęli do świadomości zabójstwo Marczaka, milicja okazała się nieudolną w rozwikłaniu całej sprawy,

czy nie lepiej będzie – rozmyślał Kolasa, zabić Marczaaka i zostać jedynym posiadaczem całego zbioru? Plan Kolasy był chytry. Zapewne chciał on po zabójstwie Marczaaka ukryć gdzieś jego zwłoki. Gdyby później milicja nawet odnalazła je, śmierć Marczaaka związano by z owym pierwszym, fikcyjnym zabójstwem. Nikomu nie przyszłoby nawet na myśl, że Marczaak został zabity nie w styczniu, ale w kwietniu...

– Przeszkodził mu ostatni, przedśmiertny krzyk zabijanego Marczaaka – stwierdził Henryk. – Ten krzyk wywabił nas z domu Marczaaka. Kolasa nie mógł uprzątnąć zwłok i musiał uciekać.

– Tak jest. Dlatego także zginęła pani Gnom. Po zabiciu Marczaaka, Kolasa nie zdążył już wbiec do domu pani Gnom i zabrać skrzynki z monetami. Zrobił to nad ranem, tej samej nocy. Ale jednocześnie musiał zabić i panią Gnom. Ale w tym momencie do akcji wkroczył Cagliostro. Do tej pory to Kolasa rzucał podejrzenia na Cagliostre, teraz zaś Cagliostro zapraęnął rzucić podejrzenie na Kolasę. Do tego celu miała mu posłużyć papierośnica Marczaaka. Podczas swego występu w kinie Cagliostro zaprosił Kolasę na podium, dyskretnie wsunął mu do kieszeni papierośnicę Marczaaka. Kolasa jednak zorientował się o co chodzi i szybkoutko papierośnicę tę włożył do kieszeni Prokopiuszowi, który także znalazł się na podium. A gdy potem wynikło to straszne zamieszanie, Kolasa wymknął się z kina, pobiegł do mieszkania Marczaaka i kluczem, który być może dostał od Marczaaka, otworzył drzwi i spróbował odnaleźć ów srebrny denar.

Zapewne Marczaak zasugerował go, że denar jest najcenniejszym okazem z kolekcji. Denara oczywiście nie znalazł. Zobaczył go u pana Cagliostra, ukrađł go, aby pokazać Kolasie, którego prawdopodobnie już konkretnie podejrzewał o zabójstwo Marczaaka i pani Gnom. Ów denar miał w jakiś sposób przekonać Kolasę, że pan, redaktorze jest już na tropie wyjaśnienia zagadki zabójstw i w związku z tym Kolasa powinien Cagliostrze powierzyć zbiór monet celem wywiezienia go z Piotrkowa i ukrycia wszelkich śladów morderstwa wiodących do Kolasy. Rzecz jasna Kolasa nie chciał mieć współnika, nie wierzył, aby ktokolwiek domyślił się kim jest morderca. Umówił się z Cagliostrą w Przygłowie już z góry planując zabójstwo. Zabił Cagliostre i powrócił do Piotrkowa kolejką wąskotorową. Charakterystyczny szczegół: teraz, gdy wiadomo, że Kolasa okazał się mordercą, ten i ów przypomina sobie, że widział Kolasę jadącego kolejką w wieczór zabójstwa Cagliostra, że tego dnia Kolasa wcześniej zamknął swój zakład, ba, że Kolasa kręcił się kiedyś koło domu Marczaaka.

– Bo nikt nie przypuszczał, że tego rodzaju szczegóły mogą okazać się bardzo istotne.

– Zgoda. Ale jakże pomogło by to w śledztwie. Niestety, byliśmy zupełnie bezradni. Niekiedy mogło się zdawać, że ów „wąż morski” potrafi być niewidzialny i jedynym znakiem jego działania są trupy jego ofiar – zakończył Szpakowaty.

Henryk roześmiał się.

– A więc bohater „Czarnego wachlarza” został oczyszczony z podejrzeń. Jako autor tej powieści pozwolę sobie w jego imieniu, wyrazić ogromne zadowolenie.

XXII.

Tego samego dnia wieczorem Henryk powrócił do Łodzi. Jadąc pociągiem myślał o Joannie, o tym, że zaraz ją zobaczy, będą razem, na długo, może na zawsze.

Na drzwiach swego mieszkania zobaczył kartkę: „Klucz u sąsiadów”. W mieszkaniu na biurku leżał list od Joanny: „Zaproponowałeś mi małżeństwo i opiekę nade mną i moim dzieckiem. Gdy to uczyniłeś, czułeś się taki szlachetny i wspaniałomyślny, że przykro mi było wyjaśnić ci jak bardzo jesteś w błędzie, sądząc, że tym możesz mnie uszczęśliwić. Czy nie przyszło ci na myśl, że ja może właśnie kocham tego człowieka, z którym widziałeś mnie w Przygłowie, a który wydał ci się „fryzjerczykiem”? Nie, nie kocham już go, ale złości mnie również twoja wspaniałomyślność. Czegoś takiego nie potrzebuję ani od Ciebie, ani od nikogo. Dziękuję ci za dotychczasową opiekę”.

Wróciła do Piotrkowa – rzekł głośno Henryk. – Zapewne powróciła do Piotrkowa... Mi-
nęliśmy się w drodze.

Odezwał się telefon.

– Zdecydowałem, Henryku – mówił Naczelny Redaktor – że Zuza musi zostać w Łodzi. Jej kiepskie samopoczucie nie wróży nic dobrego dla oddziału naszej redakcji w Piotrkowie. Zuza powiedziała mi, że tam, w Piotrkowie, masz jakąś dziewczynę. Pomyślałem, czy nie będzie ci na rękę, jeśli na pewien czas zaproponuję ci znowu objęcie stanowiska kierownika tamtejszego oddziału naszej redakcji. Może zechcesz znowu napisać jakąś interesującą powieść dla tamtejszych czytelników. No, wiesz taką powieść z prawdziwego życia, jak twój „Czarny wachlarz”. Czytelnicy lubią coś takiego. Zgadzasz się, Henryku?

– Dobrze – rzekł. – Pojadę do Piotrkowa. Napiszę także powieść. Będzie nosiła tytuł „Wąż morski”.

KONIEC